



## OD REDAKCJI

W numerze, tradycyjnie już, przypominamy kilka rocznic, jak na przykład ta, bardzo szacowna, pierwszego wejścia na Lodowy Szczyt. Wspominamy również pierwsze wejście na Gasherbrum I z okazji jego 60 rocznicy oraz wybitną drogę *The Nose* na El Capitanie z tego samego powodu. Czytelników zainteresowanych tematyką tatrzańską na pewno ucieszy kolejny artykuł Tomasza Boruckiego; tym razem będzie o „zobrazowaniu Tatr na dwóch osiemnastowiecznych mapach”. Piotr Paćkowski napisał o Johnie Harlinie II, legendarnym alpinście, który „stał się symbolem całego pokolenia”, a Krzysztof Baran o „Taterniczku”. W Suplemencie, jak zwykle, przedstawiamy kolejnych Wegantów i zamieszczamy kilka uzupełnień haseł opublikowanych w tomach VI i VII WEGA. W dziale kolekcji jest o Śląsku.

Biuletyn jest publikacją niekomercyjną, związaną z *Wielką Encyklopedią Gór i Alpinizmu*. Staramy się docierać do twórców ilustracji czy fotografii, prezentowanych na jego łamach, zawsze podajemy nazwiska autorów, jeśli tylko je znamy. W innych przypadkach robimy wszystko, oczywiście, aby ustalić ich nazwiska, choć nie zawsze się to udaje. Prosimy o pomoc w tych sprawach.

Na koniec liczymy na to, że w ostatni weekend września (tzn. 29-30.09.2018) będzie piękna pogoda i znów spotkamy się w Skałkach Rzędkowickich, aby porozmawiać o drogach i górach, pośpiewać przy ognisku, zrobić kilka zdjęć, w sobotę w samo południe to najważniejsze – nasz portret zbiorowy.

Wszystkie numery biuletynu WEGA zawsze można „ściągnąć” ze strony [www.stapis.com.pl](http://www.stapis.com.pl)

Małgorzata i Jan Kielkowsky  
mjkmountains@aol.com  
mjkmountains@goolemail.com

## RZECZY WIELKIE I MAŁE W ALPINIZMIE

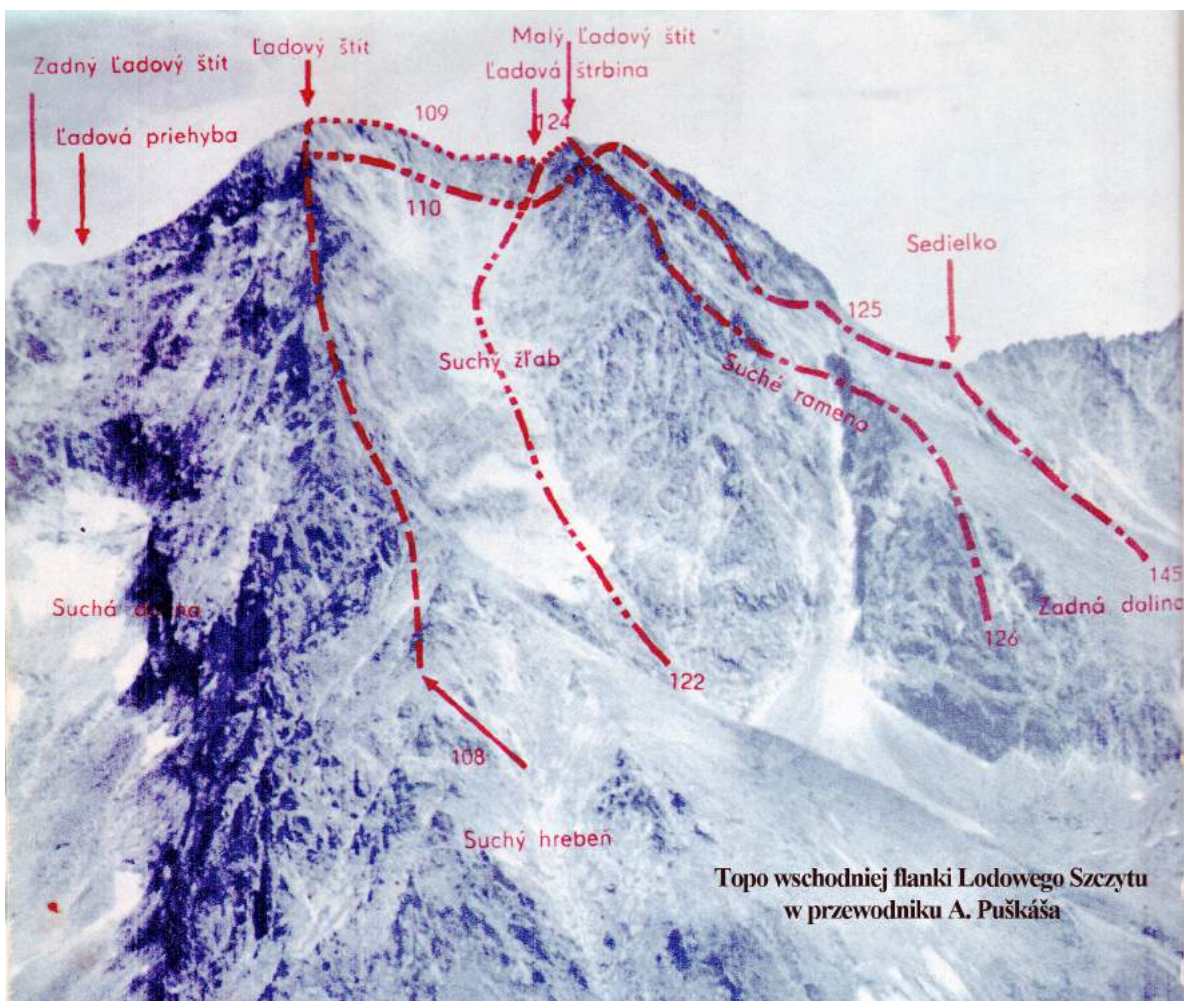
### 175 rocznica zdobycia Lodowego Szczytu

(WEGA t. III, str. 473)

Około 31 sierpnia 1843 na Lodowy Szczyt weszli John Ball (WEGA t. VI, s.51), Wilhelm Richter, „węgierski pejzażysta” i górale. Było to pierwsze wejście turystyczne na ten szczyt; wcześniej mieli go odwiedzać górale. Ich droga (WHP 2722) była podobno od dawna znana koziarzom. Prowadziła prawdopodobnie z Doliny Jaworowej przez Sobkowy Żleb i górny odcinek Sobkowej Grani. Nieco inaczej interpretuje to wejście w swoim przewodniku Arno Puškáš. Mianowicie jako drogę Sobkowym Żlebem (APV-122) na Lodową Szczerbinę(?) i dalej, obchodząc po wschodniej stronie południową grań (APV-110), na Lodowy Szczyt.

Końcowy odcinek tej drogi jest nieco trudny (I), byłyby to więc największe trudności, jakie zostały pokonane podczas wejść szczytowych w Tatrach do tego czasu. Dodać należy, że w wyprawie tej uczestniczyli jeszcze Carl Richter i pewien „filolog z Polski”, którzy jednak na sam wierzchołek nie weszli.

Już 6 października 1845 roku Eduard Blásky (WEGA t.VI, s.93) oraz przewodnicy Johann Breuer senior i Jakob Lux dokonali 2. wejścia na Lodowy Szczyt. Weszli na wierzchołek nową drogą (WHP 2718), południową grańią (zapewne również częściowo ją obchodząc) od Lodowej Przełęczy przez Lodową Kopę. Na tej eksponowanej, nieco trudnej (I) drodze, też podobno od dawna znanej koziarzom, nagromadzenie trudności jest większe niż



na drodze pierwszego wejścia. Tak więc zdobycie Lodowego Szczytu, który w przewodniku Reyemhola opisany został jako niedostępny, spowodowało jednoznacznie podniesienie stopnia trudności pokonywanych dróg tatrzańskich na nowy, wyższy, taternicki (nieco trudne – I) poziom. Zresztą w następnych latach wejście na Lodowy Szczyt (na który nie prowadzi żadna zupełnie łatwa droga) uchodziło, w przeciwnieństwie do bardzo już powszechnych wejść na Łomnicę czy Krywań, za naprawdę trudne i dostępne tylko dla prawdziwych górskich turystów. Niestety, nie udało się dotrzeć do opisów tego wejścia.

### Najwcześniejsze wejścia na Lodowy Szczyt (wg Witolda H. Paryskiego)

1. wejście: 31.08.1843 John Ball, Wilhelm Richter, „węgierski pejzażysta” oraz górale.
  2. wejście: 6.10.1845 Eduard Blásy z przewodnikami Johannem Breuerem seniorem i Jakobem Luxem.
  3. wejście: 14.08.1855 Zygmunt Bośniacki, Wojciech Grzegorzek z przewodnikami zakopiańskimi.
  4. wejście: 17.09.1867 Józef Stolarczyk oraz przewodnicy: Wojciech Gąsienica Kościelny, Wojciech Ślimak, Szymon Tatar starszy i Jędrzej Wala starszy.
  5. wejście: 1868 Edward Królikowski i przewodnik Jędrzej Wala starszy.
  6. wejście: 1868 Stanisław Librowski i przewodnik Jędrzej Wala starszy.
  7. wejście: 1868 austriaccy topografowie wojskowi z przewodnikami.
  8. wejście: 21.08.1870 Franciszek Paszkowski, Leon Paszkowski z przewodnikiem Maciejem Sieczką.
  9. wejście: 18.08.1873 Adam Asnyk, Franciszek Bylicki, Walery Eljasz-Radzikowski, Antoni Krechowicki, Leopold Świerz oraz przewodnicy: Jan Gronikowski i Jędrzej Wala starszy.
  10. wejście: 12.08.1875 Ludwik Chałubiński, Tytus Chałubiński z towarzyszami oraz przewodnikami zakopiańskimi.
  11. wejście: (Alfons?) Parczewski z towarzyszami oraz przewodnikami zakopiańskimi.
  12. wejście: 21.08.1876 Ferenc Dénes i tragarz Greisiger.
  13. wejście: 2.08.1877 Eugeniusz Janota z towarzyszami i przewodnikami zakopiańskimi.
  14. wejście: 16.08.1877 Anton Dölller i towarzysze.
  15. wejście: 1878 Schopf, Soszmann i towarzysz oraz przew. Samuel Horvay.
  16. wejście: 15.07.1879 Ludwik Chałubiński, Tytus Chałubiński z towarzyszami i przewodnikami zakopiańskimi.
  17. wejście: 7.09.1879 Jan Gwalbert Pawlikowski oraz przewodnicy: Józef Gąsienica Froniek i Maciej Sieczka.
  18. wejście: 12.09.1879 Emil Dorn, Rudolf Mordziejewski z przewodnikiem (K?) Kirnerem.
  19. wejście: 4.10.1879 Ferenc Dénes, Ad. Kurovsky.
  20. wejście: 21.08.1880 Tytus Chałubiński, Bronisław Dembowski, Henryk Hoyer senior, A. Sawicki oraz przewodnicy: J. Jarząbek, Bartłomiej Obrochta, J. (Jędrzej lub Józef) Pęksa, Szczepan Roj, Wojciech Roj, Sz. Ślimak, Szymon Tatar starszy i Jędrzej Wala młodszy.
1. wejście zimowe: 28.12.1891 Theodor Wundt i przewodnik Jakob Horvay.

Wilhelm Richter opisał pierwsze wejście na Lodowy Szczyt w książce *Wanderungen in Ungarn und unter seinen Bewohner*, wydanej w 1844 roku w Berlinie. Dalej zamieszczone są strony tej książki z opisem 1. wejścia.

Na końcu opublikowany w „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego” z 1876 roku list Johna Balla, wysłany z gratulacjami dla Towarzystwa Tatrzańskiego, w którym wspomina on swoje wejście na Lodowy Szczyt w 1845 roku.



J. Ball



E. Blásy

# Wanderungen

in

Ungarn und unter seinen **Bewohnern.**

---

Eine Beleuchtung

von Ungarns moderner Stellung und Richtung

von

**Wilhelm Richter.**

---

Berlin,

Druck und Verlag von G. Reimer.

1844.

*H. D.*

### Achtes Capitel.

Die Zips und die Tatra und ihre Alpenwirthschaft. Wegweiser für Reisende im Hochgebirge. Die Hilfsmittel der Reisenden. Der Kampf mit den Elementen.

Unser Wagen hatte sich in Bewegung gesetzt, unser Kutscher schwang die Peitsche, das ganze Gebäude, in welchem wir uns befanden, schien Convulsionen zu bekommen, und mühselig arbeiteten wir uns bergauf, um das letzte Gebirge zu übersteigen, welches uns noch von der Zips trennte. Die dunklen Tannenwälder nahmen immer an Dichtigkeit zu und bildeten zuletzt ein undurchdringliches Chaos, ein Meer voll von grünen Wipfeln, über die der Wind rauschend dahin fuhr. Obgleich der Weg in ziemlich mittelmässigem Zustande war, auch selbst die späte Nachmittagssonne freundlich lächelte, so wollte doch kein fröhlicher Humor die Oberhand gewinnen, indem das langweilige Einerlei der Tannenwälder uns ermüdete und einschläferte.

Nach stundenlangem Fahren schien sich endlich der Weg nicht mehr aufwärts zu ziehen, sondern sich leise herabzusenken, so dass wir vermuthen durften, bald die ganze Tatra, den Hauptstock der Carpathen, in ihrer riesigen, imposanten Grösse vor uns zu sehen, ein Verlangen, welches wir schon den ganzen Tag erfüllt zu sehen hofften, und woran uns bis jetzt noch immer die faden, monotonen Wälder verhindert hatten.

Endlich zertheilten sich die grünen Laubkronen und vor uns breitete sich auf den Ebenen, den schönsten Hintergrund derselben bildend, die majestätische, violettfarbige Gebirgskette aus, von ihrem Fusse bis zu ihrem Scheitel durch alle Nüancirungen dieser Farbe gehend, — den Fuss im schwarzen Walde, das Haupt im weissen, schimmernden Schnee.

Selten wird sich ein Gebirge so überraschend in seiner ganzen Herrlichkeit zeigen wie die Carpathen, eine Folge der flachen Gegend zu ihren Füßen, aus der sie plötzlich zu einer schwindelnden Höhe, rau, zerrissen emporstreben. Die eigenthümliche Gestaltung des Scheitels in den barokkesten Formen, der bei jedem Schritte sich anders zeigt und von jedem verschiedenen Standpunkte auch ganz verändert erscheint, giebt diesem Gebirge einen eigenthümlichen Typus, wie man ihn wohl nur bei wenigen Hochgebirgen vorfindet.

Die Zips, in die wir jetzt hinabrollten, ist eine Hochebene mit einigen wellenförmigen Unterbrechungen, ein fruchtbares Land, welches sich grade in dem schönsten Schmucke, in dem goldnen Gewande des Herbstes befand. Kein Berg, kein Wald, kein Fels verhinderte die weite Aussicht, nur wohlhabende Städte und Dörfer erhoben sich aus der weiten Ebene, die sich südwärts der Carpathen und zwischen der Liptauer und Saroser Gespanschaft befindet.

Doch die Sonne verschwand, die Dämmerung wurde immer dunkler und wir waren froh, als ein bischöfliches Dorf vor uns lag. Endlich war die ärmliche Kneipe erreicht, die höchst ungestlich aussah. Da gab es weder Zimmer noch Betten noch Essen. Wir waren wieder in das 14te Jahrhundert mit aller seiner Unbequemlichkeit zurückversetzt.

Ein schmutziger, ungekämmer Judenbengel mit rothen, struppigen Haaren, die noch schmutzigeren Finger saugend im Munde, in halb verfaulten Lumpen emballirt, lagerte sich, mit einem rüudigen Köter sich balgend, auf der Thürschwelle und machte uns den Eingang streitig, den Eingang in ein dunkles Loch, aus welchem mephitischer Dampf uns entgegenquoll, der so betäubend auf unsre Nerven einwirkte, dass wir beinahe ohnmächtig zurücktaumelten. Nachdem Muth gefasst war, begann ich aufs neue die Attake, hatte jedoch kaum einen Fuss in den Hausflur gesetzt, als eine Schaar von Hühnern lebendig wurde und schreiend theils über meinem Haupte zur Thür hinausflog, theils mit ihren Flügeln mein Gesicht peitschte. Heldenmüthig drang ich jedoch vorwärts, indem ich ein Stossgebet an den Sanctus Blücher, den Marschall Vorwärts richtete, arbeitete mich glücklich über den schlammichten und glatten Boden des

Vorhauses fort, fand endlich nach langem Tappen und vielen Stößen die Thür des Gastzimmers, deren Mechanismus jedoch so eingerichtet war, dass es mir schlechterdings unmöglich wurde, sie zu öffnen.

Erst Einer meiner Begleiter, der mehr nationale Lokalkennntniss verrieth, fand einen Bindfaden, der ziemlich klebrig aus einer Ritze niederhing. Dieser wurde gezogen und so öffnete sich das verhängnissvolle Portal, unser heutiges Nachtquartier war glücklich erreicht.

Aber Alles ist dunkel, — ich laufe gegen eine Ofenbank und das Blöken einiger Kälber belehrt mich, dass ich mehrere Schlaf-Collegen in ihrer Ruhe gestört habe. — Mein glücklicherer Freund erreicht endlich, nachdem ein fusstiefes Loch des lehmichten Zimmerbodens ihn zum Fallen gebracht hatte, eine kleine Thür, die sich seinem Sturze unfreiwillig und polternd öffnet und aus der ein Lichtglanz uns entgegenschimmert. Der Gastwirth, ein Jude, erhebt die Kerze und tritt uns entgegen.

Doch nun erst zur Personalbeschreibung mit Walter Scottscher Genauigkeit.

Man denke sich eine untersetzte, etwas verkrüppelte Figur mit den stark vortretenden Marken der Kinder Israels, die kleinen, grauen Augen halb erstaunt aufgerissen und auf der haarlosen Stelle der Augenbraunen den Anfang eines Schmutzstreifens, der sich in progressiver Vergrößerung über das ganze Gesicht ausdehnte. Der haarlose Mund ist theils durch einen halbräudigen, rothen Schnurrbart beschattet, auf dem sich die *beaux restes* der letzten Mahlzeit unter dem ewigen Blasen und murrenden Summen der verschnupften Nase wiegen. Die rothblonden Haare des dicken, unförmlichen Kopfes sind so sparsam wie Waizen auf einem steinichten Acker, dabei verrieth die mannichfache, streifige Nüancirung ihrer Farbe, dass sie nicht selten zum Wischtuch für die unsaubern Hände gebraucht würden.

Die halb nackten, knochendürren Arme mit den spiessigen Fingern stehen am besten im Einklange mit den magern, kurz gespaltenen Beinen, die in ein Paar kurzen, schrecklich zerrissenen und beschmutzten Hosen stecken. — Eine altersschwache

Weste deckt nur theilweise das Hemde, eine wahre Oriflamme und Feldzeichen der *Cloaca maxima* Roms.

Während ein eben so unreinliches Kind, eben so missgestaltet und bis auf das Hemde ganz nackt, nach der matten Flamme der graugelblichen Talgkerze hascht, verständigen wir uns mit dem Wirthe und erfahren in möglichst längster Zeit, dass nichts zu Hause sei als Branntwein, Wein und Brot.

Hiermit stehen wir aufs neue im Dunkeln, da unser Wirth sich wieder entfernt hat, um eine andre Kerze zu holen, welche er in einem demolirten, eisernen Leuchter auf einen klastertlangen, plumpen Tisch stellt. — Da der schreckliche Dunst uns Allen schon die grössten Kopfschmerzen erzeugt hatte, so finde ich es für nöthig, das Fenster zu öffnen; leider ist dieses aber zugenagelt und die Ursache, warum die Abenddämmerung nicht in das Zimmer hineindringen kann, liegt darin, dass die zerschlagenen Fenster mit alten, nassen, faulen Lumpen zugestopft sind. — Diese reisse ich heraus, zerschlage, nachdem ich vorher den Preis abgehandelt habe, noch die letzten Scheiben in der Nähe des Tisches, um so wenigstens einen frischen Luftzug zu erzeugen.

Leider hatte sich der Himmel mit Wolken bedeckt und ein kalter Gebirgswind machte es unmöglich, vor dem Hause zu bleiben. Der geübtere Kutscher hatte seine Pferde schon längst in einen immensen Gaststall einquartiert und sie aus unserm Vorrathe reichlich mit Futter versehen. —

Uns ging es schlechter. Durch unsre Ansprüche misslaunig gemacht, kostete es viel Mühe, ehe der Wirth sich dazu bequeme, den wackelnden Tisch ein wenig von dem grössten Unrathe zu reinigen, ein reines Glas zu bringen, und als endlich eine Flasche mit Wein und eine mit Wasser kam, so starteten diese so voller Schmutz, dass man sie zurückgeben musste, besonders da der Inhalt ebenfalls ungeniessbar blieb, indem im Wasser ein naturhistorisches Cabinet, alle denkbaren Infusorien auf das gelungenste zusammengestellt schienen. Glücklicherweise half unser eigener Wein, und da das Brot, ausser etwas Sand und seiner Grobheit, noch ziemlich anging, so war unser Nacht Mahl bald vollendet und die Anstalten zum Schlafen wurden getroffen.



Hierüber waren indessen beinahe zwei Stunden vergangen und die Scene hatte sich sehr verändert.

Während man für uns auf der Erde, die, beiläufig gesagt, nur ein schlammichter Lehm Boden war, — ein mageres Heubündel ausbreitete, und während wir uns der Röcke entledigten, um diese als Kopfpolster zusammenzurollen, liess ich meine Augen in dem halbdunkeln Zimmer umherschweifen, um die anwesenden Gäste genau in Augenschein zu nehmen. — Wer beschreibt aber meinen Schrecken, als ich ausser 3 Hunden und 4 Kälbern 19 Personen männlichen, schmutzigen Geschlechts und halb betrunkenen Profession gewährte! — Ueberdem gackerte eine Henne hinter dem Ofen und durch die vielen unfreiwilligen Luflöcher des Zimmers blies ein scharfer, schneidender Zugwind. Mit allem möglichen Heroismus suchte ich endlich gleich meinen Gefährten das Lager auf, welches uns wegen seiner geringen Breite mehr zum Aufeinander- als zum Nebeneinanderliegen zwang. Nachdem ich nun eine Stunde dem Treiben der immer mehr im Fuselrausch fortschreitenden Gäste zugehört hatte, fing ich aus übergrosser Ermattung an, allmählich in einen sanften Schlummer zu verfallen, — aber wie bitter ward ich getäuscht! — Die schrecklichsten Träume peinigten mich, eine Bergeslast wälzte sich auf meine Brust, und als ich mich endlich, mühsam erwachend, von den Bildern des Traumes losrang, fand ich die Ursache in einem der räudigen Hunde, die meine Wärme angelockt haben mochte, und der sein Lager auf und neben mir genommen hatte. Zugleich fing es überall an, mich zu zwicken und zu peinigen, der Hund hatte mir natürlich einen Theil seiner leichtfüssigen Besatzung überlassen, und um solchen Annehmlichkeiten für den andern Theil der Nacht zu entgehen, blieb mir nichts übrig, als auf einer Bank ein neues Ruhelager zu suchen.

Aber im Zimmer ist Alles stockfinster! — Ich taste umher, erfasse hier ein fremdes Bein, dort einen Kopf, trete bald auf einen Hund, bald auf einen Menschen oder ein Kalb, bis ich zu meiner grössten Freude endlich die Ofenbank erreiche, die noch auf einer Seite unbesetzt ist. —

Mein Mantel und Rock bereiten mir schnell ein andres Lager, doch kaum hatte ich das erste Stadium des süssen *dolce far niente*, des Einschlummerns begonnen, als ein beständiges

Kratzen in meiner Nachbarschaft meine matten Lebensgeister aufs neue zu wachender Thätigkeit aufregt. — Da ich mir anfänglich den Grund dieses sonderbaren Geräusches nicht erklären konnte, so lausche ich begierig, ehe ich mein Tastvermögen auf Expedition auslaufen lasse. Doch dies geschieht, da ich das monoton fortdauernde Kratzen dicht neben meinem Haupte verspüre, ich greife hin und erwische zu meinem Entsetzen einen Kinderkopf, dessen dazu gehöriger Körper auf der andern Seite des Ofens auf der Bank lag. — Dies konnte nur der rothköpfige, aussätzige Judenbengel vom Abend her vor der Thür sein! —

Mit einem ellenlangen, ungarischen Fluche, dass unter allen Schlafenden eine Störung erfolgt, — fahre ich in die Höhe und danke meinem Schöpfer, als ich die Thür geöffnet habe und im Freien stehe.

Die frische Luft erquickt mich, ich fühle mich gestärkt trotz meines hungrigen Magens und trostlosen Kampfes mit dem *Non plus ultra* menschlicher Sauerei und säuischer Menschlichkeit, — der Wind hatte nachgelassen und mir wird ordentlich wohl, als ich in unserm Korbwagen, wohl eingewickelt in meinem Mantel, liege, — das Glück begünstigte mich auch so, dass ich mit einigen Mückenstichen und einer kleinen Erkältung davon komme, während meine Freunde und Leidensgefährten drei Tage am schrecklichsten Kopfschmerz laboriren.

Dies ist die Leidensgeschichte eines ungarischen Juden-Wirthshauses! — Wohl uns, dass wir in ein Bad fuhren, wo wir uns abwaschen konnten, doch wehe dem, der im Winter kommt! Vor uns breitet sich in einer sehr hübschen Lage, mit einer freien Aussicht auf die nahen Carpathen, ein freundliches Städtchen aus, — es ist Poprad, welches gleichen Namens mit dem Flüsschen ist, das mitten hindurchfließt. — Es war Frühstückszeit, also wurde Halt gemacht. Wir fuhren in den himmelhohen Gasthausstall hinein und bekamen endlich auch, nachdem einige halb-wüthende Hunde uns angefallen und einen Mordlärm erzeugt hatten, einen Dienstboten zu sehen, der uns ein Miniatur-Stübchen öffnet. Einige tüchtige Krüge mit dem erfrischendsten Quellwasser sind doch wahrlich das beste Mittel, sich nach einer solchen Nacht, wie die vorige war, — zu restauriren!

Indem wir Poprad verliessen, kamen die Einwohner aus der Kirche und hier sah ich so manches hübsche und sogar schöne Gesichtchen, — die rothbäckigen, frischen Zipserinnen stehen übrigens weit und breit in der Umgegend in dem Rufe grosser Schönheit, worin ich auch vollkommen mit einstimmen muss.

Die Magyaren sind ebenfalls ein herrlicher Menschenschlag, vielleicht die schönsten Männer Europas, leider kann man dies aber nicht durchgängig von den Damen sagen. Grosse Schönheiten unter letzteren findet man fast ausschliesslich nur in der *haute volée*, während in den niedern Ständen das männliche Geschlecht alle Schönheit für sich allein scheint usurpirt zu haben. In den Städten giebt es unter den Magyarinnen mehr Schönheiten als auf dem Lande, denn hier ist, während das Mannesvolk hoch und schlank gewachsen ist, das weibliche Geschlecht mehr klein und compact.

Mögen mir die schönen Ungarinnen dies freie Urtheil nicht übel nehmen, es ist ja nicht nur von mir, sondern auch von der grössten Zahl andrer Reisender ausgesprochen worden und thut ihrer liebenswürdigen Grazie, der reizenden Rundung ihrer Bewegungen keinen Eintrag.

Die vielen Feldwege, die sich plötzlich hinter Poprad durchkreuzten, verwirrten unsern Kutscher so, dass er endlich aufs Gerathewohl, wie man zu sagen pflegt, seiner Nase nachfuhr, — die Folgen zeigten sich bald. — Wir kamen immer tiefer in die Kornfelder hinein, endlich auf sumpfige Wiesen, und hätten wir nicht zufällig einige Leute auf dem Felde angetroffen, so wären wir, trotzdem dass uns Schmöks dicht vorzuliegen schien, Gott weiss wohin! gefahren. Nun geriethen wir aber nach einem zweistündigen Umwege auf eine Strasse, die mit mächtigen Steinen, welche die Bauern von den angrenzenden Feldern zusammengesucht und auf den Weg geworfen hatten, so besäet war, dass das Ende unsrer Excursion zur wahren Tortur wurde. —

Unser ungeschickter, nationeller Korbwagen, ohne Federn, stiess so erschrecklich, dass wir alle zusammenflogen, bald mit den Köpfen, bald mit den Füßen einander incommodirten und dazu Schmerzengrimassen schnitten, die selbst einen Sterbenden

zum Lachen hätten bringen müssen. Mit vieler Mühe quälten sich nun unsre Pferde noch ein Stündchen den schrecklich steilen Berg auf dem miserablesten Wege hinauf, bis wir den schön gelegenen Badeort erreichten, der plötzlich vor und über uns aus dem Walde hervortauchte.

Brrrr, — schnurrte der Kutscher seinen Pferden zu, — wir waren am Ziele.

Vor uns lag ein mächtiges, hölzernes Gebäude am Bergesabhang, nach Schweizerart gebaut, mit der Front in einer Art Dorfgasse, die noch durch mehrere andre hölzerne Wohn- und Badehäuser gebildet wurde. In dieser abschüssigen Dorfgasse befand sich ein kleines Gebirgswasser mit mehreren Brücken und Brunnen, um die sich grade die Hydropathen versammelt hatten, ihren Morgenimbiss zu sich zu nehmen. Das grosse Gebäude, das Wirthshaus, bildete den linken Flügel der Dorfgasse und vor ihm war eine kleine Gartenanlage mit zwei eingefassten Sauerbrunnen. — Hier war die Aussicht ganz frei und entzückend, unaussprechlich schön!

Zu den Füßen liegt, ziemlich steil herniedersteigend, ein dunkler Tannenwald, welcher auf der Rückseite des Hauses, demselben als Park dient, — doch das Auge schweift über diesen Tannenwald fort und erspäht nun die weit ausgedehnte Zips er Ebene, mit ihren goldnen Kornfeldern, ihren grossen Dörfern und zahlreichen, kleinen mittelaltrigen Städten. — Dazwischen ranken sich die Poper und viele Bäche, die in schäumenden Cascaden von der Alpenwand niederströmen, gleich einem riesigen, silbernen Spinnennetz, in hellen Farben glänzend und jedwede Regenbogenfarbe nüancirend.

Jenseits dieser fruchtbaren und durch wenige wellenförmige Hügel unterbrochenen Ebene lagert sich aufs neue das Gebirge in aller seiner imposanten Grösse. Der Fuss, mit Laubholz bewachsen, die Mitte mit dunklen Föhren umgürtet und der Scheitel kahl, wie das Haupt eines Greises. Ueber alle erhebt sich die schon oft genannte Königsalpe in ihrer nackten und grossartigen Schönheit, wenn auch nicht immer, so doch wenigstens grösstentheils mit einer flockichten, schneeigen Decke, die im überraschendsten Contraste mit den grünen Matten und Auen, mit den fernen violett-grünen Waldabhängen schimmert. Der

Anblick ist durch seinen immensen Umfang erhebend, es ist ein Panorama, wogegen alle Panoramen grosser Städte kleinlich und gleich dem geschäftig wühlenden Ameisenhaufen erscheinen.

Eben so interessant als dieser Anblick ist jener andre, wenn man sich umwendet und dann vor sich die ganze riesige Alpenwelt gelagert sieht. Ist dort der Blick ungehindert, in die weitesten Fernen zu schweifen, die süsse Verschmelzung von Ebene und Gebirge zu erschauen, so bebt er hier zurück vor den schroffen Felsenzacken, vor den gigantischen, auf einander gethürmten Steinmassen, vor den Grauen erregenden Schlünden und Abgründen mit ihren ewig rieselnden Quellen, man steht überrascht, das Auge schwindelt vor diesen kolossalen Formen, man sieht in den Schooss der Natur, in die ewig thätige Werkstätte des Schaffens und Werdens.

Dies war der Anblick, der sich mit einem Male unsern Augen darbot, so überraschend, so ganz unsre grössten Erwartungen übersteigend, dass ich gerührt, kindisch weinerlich wurde. Was liessen sich da für herrliche Reflexionen über Menschlichkeit, Schöpfergrösse, Unsterblichkeit und dergleichen machen! — Glücklicherweise störten mich meine Gefährten und ein einseitiger Rippenstoss eines durstigen Hydropathen (ein Pleonasmus!) brachte mich wieder in die gehörige Gemüthsverfassung, die für einen loyalen Unterthanen, einen deutschen Reisenden und einen hungrigen Magen am besten passt.

Der Badeort Schmöks ist ein Eigenthum des Grafen Csáky, der so wenig wie der gegenwärtige Wirth etwas dafür thut, dem Fremden ein bequemes Unterkommen zu verschaffen, der Erstere deshalb nicht, weil er den Badeort zu verkaufen gedenkt, der Letztere, weil er ganz falsch speculirt, indem er sein schnell und leicht erworbnes Vermögen lieber im Kasten ruhen lässt als durch den Aufbau von Gebäuden sich die Möglichkeit eines um so grössern Verdienstes schafft, und so ist es denn gegenwärtig nichts Seltenes, dass ein grosser Theil der Fremden wieder umkehren muss, weil er nicht einmal ein armseliges Badekämmerlein zur Unterkunft vorfindet.

Die Einrichtung der Wasserheilanstalt ist durch den, für das Wohl seiner Mitmenschen höchst verdienten Dr. Krompecher, einen ausgezeichneten Arzt, veranstaltet worden und

hat den grössern Besuch des Badeortes und seinen gegenwärtigen Ruf herbeigeführt. Von weniger Wichtigkeit ist der Sauerbrunnen, da noch mehrere andre, namentlich im Lublauer Bade, in dem Zipser Comitate vorhanden sind und als gewöhnliches Getränk mit Wein vermischt, das Sauerwasser von Sulin in der Saroser Gespannschaft vorgezogen wird. Die Hauptsache des Badeortes Schmöks ist es, dass sich von ihm aus die bequemsten Excursionen in den Südabhang der Carpathen machen lassen und man nebenbei das Vergnügen einer heitern und zahlreichen Gesellschaft genießt, die grösstentheils aus den Bewohnern des Zipser, Liptauer und Gömörer Comitates besteht.

Man kann in Schmöks sehr wohl den Charakter der Zipser studiren und die achtungswerthen Seiten desselben, die in grenzenloser Gastfreundschaft, freundlicher Gemüthlichkeit, Sinn für Kunst, Wissenschaft und Industrie, für Wahrheit und Recht bestehen, aber auch die Eigenthümlichkeit der kleinlichen Speculation, der Anhänglichkeit am Veralteten, Misstrauen gegen jede Neuerung erkennen, man kann aus ihrem eignen Munde dann leicht ihre politischen Gesinnungen vernehmen, die bei der jüngern Generation zeitgemässen Tendenzen huldigen, während bei der ältern noch ein lächerlicher Adelstolz, Servilismus gegen den Höhern und einseitiges Ueberheben sich ausspricht. Das Zipser Comitats steht in Ungarn in dem Rufe, dass es eins der loyalsten sei und dass in ihm die katholische Geistlichkeit mehr als in den meisten übrigen bei den Comitatsbeschlüssen dominiert, dagegen erkennt man auch allgemein an, dass Zips eine der gebildetsten, gewerbfleissigsten Gespannschaften sei, und die Geschichte hat bewiesen, dass hinter einander eine Reihe der ausgezeichnetsten Männer aus diesen Gauen hervorgegangen ist, deren Bewohner in Folge der eigenthümlichen Biegsamkeit des Geistes, sobald sie in die rechte Lebensschule kommen, Aufmerksamkeit auf sich ziehen und sich Verdienste zu erwerben wissen.

Der gemeine Zipser, gewöhnlich in blauem Tuche gekleidet, mit grossem, runden Hute, starkem, knochigten Gliederbau, blonden Haaren und blauen Augen, durchschnittlich blühender Gesichtsfarbe, oft eben sowohl Männer wie Frauen von seltner Schönheit, bearkundet durch seine äussre Erscheinung wie durch

Sitten und Gebräuche die deutsche Abkunft. Er ist bieder und ehrlich, aber auch eingebildet und grob, er ist fleissig und ausdauernd, thut sich dafür aber auch gewallig viel auf seine Abstammung zu gut. Er ist durchschnittlich unreinlich, wie es die Wohnungen und die Kinder des gemeinen Mannes zeigen, begnügt sich mit schlechter Kost und erträgt leicht Strapazen, bringt es in mechanischen Sachen oft zu grosser Fertigkeit, so dass Zipser Handwerker allgemein gesucht werden und die Produkte des Zipser Kunstfleisses den ausgedehntesten Ruf besitzen.

Die Bürgerklasse dieser Provinz ist die ehrenhafteste des ganzen Staates, eine Folge davon, dass seit Jahrhunderten hier das Bürgerthum gehegt, gepflegt und begünstigt wurde, und so muthig wie der Zipser Bürger in den zahlreichen Unruhen vergangner Zeiten seinen heimathlichen Heerd, das Schwerdt in der Hand, gegen die räuberischen Anfälle des hohen Adels und gegen Feinde von aussen zu vertheidigen wusste, so fest schaut er noch heute jedem Krautjunker ins Angesicht und lässt sich weder durch die leeren Floskeln, noch durch das imposante Auftreten des Adels und der Hierarchie ins Bockshorn jagen; er hängt mit Liebe an seinem König und ist in so fern ein guter Staatsbürger, als er gegen die allgemeine Nationenverschmelzung in Ungarn nichts hat, sobald man ihm sein Recht lässt und ihn entsprechend in der Nationalversammlung repräsentirt. Die Begünstigung des Zipser Bürgerthums erfolgte nicht nur durch die ungarischen Könige, die diese deutschen Colonisten ins Land zogen, sondern auch während der polnischen Besitznahme, als sie an Polen verpfändet waren. So bildeten sich die beiden königlichen Freistädte Leutschau und Kaesmark und die sechzehn privilegierten Zipser Kronstädte, die unmittelbar, vom Comitae unabhängig, unter einem sogenannten Provinzgrafen stehen, der, gewöhnlich und mit Recht ein Bürger, und nur bisweilen durch Chikanen und Umtriebe ein Comitats-Adliger, in seiner Amtirung der königlichen Hofkammer untergeordnet ist. Endlich finden wir noch das wahre Bürgerthum in den sieben Bergstädten, wo sich jedoch schon Beamten- und Adelsaristokratie geltend macht. Da die sechzehn Zipser Städte, welche die sogenannte Provinz bilden, nicht unter dem Comitae

stehen, so erkennt die ungarische Reichsverwaltung auch gewissermassen ihre gegenwärtige Stellung nicht an und erst bei dem gegenwärtigen Landtage sind von Seiten dieser Städte Schritte zu ihrer Inartikulation geschehen. In der innern städtischen Einrichtung, namentlich in der Wahl und Geschäftsführung der Magistratualen, in der Wahl der Ablegaten zum Landtage in den königlichen beiden Freistädten, in der Ausarbeitung der Instruktion für dieselben, in der öffentlichen Strassen- und Gesundheitspolizei befinden sich gegenwärtig noch eine Menge Partheilichkeiten und Hindernisse des Fortschrittes und man wird unwillkürlich an das Patricier-Regiment in andern alten deutschen Freistädten erinnert, welches partheiische Wesen in Ungarn so an der Zeit wäre auszurotten, wie es bereits anderswo geschehen ist. Die Handhabung der Gerechtigkeit ist oft von der Willkühr des Stadtrichters oder Stadthauptmanns abhängig und vor Allem wäre es wünschenswerth, ja es ist sogar dringendes Zeitbedürfniss, dem ganzen Körper der Bürgerschaft bei den Magistratswahlen und bei der Erledigung allgemeiner städtischer Fragen grössern Einfluss zu geben, die Magistratualen aber selbst Zeitlebens für ihre Amtsführung verantwortlich zu machen, das öffentliche Verfahren der Gerichte einzuführen, den Adligen den Einfluss in Bürgerangelegenheiten ganz zu entziehen, da sie ja den Einfluss der Bürger in ihren Angelegenheiten nicht gelten lassen, eine strenge Controlle der öffentlichen Gelder vor der ganzen Bürgerschaft durchzusetzen und vor Allem den empörenden und scandalösen Wahlumtrieben ein Ende zu machen.

Während so in den Städten noch Vieles zu wünschen übrig bleibt, bedarf es keiner weitem Erwähnung, dass jene *pia desideria*, die für ganz Ungarn gelten, sich auch auf das Zipser Comitat beziehen, und wenn hier gleich auch der Bauer durchschnittlich sich eines gewissen Wohlstandes zu erfreuen scheint, so ist dies jedoch grösstentheils nur der deutsche, der sich gewöhnlich von den Verpflichtungen gegen seine Herrschaft losgekauft hat, während der slawische Bauer von seiner Herrschaft nicht besser als anderswo behandelt wird und sein Culturzustand auf einer schauerhaft tiefen Stufe sich befindet. Wir haben vorher gesehen, welche Greuelscenen sich die Slawen dieser Gegenden in der Cholera-Epoche zu Schulden kommen liessen,



und wer würde hierin nicht Beweis genug finden, dass das Volk in jeder Beziehung im höchsten Grade verwahrlost ist, denn nur ein durch Knechtschaft gedrücktes, seiner Menschenrechte beraubtes und dadurch zum Thier herabgewürdigtes, jeder höhern Bildungsstufe entfremdetes Volk wird, wie die Geschichte beweist, sich solche Greuelszenen zu Schulden kommen lassen, die bei dem deutschen Bauer nur vor Jahrhunderten im Bauernkriege vorkamen. Aus eignem Antriebe aber haben die deutschen Colonisten, namentlich in den königlichen Freistädten, sehr viel für die Wissenschaft gethan und das gegenwärtige Lyceum in Kaesmark ist unstreitig eine der ersten Lehranstalten des ganzen Staats, besonders seitdem die juridische Facultät durch die Vorlesungen des Hrn. Professor Dr. Hunfalvy aus allen Theilen Ungarns Zuhörer herbeilockt. Am jämmerlichsten steht es in ganz Ungarn nächst dem Mädchenunterricht, den man nur in den grössten Städten kennt, und der gewöhnlich wie bei den Bauern sich nur auf Lesen, Schreiben und Rechnen beschränkt, mit dem Unterricht in naturwissenschaftlichen Gegenständen, der Mangel an geographischen, geschichtlichen, den gewöhnlichsten chemischen und physikalischen Wissenschaften zeigt sich beim Adel wie beim Bürger in der crassesten Blösse. Ueber Politik und juridische Gegenstände weiss jeder des Breiten zu sprechen, besonders ist die Privilegien-Nomenclatur dem Adel sehr geläufig und man findet demzufolge auch nur ausnahmsweise wissenschaftliche Versammlungen und Vereine, wie sie anderswo schon in jeder Provinzialstadt gehalten werden. Tabakrauchen, Kartenspielen, Essen und Trinken, Gespräche über politische Verhältnisse und Stadtklättschereien bilden die Unterhaltung; selbst wenn Drei zusammenkommen, fehlt es bei der Lebhaftigkeit der Leute nicht an Opposition, um so mehr, da unter diesen Dreien gewiss immer ein Adliger ist.

Die schönste Seite des Zipser Lebens ist das Familienleben und hierin könnte man es allen Völkern als Muster aufstellen. Die Achtung der Kinder gegen die Eltern, die beiderseitige Zuneigung derselben, das innige, tiefe Gefühl, welches alle gemeinschaftlich theilen und von dem man in Norddeutschland beinahe gar keinen Begriff hat, der heitre, frohe Ton, der beständig im Hause herrscht, und das feste Zusammenhalten selbst

der entferntesten Verwandten, die jedem, auch dem Entferntesten aus ihrer Mitte nicht blos mit guten Worten, sondern auch mit guten Thaten stets hülfreich bei der Hand sind, sind so herrliche und herzerhebende Eigenschaften dieser unsrer deutschen Brüder, dass man sich nur mit Schmerz aus der Mitte so theilnehmender, lieber Leute trennen kann, die, wenn sie gegen den Glücklichen auch kurz angebunden sind, um sich nichts von ihren sogenannten Rechten zu vergeben, so doch gegen den Unglücklichen sofort alle ihre Vorurtheile ablegen und sich in Beweisen der edelsten Hochherzigkeit überbieten.

Die polnischen Flüchtlinge nach der unglücklichen Revolution haben hundertfach Gelegenheit gehabt, diese Erfahrungen zu machen, und auch ich verlebte meine glücklichste Zeit in dem Zipser Comitate.

Der durchschnittlich sterile und unfruchtbare Boden des ganzen Nordtheiles und der Gebirge des Comitates ist unstreitig die Ursache, dass der Ackerbau so wie der Handel, Künste und Gewerbe mit grösserm Fleiss und grössrer Anstrengung getrieben werden, dass man die Stallfütterung theilweise, die Dreifelderwirthschaft überall, den ausgedehnten Anbau der Kartoffeln, die gute Pferdezucht, die grossen Dampfbrennereien zur Mästung des Schlachtviehes mit Spülicht u. dergl. eingeführt hat. Das Clima, welches in Zips schnell wechselt und beinahe immer unfreundlich ist, hat die Obstbaumzucht und die Horticulturn sehr beschränkt, doch nehmen sie natürlich gegen Süden immer mehr zu. Wein, Tabak und Mais kommen durchschnittlich hier nicht mehr fort, im Norden auch kaum schon Waizen, im hohen Gebirgslande aber nur der Hafer und überall die Erdäpfel. Hanf wird wenig, Flachs desto mehr gebaut, Leinwand in ungeheuern Massen erzeugt und, wie wir bereits sahen, bis Südamerika exportirt.

Der Zipser Landwirth muss wegen des veränderlichen Climas sehr sorgsam sein, da Wolkenbrüche in den Carpathen die Bäche zu Strömen anschwellen, die dann seinen Acker mit Kies überschottern, Orkane, die selbst Häuser hinwegführen, nicht selten sind, Hagelschlag beinahe in jedem Jahre hier oder dort den Feldertrag zerstört, anhaltender Regen die Erdäpfel ausweicht, — — kurz, da alle jene grossen Naturscheinungen des Hoch-

gebirges, welches hier gleich einer Mauer emporsteigt, sich ereignen, und während man im Dorfe Dsjar den Hafer im Monat Oktober oft noch grün schneidet und die Erdäpfel nur alle drei Jahre einmal reif werden, hat Iglo oft die besten Weintrauben und hier und da Melonen. Am meisten gefährdet der überhand nehmende Holzmangel die Zukunft der Bewohner dieser Gegend, und es ist ein grosses Glück, dass grosse Torf- und Steinkohlenlager vorhanden sind, welche wegen kleinlichen Krämergeistes, schmutziger Privatinteressen und aus Mangel an Sinn fürs allgemeine Beste ihre Benutzung bisher verhinderten, und nur wenige ausgezeichnetere Männer trachten mit ganzer Seele darnach, der Erde ihre Schätze zum Wohle der Menschen zu entreissen. Uebrigens florirt der Bergbau in den sogenannten Bergstädten ausserordentlich und es ist dieses Feld der Thätigkeit in Zips so stark bebaut, dass viele Tausende darin ihren Erwerb finden, und sich ein eigener Verein unter dem Namen „Oberungarische Waldbürgerschaft“ gebildet hat, deren Zweck es ist, die Interessen des gewerkschaftlichen Grubenbaues durch Verschmelzung in eignen Hütten wahrzunehmen und dadurch den kleinen Gewerk vor Uebervortheilung zu bewahren, als mächtiger Körper aber um so eindringlicher für das allgemeine Beste sorgen zu können. Jeder, der sich mit dem Grubenbau beschäftigt, selbst wenn er auch nur Eigenhauer ist, d. h. seine eigne Grube bearbeitet, ist Waldbürger und nur die Masse des in seinen Bergwerken erzeugten Erzes kann einen Waldbürger bei der Versammlung stimmfähig machen oder, wenn Mehrere die nöthige Quantität Erz erzeugen, so erwählen sie einen aus ihrer Mitte zum Stimmführer.

Die Statuten des waldbürgerschaftlichen Vereins haben die Genehmigung der Regierung erhalten und ein jedesmaliges Comité, aus Präsidenten, Vicepräsidenten, Assessoren und technischen Mitgliedern gebildet, sorgt für die Aufrechthaltung derselben. Das technische Personal ist theils mit der Verwaltung der Georgi- und Phoenixhütte, theils mit dem Kassawesen der Grubenvermessung u. s. w. beschäftigt und alle Jahre wird in einer öffentlichen Generalversammlung genaue Rechenschaft über den Stand der Dinge abgelegt und durch den Druck veröffentlicht. Die Waldbürgerschaft gewinnt das Kupfer aus den Erzen

und nunmehr wird sie auch das Quecksilber aus den Kotterbacher Fahlerzen zu gewinnen trachten, weshalb sie im Bau einer neuen Hütte begriffen ist. Sämmtliche edle Erze müssen bei der königlichen Hütte eingelöst werden und um den Eisenbergbau bekümmert sich der Verein eben so wenig. Als Nutzen hat sich bei demselben bis jetzt der grössere pecuniaire Vortheil für alle einzelnen Glieder gezeigt, da nunmehr kein Hüttenspeculant von dem Bergmann lebt, sondern dieser seine Erze auch in den eignen Hütten verschmilzt.

Der reichste Silberbergbau wird im Südosten des Comitates in Göllnitz, bei den Dörfern Slowinka und Kotterbach und auch theilweise in jenem kupferreichen Gebirgszuge getrieben, der sich von der Königsalpe in östlicher und südöstlicher Richtung als Grenze gegen das Gömörer Comitats bis in die Tornaer Gespanschaft hineinzieht. Bei den Städten Krompach, Iglo und Göllnitz ist ein blühender Eisenbergbau und Gold wird zu Bocza im Liptauer Comitats gewonnen und einst auch in den Felsen der Tatra.

Diese Riesenmauer steigt plötzlich aus der 3—4000 Schuhe hohen Zipser Magura im Osten des Comitats neben dem Flüsschen Kotlin bei dem sogenannten eisernen Thore zu einer beinahe senkrechten Höhe von 8000 Schuh empor, erreicht in einer Entfernung von circa vier Meilen in dem Eisthaler Thurme, Lomnitzer und Gerlsdorfer Spitze zwischen dem obern Bialka-, Javora- und Kahlbach-Thal die grösste Höhe, wobei ich noch darauf aufmerksam machen muss, dass eine bisher unbenannte Spitze am Schlusse des obern Bialka-Thales alle bekannten und benannten weit überragt, jedoch so durch die umliegenden Berge verdeckt wird, dass sie nur vom Sieben-Granathurm, Gerlsdorfer- und Eisthaler-Spitze sichtbar ist. Von diesem Hauptstock, der am weitesten gegen Süden vorgeschoben ist, folgt die Königsnase, Gerlsdorfer-, Boczdorfer-, Mengsdorfer-Spitze, grosse und kleine Bastei und endlich der gewöhnlich an Höhe überschätzte Kriwan. Von jetzt ab fällt die Kette schnell wieder nahe an 2000 Fuss und erst im Rohacs und Racskova finden wir an der Liptauer und Galizischen Grenze in dieser westlichen Verlängerung des Hauptstockes die Höhe von beinahe 7000 Fuss wieder, die nun sich bis zur Durchschnittshöhe der Zipser Ma-

gura hinabsenkt, und in solcher mit einzelnen Ausnahmen die Comitate Liptau, Arva und Turócz erfüllt. Die Gesteinsbildung des Stockes ist grünlich-grauer, bläulich-weisser und grosskörniger, rother Granit, an den sich gegen Süden so wie Norden Kalk und Carpathensandstein anlagert, welche beide Gesteinsarten auch sämtliche Vorberge bis zur weitem Steinkohlenformation und namentlich gegen Norden, Osten und Westen die Vorberge von der angezeigten Höhe bilden, worauf gegen Süden in der Königsalpe und dem Sohler Alpenzuge besonders Gneuss und nur hier und da granitartige Bildungen zu Tage treten. Von dem Hauptstocke der Carpathen gehen nach Süden beinahe gar keine Vorberge aus, daher er von dieser Seite wie eine Mauer und weniger malerisch als von Norden aussieht.

Nach diesen Praeludien wird es am besten sein, unsre Alpen-Excursion selbst anzutreten, zu der Schmöks, unser gegenwärtiger Aufenthalt, so geeignet ist, wie dieses im Norden für Javorina gilt.

Natürlich muss man sich zu einer solchen Excursion vorher stärken und demgemäss verlassen wir den Aussichtspunkt auf die Zips und das Hochland und suchen die Aussicht aufs Buffet und die gedeckten Tafeln im Speisesalon auf.

Die Mittagsglocke rief alle herbei und der ganze Besuch von vielleicht hundert und einigen Personen drängte sich nun in den Saal zusammen, um wo möglich den besten Platz, d. h. die angenehmste Nachbarschaft zu erhalten. — Man musste erstauen, welche bedeutende Anzahl hübscher Zipserinnen sich hier zusammengefunden hatte, die jedoch nur dem geringsten Theile nach, der Hydropathie wegen, hier ihren provisorischen Sitz aufgeschlagen hatten. Während an der einen langen Tafel die Wassertrinker mit kalter Suppe, kräftigem und derbem Fleisch, Gemüse-Portionen und dem klarsten Quellwasser abgefüttert wurden, während diese mit einem merkwürdigen Appetit über ihre wohl an Masse, aber nicht an Gehalt reiche Kost herfielen, ging es an unsrer Tafel sehr lebendig und munter zu. Die 6 Gänge, die uns der Wirth für den Spottpreis von 30 Xr. C. M. offerirte, waren mehr, als ich selbst nach allem gehörten Lob in dem abgelegnen Schmöks erwarten konnte; wir, die Antagonisten

der Hydropathen fanden selbst den Wein recht geniessbar und manche dieser Kranken schnitten ein ziemlich saures Gesicht, als ihr grösstes Gift, der Champagner, beim Dessert zu knallen anfang.

Die Unterhaltung, so wie der beste Humor von der Welt waren allgemein. Man scherzte, man lachte und jubelte, kurz Alles unterhielt sich auf das beste, es schien die ganze Gesellschaft aus einer Familie zu bestehen, so befreundet hatte uns das innige Zusammengedrängtsein des kleinen Badeorts.

Mit einmal ertönten die kräftigen Harmonieen einer viestimmigen Instrumental-Musik. Es war das Musikchor des Comitats, wohl instruirt und wohl uniformirt. Anderthalb Dutzend uhlanenmässig costümirte Musikanten bildeten dieses Chor, welches nicht wenig zu unserm Amusement beitrug. Diese Jünger Apollo's sind alle Zigeuner, jedoch so wohl einexercirt, dass sie alle bekannten neueren Piècen meisterhaft aus dem Kopfe spielen. Von Notenblättern ist dabei selten die Rede, jeder lernt sein Instrument vom Hörenspielen und es ist erstaunlich, zu welcher Fertigkeit diese rohen Naturmenschen es in kurzer Zeit bringen.

Ueberhaupt ist der Musiksinn bei den Zigeunern überall vorherrschend. Kaum aus den Windeln hervorgewachsen, fängt ein solcher Bursche schon an, auf der Violine herumzukratzen und kratzt sich so lange durch alle möglichen Disharmonieen hindurch, bis er endlich in die reinen Töne geräth und sich dann als heldenmüthiger Eroberer darin festsetzt. Man darf diesen rohen Menschen nur ein- oder zweimal selbst schon schwierigere Piècen vorspielen und schon äfft er sie ziemlich gut nach.

Während das Musikchor den ganzen Nachmittag über seinen Vortrag fortsetzte, besuchten wir die nächsten Promenaden, unter welchen besonders eine allgemein vorgezogen wird, weil sie von einem Standpunkte zu gleicher Zeit sechzehn Ortschaften dem Auge vorführt. Ich übergehe hier mit Fleiss die Schilderung solcher Naturschönheiten, denn leider habe ich es schon zu oft gethan und nichts ermüdet den Leser mehr als dieses.

Die siebente Abendstunde giebt aufs neue das Signal zum Speisen. Es findet dieselbe Unordnung, dasselbe Gedränge

und dieselbe Lustigkeit wie bei der Mittagstafel Statt, nur werden die armen Hydropathen noch schlechter abgespeist und müssen sich mit Milch, Brot und halbkalten Erdäpfeln begnügen.

Zur Unterhaltung fehlt es nicht an dem beliebten *Aqua fontana* und es ersetzt durch seine krystallhelle Klarheit alle übrigen Bestandtheile einer wohl besetzten Abendmahlzeit, wie sie auf unserm Tische Statt fand, und nach welchem die kranken Wassertrinker oft mit sehnsüchtigen Augen hinüberschauten.

Die Unterhaltung, die Schmöks also bietet, besteht in den Spaziergängen, — wohl für den Naturfreund am werthvollsten, — in Musik, Spiel, bisweilen Tanz, — einfacher, aber guter Küche und in einem befreundeten Zusammenleben, welches sich, so wie auf einem einsamen Schiffe, sehr bald macht.

Kommt man im Anfange der Saison, im Monat Juni hin, — so kann man auf ein ziemlich gutes Quartier für den ganzen Sommer rechnen; kommt man später, so muss man oft mit einem miserablen Loche, wie unser Zimmer war, fürlieb nehmen. Die Bedienung ist so gut, wie sie in einem halbcivilisirten Badeorte sein kann, doch wird man jedenfalls wohlthun, sich eigene Domestiquen mitzubringen, was um so eher geschehen kann, da die Preise in jeder Hinsicht äusserst gemässigt sind, ja Schmöks sogar das billigste Bad ist, welches ich jemals kennen lernte.

Die Excursionen, die man von Schmöks aus unternimmt, sind entweder Alpenparthieen oder kleine Reisen in die Städte der Zipser Ebene. Kaesmark, Leutschau und Iglo, die bedeutendsten, sind ganz in der Nähe und in ihnen erhält man alle Bedürfnisse, die Luxus und Mode mit sich bringen. — Das grosse Bartfelder Bad kann man so wie Eperies in einer stärkeren Tagereise erreichen. Am interessantesten bleiben aber unstreitig die Alpenexcursionen, die jedoch für weitere Entfernungen einen kräftigen und gesunden Körper verlangen, da die Wege noch sehr wenig geebnet und selten gefahrlos sind. — Man besucht von hier aus die Lomnitzer und Gerlsdorfer Spitze, die Königsnase, das mittlere Grath, den polnischen Kamm, — Alles Höhen von circa 8000 Fuss über der Meeresfläche.

Nachdem auch ich diese Nachrichten eingezogen hatte,

beschloss ich, besonders da meine Zeit Eile erforderte, mich gleich an das grösste Unternehmen, an die Besteigung der Lomnitzer Spitze zu machen, besonders da ich von diesem Punkte aus alles Uebrige zu übersehen hoffte.

Kaum graute der Morgen, als ein Klopfen an unser kleines Fenster mich weckte. Mit beiden Füssen sprang ich aus dem Bette und vernahm nun die Stimme unsers angenommenen Führers, Namens Martin Urban, eines Müllers, den ich auch hiermit allen Lesern dieses Buches und allen Besuchern des Badeortes Schmöks unbedingt als einen ordentlichen, nicht ungebildeten, muthigen und, — was am meisten sagen will, — mit seinem Geschäfte höchst bekannten Mann bestens empfehle.

Da ich schon die ganze Nacht von Nichts als von Gletschern, Lawinen, Schneefeldern, vom Hinaufkriechen und Herabsteigen geträumt hatte, so dauerte es nicht so lange, um mich munter zu machen und auch meine etwas verschlafnen Reisegefährten zu bewegen, ihr warmes Lager zu verlassen, um mit mir die ziemlich unfreundlichen Matten der Lomnitzer Spitze zu erklettern. — Das Wetter hatte sich leider seit gestern bedeutend geändert. Der klare Sonnenschein durfte kaum für den heutigen Tag erwartet werden und der bewölkte Himmel zeigte sich nur sparsam durch die zerrissnen Nebelstreifen, die sich aus den Schluchten und Klüften des Hochgebirges hervordrängten und in bizarren Gestalten die ganze Gegend durchzogen, bis ein leichter Wind sie erfasste und sie, — als hätte ein panischer Schrecken sie ergriffen! gleich tollen Geistern in die Zipser Ebene herniederstiegen.

Ziemlich missmüthige Gesichter machte unsre kleine Caravane von circa 15 Personen, die sich in der Zeit meiner Wetterbeobachtungen vor dem Gasthause eingefunden hatte, — einige dieser Helden machten sogar den energischen Vorschlag, wieder zu Bette zu gehen, doch der Ausruf meines Führers, — „der Nebel setzt sich“ — encouragirte uns dermassen wieder, dass jeder Zweifel an einem glücklichen Ausgange unsers Unternehmens bei Seite geworfen wurde und wir todesmuthig unsern Weg antraten.

Natürlich hatten wir vorher nicht verabsäumt, uns reichlich



mit allem dem zu versehen, was zur Erleichterung unsrer Excursion hatte beitragen können, also nicht allein mit Steigerstöcken, sondern auch Wein- und Brantweinflaschen, Brot und Fleisch, ja Einer der Theilnehmer hatte sich sogar mit einigen langhalsigen Champagnerflaschen versehen, die er in seinem Heroismus auf dem höchsten Punkte Ungarns zu entleeren gedachte.

Alle diese überflüssigen Dinge, zu denen auch noch Mäntel gehörten, hatten wir einigen Trägern aufgebürdet, die jedoch sehr bedenklich den Kopf schüttelten, und vielleicht durch ihre Last niedergedrückt, steif und fest behaupteten, dass es heute rein unmöglich sei, die Lomnitzer Spitze zu erreichen.

Ohne auf solche Intermezzos, die wohl nie bei einer Bergparthie in zweideutigem Wetter fehlen, — zu achten, hatte ich rüstig meinen Weg fortgesetzt und, da es anfangs nur sehr gelinde bergan geht, so kamen wir tüchtig vorwärts. — Eigentlich schritten wir hier noch auf dem, von mir schon oben bezeichneten Plateau, auf dem sich auch Schmöks befindet, es dehnt sich dieses terrassenartig in ziemlich bedeutender Länge von dem Fuss der Königsnase bis zu dem Kahlbacher Thale aus und bildet einen schönen Tannenwald, den die Badegäste auch nach allen Richtungen zu ihren Spaziergängen gebrauchen. —

Während ich als fleissiger Beobachter, so weit es ging, meine Augen, selbst mit dem Risiko, bisweilen zu fallen, — rechts und links hin schweifen liess, sehe ich nun auch meine Gefährten an, die mir grösstentheils unbekannt waren und die ich bis dahin noch keines Blickes gewürdigt hatte.

Dem engern Cirkel unsrer Unternehmung hatte sich schon am gestrigen Abend ein junger Mann angeschlossen, der Bruder jener jungen Dame, die ich bei der Mahlzeit als meine Nachbarinn und als leidenschaftliche Patriotinn dem Leser vorführte. Sie selbst hatte ihren Bruder encouragirt, eine Excursion mitzumachen, die ihm als Ungar doch eigentlich näher am — Herzen liegen musste als uns Ausländern. — Ohne grade diesen Principien meiner schönen und liebenswürdigen Nachbarinn zu huldigen, stimmte ich dennoch mit Worten wenigstens vollkommen bei und gab mich sogar her, die ängstliche Mutter mit Bitten zu bestürmen, um für ihr Goldsöhnchen eine Erlaubniss

auszuwirken, die ihr allerdings sehr schwer fiel, da sie unser Unternehmen für ein höchst tollkühnes Wagstück hielt.

Die übrigen unserer Begleiter hatten ursprünglich ein abgesondertes Häuflein gebildet und sich erst im Augenblicke des Abmarsches an uns angeschlossen; es waren grösstentheils Studenten, Kaufleute, kurz lebenslustige junge Leute, denen es als eine sehr unbedeutende Kleinigkeit erschien, eine solche Promenade mitzumachen.

Darunter gab es nun manche comische Figur, die ich wohl Lust hätte, mit einigen Federstrichen zu zeichnen.

Ein eleganter Baderock, wahrscheinlich eigens für diese Saison angeschafft, ein Paar durch Strippen so stramm wie möglich angezogene Beinkleider von neuester Form und endlich die sonstigen Theile einer eleganten Toilette bedeckten einen jungen, hageren Kaufmann, der auch grade der Feinschmecker und beabsichtigte Champagnertrinker war. Alle Beweggründe und Beweismittel, um ihn von der gänzlichen Unzweckmässigkeit seiner Toilette zu überführen, waren natürlich umsonst, er hätte sich eher von jeder Excursion als von den weissen Manschetten und dem modernen Rocke losgesagt. —

Doch das Schicksal strafte bald diesen Verwegnen, er fiel schon anfänglich mehrere Male sehr ungeschickt. Die unglücklichen Beinkleider mussten es entgelten, sie zerlegten sich in ihre Factoren, der Frack konnte endlich nicht mehr gegen den losbrechenden Regen schirmen, zu enge, um zugeknöpft werden zu können, fror sein Besitzer auf das jämmerlichste und zitterte wie Espenlaub. Der schrecklichste der Schrecken war es aber, als der raue Granit unbarmherzig seine papiernen Stiefelchen verzehrte, als Stück auf Stück von der Sohle abfiel und mit halb entblösten Füßen der ruinirte Wanderer den Heimweg antreten musste. — Mit einem jämmerlichen — — „Ach Gott! Alles total ruinirt, hol' der Teufel die verfluchten Carpathen,“ — machte der Elegant auf der kürzern Hälfte des Weges Kehrt und zerbrach sich nun den Kopf, wie es ihm möglich sein würde, in diesem derangirten Costüm seinen Einzug in den Badeort zu halten.

Beinahe noch lächerlicher war ein Andrer, den wir, wäre es in Deutschland gewesen, mit dem Namen eines Alt-Deutschen

belegt haben würden. Er hatte sich grade dem Vorigen entgegengesetzt gekleidet, so zweckmässig wie möglich, ohne irgend eine überflüssige Rücksicht auf alles Gerede. Ueber seine dicken Juchtenstiefel waren ein Paar slawakische Sandalen, sogenannte Bocskoros, gespannt, seinen alten grünen Flausrock hatte er mit einem Shawl um den Leib gegürtet, nur sein Hals war bloss und der Witterung ausgesetzt, dafür aber ein mächtiger nationaler Hut über den Kopf gestülpt, der ein gutes Regendach abgab. Der dicke Bart unterstützte nicht wenig sein mächtiges Bramarbasiren, und wenn es von ihm allein abgehangen hätte, er hätte uns den ganzen Spass verdorben, denn sicher hätte er die Lomnitzer Spitze gezwungen, zu uns zu kommen, anstatt dass wir uns jetzt zu ihr bemühen mussten. —

Wie es aber gewöhnlich im Leben geht, so ging es auch hier. Der grosse Held mit allen seinen Vorbereitungen blieb am ersten stecken, auch er schimpfte auf die ganze Parthie und machte ein halbes Stündchen später als sein Vorgänger Kehrt, denn Alles wollte ihm behagen, nur der Regen nicht, — auf Alles hatte er gerechnet, nur auf das Nasswerden nicht.

Doch nun zurück zu unsrer Parthie.

Die Mühseligkeit dieser Reise beginnt erst, nachdem man sich ungefähr eine kleine Stunde Weges von Schmöks entfernt hat. Dann steht man am Ende des terrassenartigen Plateaus, welches das herrliche Alpenthal, das Thal der Kahlbach unterbricht. Die Kahlbach ist ein Fluss, der ungefähr vier Stunden oberhalb, aus dem Wasser der Schneefelder und aus dem schmelzenden Eise der sieben Seen sich bildet, durch den Zufluss vieler Gebirgswässer endlich so anschwillt, dass er, besonders bei regnichter Witterung, mit donnerndem Brausen über sein felsichtes Bette fortstürmt.

In prächtigen Cascaden stürzt er sich endlich in die Tiefe, bis er die Zipser Ebene erreicht, wo er sich mit dem Poper und durch diesen mit der Weichsel vermählt.

Seine *Saltmortales* sind freilich nicht so hoch als der Staubbach und nicht so grossartig als der Rheinfall bei Schaffhausen, allein desto öfterer und vollkommend harmonirend mit der ganzen rauhen Natur. — Die Entfernung zeigt diese zahlreichen Fälle, die sich schlangenartig durch die Felsmassen

hindurchwinden, wie ein silberweisses, schillerndes Gewebe, in das entweder die Sonne ihr gluthvolles Bild taucht und so den Farbenglanz des Regenbogens in grösster Pracht entlockt oder der düstre, umwölkte Himmel jenen Glanz in milchweissen Schaum umwandelt.

Der Ursprung des Kahlbaches ist ein doppelter, die beiden Theile der grossen und kleinen Kahlbach sind seine Wiegen und sie scheidet das sogenannte mittlere Grath, ein felsichter Kamm, von vielleicht  $\frac{3}{4}$  der Höhe der Lomnitzer Spitze. Während nun dieses Grath und die so eben genannte Spitze das grosse Kahlbachthal bilden, indem die genannten sieben Seen, grösstentheils ewige Eismeere, dem Flusse den Ursprung geben, so bildet dasselbe Grath und die Gerlsdorfer Spitze, theilweise auch die Abhänge der Königsnase das kleine Kahlbachthal, welches jedoch dem ersteren an Schönheit durchaus nicht gleichkommt.

Wir stiegen nun allmählig auf dem schlimmsten Wege in das Hauptthal, die Vereinigung der beiden genannten, hinab und wunderten uns selbst darüber, dass wir mit heiler Haut nach einer guten Stunde in der Tiefe anlangten. Der Regen, der jetzt rastlos herniederrieselte und uns natürlich im höchsten Grade belästigte, erhielt von uns vollkommenen Pardon, als wir fanden, dass er die Wasserfälle in den besten Zustand gesetzt hatte, — schäumend, donnernd, brausend stürzten sie im tollen Wettkampfe hernieder, die gepeinigten Najade stöhnte und heulte, es war ein ohrenbetäubendes Chaos aller Tonarten, in welches die entfesselte Gewalt mit obligatem Donnergebrülle einfiel. —

Wir verliessen endlich, durch die fortschreitende Zeit gemahnt, diesen schönen Punkt, und drangen über kleine und gefährliche Knüttelbrücken in das grosse Kahlbacherthal ein. — Eine Promenade im Kahlbacherthale ist das beste Gegenstück von einem Spaziergange auf gutem Trottoir, während man auf letzterem kaum nöthig hat, die Füsse zu heben, muss man in ersterem jede Gemse und jeden Steinbock um ihr natürliches Springtalent beneiden.

Alles zeigt auf die vorweltlichen Revolutionen hin, die natürlich nirgends grossartiger als im Urgebirge sein mussten. — Thurmhohe Felsenblöcke sind gleich Bachkieseln lose herum-

gestreut und oft so sonderbar hingeworfen, als könnte sie ein Fusstritt aus ihrer Balance bringen. — Doch die Steinchen liegen verteuftelt fest, man kann dreist darauf herumspringen, ohne etwas Andres zu befürchten als vielleicht herunterzufallen. Nach einem mehrstündigen, angestregten Marsche hatten wir endlich den ersten Ruhe- und Frühstückspunkt, den sogenannten Feuerstein erreicht, der jedoch etwa nicht zum bereitwilligen Feueranschlagen da liegt, sobald man nur Stahl und Schwamm bei sich hat, sondern der durch seine überhängende Form gegen jede Unbill der Witterung schützt und sich daher sehr gut zum Feueranmachen eignet. —

Der stets stärker werdende Regen hatte uns schon so durchweicht, dass sich kein trockner Faden an unserm Körper fand und der grösste Theil der Gesellschaft freiwillig der Besteigung der Lomnitzer Spitze entsagte. — Trotz alledem blieben wir jedoch standhaft, und nachdem wir uns zum Lebewohl in Champagner Muth getrunken hatten, machten wir uns, in Allem vier mit unserm Führer, auf den Weg und liessen unsere muthlose Reisegesellschaft ihren Weg nach den sieben Seen einschlagen, die ungefähr auf der halben Höhe liegen.

Ziemlich eilig ging es nun ein steiles Felsenthal aufwärts, mühselig wanden wir uns zwischen die mächtigen Felsblöcke hindurch, wobei noch stets der Springstock von ausserordentlichem Werthe war. Unser Weg wurde durch das beständig herniederströmende Wasser sehr erschwert und besonders auf dem hierdurch spiegelglatt gewordenen Rasen, mit seinem kurzen Grase, bedurfte es aller balancirenden Aufmerksamkeit, um nicht zu fallen.

So vergingen Stunden aufs neue, ehe wir uns auf dem Lomnitzer Kamm befanden, welcher ungefähr um 2000 Fuss niedriger als die Spitze ist und also doch schon um mehr als 1000 Fuss höher, als die Schneekoppe des Riesengebirges.

Den andren Theil der Gesellschaft hatten wir schon längst aus den Augen verloren, zuletzt bemerkte ich sie gleich Ameisen in ungeheurer Tiefe unter mir, endlich mir gegenüber auf den Abhängen des mittleren Graths, bis ein vorspringender Felsenacken, durch dessen Spalten wir uns mit Lebensgefahr winden mussten, sie unsern Blicken entzog. —

Leider hatte der Nebel von dieser beträchtlichen Höhe jede Aussicht unmöglich gemacht, und wir mussten alle Hoffnung auf die Lomnitzer Spitze schieben. — Die bisherige Anstrengung, die dünne Luft hatten unsern Hunger, trotz dem vorhergegangenen Frühstück, so rege gemacht, dass unser bis hieher mitgeschleppter Mundvorrath uns sehr zu Statten kam, — da überdem von hier aus erst das eigentliche Klettern beginnt, wobei Hände sowohl als Füße in Anspruch genommen werden, so war von einem weitem Mitnehmen der ganzen Bagage keine Rede mehr, selbst die Stöcke wurden weggeworfen, und auf einem Granitblock im Mantel gelagert, hielten wir unser frugales Mahl. —

Diese kleine Verzögerung konnte übrigens von keinem Nachtheil sein, da sich in dieser Zeit der Nebel wohl verziehen und sich eine Aussicht eröffnen konnte, der zur Liebe wir keine Strapazen gescheut hatten, auch heldenmüthig beschlossen, ihnen fernerhin eben so muthig entgegen zu gehen.

Von aussen peitschten der Nebel und der kalte Regen auf uns ein, während der hastig angefangene, neue Marsch von innen Ströme von Schweiss entlockte. — Durchnässt bis auf die Haut, konnte es uns keine grosse Ueberwindung kosten, mit den Händen tüchtig zuzugreifen, wo den Füßen kein brauchbarer Haltpunkt geboten werden konnte.

Selbst dieses lose Steingerölle, über das man nur immer hüpfend und springend fortschreiten konnte, war noch ein Eden und Elysium gegen jene eiskalten Granitwände, die sich plötzlich in beinahe senkrechter Höhe vor uns erhoben. — Ziemlich verdutzt sehen wir zu ihrem Gipfel empor, — der Nebel enthüllte sie momentan, um uns hoch über ihnen, auf der Spitze in ewiger Eiseskälte festgebannt, unser Reiseziel zu zeigen. — Zum Glück war ja aber unser ganzes Gepäck zurückgeblieben, auf Hände und Füße glaubten wir uns alle treulich verlassen zu können, und so begann, encouragirt von Meister Martin Urban, die Kletterei. —

Während er über uns beinahe in der Luft schwebte, machte er mich den Nachfolgenden auf jeden losen Stein, auf jede Gefahr aufmerksam, und während ich dieses wieder meinem Nachfolger zurief, ging es so weiter, bis selbst der Letzte benachrichtigt worden war. — Man muss hier nur unbedingt dem

Führer Folge leisten und darf dann ohne Furcht sein, so gefährlich auch das Ding aussehen mag. Jede Spalte diente zum Anklammern, und indem ich genau immer in die, so eben von meinem Vorgänger verlassnen Fussstapfen griff, blieb ich dicht hinter ihm, um im Nothfall selbst seinen Fuss als Anhaltspunkt zu gebrauchen. —

Nach mehr als einstündigem Klettern in dieser Art sahen wir uns, schon jetzt halb erstarrt, an der Grenze des ewigen Schnees, die sich hier in einer Höhe von 6800 bis 7000 Fuss befindet. — Da überdem auch hier das bisherige Mittel des Fortkommens aufhörte, und ein kleines, ebenes Plätzchen sich darbot, so wurde aufs neue Halt gemacht und mühselig nach Luft gehascht.

Es war barbarisch kalt, — der Regen hatte allerdings nachgelassen, doch dafür rieselte dicker Schnee hernieder, der uns bald bedeckte. — Der Schweiss, welcher selbst durch die Kleidung hervordrang, inkrustirte uns mit Eis, sobald unsre starke Transpiration aufhörte, dabei war die Luft so ausserordentlich dünn, dass wir kaum 20 Schritte machen konnten, ohne zu halten und nach Luft zu haschen. —

Das erste Schneefeld, welches wir nun erreichten, gab uns glücklicherweise ein Mittel ab, um uns zu erwärmen, wir wuschen Hände und Gesicht tüchtig mit diesem grobkörnigen, halb vereisten Schnee, wodurch eine zeitweilige Hitze auf der Oberfläche der Haut erzeugt wurde, die jedoch den Nachtheil hat, dass man die Operation oft wiederholen muss, wenn man nicht einzelne Glieder dem Erfrieren aussetzen will.

Ogleich, in dieser beträchtlichen Höhe angelangt, sich noch gar keine Aussicht uns zeigen wollte, und eben so wenig eine von der Lomnitzer Spitze zu erwarten war, so glaubten wir dennoch trotz dem warnenden Abrathen unsers Führers, unserm Vorhaben treu bleiben und trotz Eiszapfen und Schnee unsern Marsch fortsetzen zu müssen, wenn auch nur, um nicht in die Fussstapfen unsrer andern Reisegefährten zu treten, die auf halbem Wege Kehrt machten und um nicht von den Badegästen ausgelacht zu werden, die das schlechte und gefährliche Wetter sehr gespannt auf den Ausgang unsres gewagten Unternehmens gemacht hatte.

Die Ermüdung unsers Körpers wurde mit jedem Schritte, den wir höher hinauf thaten, fühlbarer. Die krampfhafte Ausspannung der Lungen, die eisigen Winde, die sich sausend und pfeifend in den barokken Felsennadeln und in den grausigen Abgründen brachen, die eben so kalten Steine, an die wir uns anklammern mussten, Alles machte unsre Excursion um so unangenehmer. — Ueberdem erlaubte das starke Schneegestöber nicht den gewöhnlichen Weg, wir mussten nun uns durch das halbgefrorene Gerinne eines Schneefeldes den Weg bahnen und, da dieses Wasserbette zuletzt beinahe senkrecht emporstieg und der spiegelglatte Fussboden kaum einen einzigen sichern Standpunkt bot, so konnten wir nur höchst langsam aufwärts kriechen, während das eisige Wasser bei jeder Bewegung uns in den Busen hineinspritzte. —

Der gefährlichste Punkt lag jetzt vor uns. Man denke sich einen unförmlichen Felsblock, haushoch, wie ein Gesimse der Felsenwand klafferweit überhangend, unter ihm ein bodenloser, dunkel hinaufgähnender Abgrund. Dieser böse Stein versperrte plötzlich unsern Weg und es handelte sich, um seine Ecke herumzukommen, — — doch auch hier half sehr bald der gewandte Führer.

Mit der Leichtigkeit einer Gemse schwang er sich, indem er seine Hände in eine Felsenspalte vergrub, über den bodenlosen Abgrund fort, und nun seine Hände der Hälfte des Weges entgegenreichend und genau die Stelle, wohin wir den Fuss zu setzen und die eine seiner Hände zu ergreifen hätten, anzeigend, gab er uns vollkommen das beinahe verlorne Vertrauen auf uns selbst wieder, so dass uns allen dieser *Saltomortale* prächtig gelang und wir wohlbehalten in einer halben Stunde auf der Lomnitzer Spitze, dem höchsten Punkte Ungarns, 8400 Fuss über der Meeresoberfläche, — anlangten. Die Lobeserhebungen unsers Führers über unsre Ausdauer bei so furchtbarem Wetter hätten uns etwas eitel machen können, wenn die Macht unsrer Gefühle uns Zeit dazu gelassen hätte. —

Auf der Spitze dieses Berges ist eine kleine Pyramide, von losen Steinen zusammengesetzt, auf welcher wieder eine kleine Stange Holz den allerhöchsten Punkt bildet. — Unter den losen Steinen befindet sich ein Töpfchen, wohl geschützt gegen jede



Nässe, mit kleinen Papierschnitzeln, auf denen sich die Besteiger dieses Berges verewigt haben. —

Im Ganzen fand ich 23 Namen, die allerdings meistens Ungarn angehörten, davon standen 9 unter demselben Jahre 1840. — Natürlich ermangelte ich auch nicht unsre 4 Namen, nebst dem unsres braven und lobenswerthen Führers aufzuzeichnen, und erlaubte mir zugleich einige Bemerkungen über den Witterungszustand bei meinem Hiersein.

Die obere Fläche des Berges ist so ausserordentlich klein und so steil abstürzend nach allen Seiten, dass schwindelnde Personen sich unmöglich hier aufhalten konnten, jedoch geben die vielen Steinklüfte auch wieder die Annehmlichkeit, dass man sich leicht gegen die hässliche Unbill des Wetters, nur nicht gegen die Kälte verwahren kann. Der Lohn für unsre aufopfernde Bemühung blieb zum Glück nicht aus.

Schon waren wir im Abmarsche begriffen, als ein heftiger Windstoss lostobte und im Nu die Nebel verscheucht waren. — Golden und warm brachen die Sonnenstrahlen hindurch und zu unsern Füßen breitete sich das herrliche Bild der weiten Landschaft aus. — Unmittelbar unter uns lag das Gebirge von Lomnitz, ein wildes Chaos, als hätten hier alle Giganten und Titanen himmelanstürmend getobt, als hätte hier der Alten Edda Götterkampf gerast, — da lag Fels auf Fels gethürmt im tollen Durcheinander und zwischenein funkelten und flimmerten die glitzernden Schneefelder. Die Wässer schäumten brausend hernieder, dabei weite Einsamkeit, kein lebendes Wesen mit den Augen zu erspähen.

Herrlich glänzten die sieben Seen, theils mit ewigem Eise bedeckt, und überall zwischen ihnen das weite, weisse, winterliche Leichentuch, der Schnee. — Diese rauhen und unwirthlichen Gebirgsmassen zogen sich nun in weitem Halbkreise um uns herum, nichts als todter Stein und kalter Schnee, tiefe Klüfte und dunkle Schluchten bis tief in Polen hinein, — hätte uns nur einigermassen das Wetter begünstigt, so hätten wir Krakau gesehen; so blieb es freilich vor unsern Augen verborgen.

Viel freundlicher nahm sich der Süden aus. Dort lag die weite, korngelbe Zipser Ebene mit ihren zahllosen Ortschaften,

deren ich bequem 18 zählen konnte. Nun endlich weiter hinaus der Gebirgszug der Wasserscheide, mit der Königsalpe, im grellen Contrast mit den dicken, dunkel-grünen Waldungen, den maigrünen Wiesenmatten, gegen die kahle, felsichte und todte Nachbarschaft.

Das liebe Schmök zu meinen Füßen nahm sich so niedlich aus, dass man es hätte in eine Schachtel, als Kinderspielzeug einpacken können, das ganze Oertchen war gross wie die flache Hand einer schönen Frau, und von Menschen, diesem merkwürdigen Gabelthier war keine Spur vorhanden, so sehr wir auch spähten.

Da kam eine Nebelmasse wie ein gespenstiger Riese hergezogen, und aus war es mit der ganzen Aussicht. —

War unsre Tour bergauf gefährlich und im höchsten Grade fatigant gewesen, so war es die bergab, welche wir jetzt begannen, noch um so viel mehr.

Früher hatten wir doch wenigstens mit den Augen sehen können, wohin wir greifen und uns halten sollten; nun war es jedoch unmöglich, und man musste sich lediglich auf das Tastvermögen der Füße verlassen. — Dieses Schweben zwischen Himmel und Erde war jedenfalls eine unangenehme Situation, dabei stellten sich auch bald Knieschmerzen ein, da das heftige Anklammern allen ungewohnt sein musste. Ueberdem leiden die Füße beim Bergabschreiten stets mehr als beim Bergaufsteigen, wohingegen hierbei wieder die Lunge und Brust heftiger gespannt wird.

Eine angenehme Unterhaltung war es, mächtige Felsblöcke die steilen Felswände hinabzustürzen, — wie rasend hüpfen diese ungeheuern Steine hinunter, machten kolossale Sprünge, bis sie endlich donnernd zerschellten und ihre Trümmer hoch zum Himmel emporsprangen. Nach dem mühseligsten Marsche von zwei Stunden hatten wir wieder den Lomnitzer Kamm erreicht und das doppelte frohe Bewusstsein, einmal unser Vorhaben glorreich überstanden zu haben und andernfalls die grössten Gefahren hinter uns zu sehen, machte uns, in Verbindung mit den vorgefundnen Speisen und Getränken, die beste Laune. — Ich muss gestehen, dass ich anfänglich geglaubt hatte, mehr

Mühseligkeiten vor uns gehabt zu haben, ich legte meinen Maassstab nach den schweizerischen Hochalpen den Carpathen an, fand mich jedoch darin glücklicherweise getäuscht.

Die Lomnitzer Spitze ist allerdings der schwierigste zu ersteigende Punkt dieser ganzen Gegend, jedoch trotz alledem jungen, kräftigen Leuten, selbst ohne grössre Vorbereitungen, leicht zu erreichen möglich. Vertrauen auf die eigne Kraft, auf die Geschicklichkeit des Führers und ein gesunder, kräftiger Körper sind hinreichend, um in 10 Stunden angestregten Marches diese Excursion zu vollenden. — Ist überdem das Wetter so ausserordentlich ungünstig wie es bei uns der Fall war, und achtet man auf Nässe und Kälte eben so wenig als auf wunde Hände und Kniee, nun so spielt die Geschichte ein Paar Stunden länger und dünkt mir, da sie um so viel schwieriger war, auch um so rühmlicher. —

Sein Hab' und Gut darf man übrigens unbesorgt auf dem Lomnitzer Kämme zurücklassen, denn da dort keine menschliche Seele herumwandelt, so ist jede Besorgniss überflüssig, es müsste denn sein, dass eine naseweise Gemse ihren Hunger an den mitgebrachten Speisevorräthen zu befriedigen sucht.

Nachdem wir uns hinlänglich ausgeruht und gestärkt hatten, verliessen wir den Kamm und langten nach 2 Stunden in dem Kahlbacher Thale am Feuerstein an, wo wir unsre zurückgelassne Reisegesellschaft zu finden hofften. Doch diese war längst zu Hause, eine Inschrift mit Kreide belehrte uns von ihrem gewagten Entschluss: „in Schmöks nicht zu spät zur Tafel kommen zu wollen.“ —

Der kühle, angenehme August-Abend, es war am 15ten, kam uns etwas novembermässig in diesen Regionen vor, und die Aussicht, bald unsern übermüdeten Körper in einem warmen Bade pflegen zu können, trug nicht wenig zu unsrer Eile bei, in der wir, die kleinen Hindernisse und unsre Ermattung kaum achtend, flüchtig fortschritten. —

Das Thal, die donnernden Wasserfälle, die Felsenschluchten, selbst die ganze Alpenwelt lag hinter uns, als wir in die Waldregion eintraten; der Uebergang zu einer wärmern Temperatur war fühlbar und die feine, dünne Alpenluft, die selbst unsre Geruchsorgane geschärft, hatte sich in ein duftendes Kräu-

ter-Aroma verwandelt, welches sich zur grössten Lieblichkeit ausbildete, als es sich mit dem Speisengeruch der Schmökser Garküche vereinte. — Unser Aufzug war so sonderbar, dass die Badegäste uns mit weiten Augen anstarrten. Keiner von uns durfte sich rühmen, mit ganzen Stiefeln zu Hause anzulangen, denn trotz dem, dass ich doppeltes Fusszeug angezogen, — von dem jedoch die Ueberschuhe mir im vollsten Sinne des Worts schon auf der Hälfte des Weges stückweise von den Füssen gefallen waren, — kam ich barfuss im Orte an und eben dasselbe widerfuhr auch unserm getreuen Führer, dahingegen die andern Gefährten sich die Stiefel, wegen ihrer dick angeschwollenen Füsse, — abschneiden lassen mussten. — Die Beinkleider hatten ein ähnliches Schicksal erlebt, theils an den rauhen Felswänden durchgescheuert, theils an den scharfen Granitzacken zerrissen, präsentirten sich die Knien sehr öffentlich und es bedurfte einiger künstlerischer Anordnungen und eines antiken Faltenwurfs, um andre Zweideutigkeiten zu bedecken. —

Ach o Jammer! Jammer! über unsre Röcke. O wie zerfetzt, zerrissen, zerlumpt sah unsre stattliche Schönheit aus! — Hätte ich eine Geliebte gehabt, und hätte die mich jetzt in diesem bettlermässigen Costüm gesehen, — o, ich hätte „einen schönen Kerl“ bekommen.

Kleider machen Menschen und Menschen machen Kleider! Beides sind unumstössliche Sätze, — demzufolge machte ich mich zum Menschen und pries im Geiste den holdseligen Schneider, der mich wieder als der Zahl kultivirter Badegäste durch seine Machwerke angehörig erscheinen liess.

So wie zur Besteigung der Lomnitzer Spitze der beste Ausgangspunkt sich in Schmöks darbietet, so ist Hradek im Liptauer Comitatz der beste Punkt, um auf den Kriwan zu gelangen, und so wie die Lomnitzer Spitze die Uebersicht über die östlichen Alpenzweige gestattet, so dient für die Liptauer und Arvaer Alpen der Kriwan, für die Centralkette mit den nördlichen polnischen Ausläufern aber die Eisthaler Spitze. Um uns genauer mit der eigenthümlichen Bildung und Gestaltung des Gebirges bekannt zu machen, verliessen wir Schmöks und begaben uns auf den Nordabhang der Carpathen in das hochgelegene Hüttenwerk von Javorina, zu dem von hier aus vier

Wege möglich sind, und zwar der Fahrweg über Kaesmark und das Dorf Dsjar, dann die Alpenwege über die sogenannten Kupferschächte oder über den polnischen Kamm in das obere Bialkathal, wobei man zugleich den Besuch des Fisch-Sees und des Meerauges mitnehmen kann, oder endlich die schwierigste Route, die nur selten von Fremden betreten wird, welche jedoch in vieler Hinsicht empfehlungswürdig ist, durch das grosse Kahlbachthal, durch die vordern und hintern Eisthäler in das Javorathal und nach Javorina. Für schwächliche Personen ist nur der Fahrweg möglich, für gute Fussgänger der Weg über die Kupferschächte und für geübte Alpensteiger die beiden letzteren Wege. Der Weg über den polnischen Kamm führt von Schmöks aus in das Völker-Thal und zu dem Völker-See, von dem man aufwärts steigend auf den Gebirgskamm gelangt, welcher die Grenze zwischen Ungarn und Galizien bildet. Man steigt von ihm in das obere Bialkathal hinab, folgt dem Laufe des Baches und wendet sich endlich bei dem Sieben-Granatenberge westlich, nachdem man vorher so lange in nördlicher Richtung gegangen war. Man betritt hier das Thal, in welchem die Wasser des Fisch-Sees sich einen Ausgang in die Bialka gebrochen haben, und man thut Unrecht, die Bialka aus dem Fisch-See abzuleiten, da ihre eigentlichen Quellen in drei Thälern entspringen, die sämmtlich südlicher gelegen sind und vom Böhmischen und Gefrorenen See am Nordfusse des polnischen Kammes, des Wisócka und an den Ostabhängen vom Szirocko und Do-Zabim entspringen. Erst in der Gegend des Böhmischen Sees tritt man in die Krummholzregion, und erreicht darauf bald, immer stark abwärts steigend, in dem Poduplaszky-Thal, welches richtiger das obere Bialka-Thal hiesse, den Sieben-Granatenberg und Sucha-Dodina links lassend, das Fischsee-Thal, bei welchem man aufs neue die Krummholzregion betritt. Der Fisch-See ist in seiner Grösse allgemein überschätzt worden, wozu wohl die ausserordentlich hohen Felsen an seinem Süd- und Ostufer, die sich in einer senkrechten Höhe von mehr als 2000 Fuss erheben und sich in beinahe senkrechten Abstürzen hart an das Seeufer ziehen, vieles beitragen. Der See, welcher beinahe eine kreisrunde Form bildet, besitzt ein sehr durchsichtiges, dunkelgrünes, reines Wasser und

die ihn bewohnenden Fische sind wegen Mangels an Nahrung ausserordentlich mager. Ostwärts des Sees treten die Felsen ein wenig zurück und es befindet sich auf der dadurch gebildeten Terrasse das, etwas kleinere, Meerauge von unergründlicher Tiefe, ebenfalls von senkrechten Felsen, dem Hruby, Zali, der Sucha-Dodina und andern hohen Spitzen umringt. Das Meerauge steht durch einen Felsendurchbruch und einen schönen Wasserfall mit dem unten liegenden Fisch-See in Verbindung und die Entfernung beider kann bergauf in einer halben Stunde zurückgelegt werden. Um über den Fisch-See zu kommen, befindet sich auf demselben ein Floss, dessen Führer polnische Hirten sind und zur Aufnahme der Reisenden, die eine Mondnacht in dieser imposanten Alpenwelt zubringen wollen, ist von dem Besitzer der Gegend ein hölzernes Blockhaus am Südufer des Sees neben seinem Durchbruch und Abflusspunkte aufgebaut worden. Vom Fisch-See aus gelangt man, indem man in westlicher Richtung die Rastokka (Wasserscheide) übersteigt, und dabei durch den infamen Weg hinreichend ermüdet wird, zu dem Thal der fünf polnischen Seen, die am Tichyberg, dem Knotenpunkt des ungarischen Tichy- und Koprovaer Thales, beginnen und in nordöstlicher Richtung, durch Wasserfälle mit einander verbunden, zwischen beinahe senkrechten Felsenabstürzen, in das Bialkathal ausmünden. Ist man in der Art mit Vorräthen versehen, dass man bei den fünf Seen übernachten kann, so rathe ich Jedem, von hier aus die westliche Rastokka zu übersteigen und in das Siebensee-Thal (bis jetzt beinahe unbekannte Herrlichkeiten) sich zu begeben. Will man den mühevollen Weg nicht wieder zurückmachen, so kann man das Siebensee-Thal verfolgen und endlich nach dem galizischen Hüttenwerke Sakopana gelangen. Ein andrer Weg, wobei man natürlich sich an das Beispiel der Gemen halten muss, und der vielleicht mit zu den gefährlichsten gehört, erlaubt uns, zwischen dem Krzysno und dem Tichy in das Tichythal nach Ungarn hinüberzukommen und dieses verfolgend, entweder das Koprovaer Thal oder das Thal der Bela abwärts nach Hradek zu gelangen. Alle jene Punkte, die wir hier erwähnten, gehören so wie das ganze obere Bialkathal zu den beinahe noch ganz unbekanntenen Punkten der Tatra und grade für den Botaniker

sind sie reich an bis jetzt kaum genannten Schätzen. Das Fünfsee-Thal so wie das Fischsee-Thal führen uns abwärts zu der Bialka, dem wir folgend, das Grenzdorf Jurgow, oder uns auf die ungarische Seite ostwärts zurückwendend, das Hüttenwerk Javorina, oder endlich westwärts die Vorberge übersteigend, das polnische Dorf Bialy erreichen. Wer bereits durch diese Touren ermüdet, wessen Zeit beschränkt ist, der folge dem letzten Wege und reise von Bialy nach Koscielisko, wo er bereits die pittoresken Kalkformen vorfindet, die dieses Thal mit seinen steilen, eng zusammengeschobnen, senkrechten Felsenwänden, seinen reichen Naturschönheiten zu einem der sehenswerthesten Punkte der Carpathen machen und von dem man aufwärts steigend, zwischen dem Pisna und dem Szmerjeczini nach Liptau oder zwischen letzterem und dem Tomanovo in das obere Tichythal und durch dieses wieder nach Hradek gelangen kann.

Jedoch gebe ich der süßen Hoffnung Raum, dass meine geneigten Leser nicht zögern werden, mir nach Javorina zu folgen, da ich ihnen eine eben so gute Gemseinnatur wie die meinige zutraue und wir in diesem Hüttenwerke jene ungarische Gastfreundschaft immer vorfinden werden, die zur Stärkung bei solchen Reisen nöthig ist. Es möge jeder zukünftige Reisende sich nur unmittelbar bei dem Chef des Werkes melden, um einer guten Aufnahme, Ausrüstung mit Pferden und Führern sicher zu sein, da dieses der beste Punkt zur Erforschung des innersten Tatrastockes ist.

Der zweite mühsame Bergweg von Schmöks nach Javorina, dessen ich oben Erwähnung that, führt durch das uns bereits bekannt gewordene grosse Kahlbach-Thal aufwärts zu dem vordern Eisthale, in dem wir den einzigen sogenannten Carpathengletscher, der jedoch nur ein mit ewigem Eise von hellblauer, weiss geaderter Farbe bedeckter See ist, den ringsum Schneefelder, die bis über 8000 Schuh hoch in einer Dossirung von circa 40 Graden hinaufsteigen, umsäumen, — vorfinden. Die Ersteigung des vorderen Eisthales, die Erkletterung dieser Schneefelder mit Hilfe von Alpstock und Bergeisen, ist nur bei vollkommen heller Witterung, wenn kein frischer Schnee gefallen ist, möglich. Wir erreichen somit den tiefsten Gebirgs-

einschnitt des höchsten Tatrakammes und zwar 7200 Schuh hoch, um dann nordwärts durch das weniger gefährliche hintere Eisthal, in dem wir höchst auffallend die Muränenbildung der Schweiz an den Rändern der ewigen Schneefelder wiederfinden, zum Gefrorenen-See hinabzusteigen, von hier aus den dünnen Grund, das Javorathal und in ihm die Waldregion zu erreichen. Verfolgen wir dieses Thal in nordwestlicher Richtung, so bleibt uns südöstlich der Eisthale-Thurm liegen, von dem sich der Zug der Lomnitzer Spitze mit dem rothen See-Thurm und andern über 8000 Schuh hohen Punkten östlich zieht, ein zweiter Zug aber mit beinahe eben so hohen Hörnern sich nördlicher erstreckt und an deren Fusse sich der schwarze See unmittelbar unter dem Eisthale-Thurm, der Plocksee und noch ein unbenannter See befinden, während der grüne und rothe See dem ersteren Zuge angehören und ihre Gewässer, wie die der Fünf-Seen im Kahlbachthale gegen Norden abfließen. Die nördlich laufenden Seeabflüsse vereinigen sich sämmtlich im Javorathale und bilden endlich, nachdem sie die Hüttenwerke von Javorina getrieben haben, einen Nebenfluss der Biala, in die sie bei Jurgow münden. Da es ohnehin zur Besteigung des Eisthale-Thurmes, des gegenwärtig, durch Messungen, als die höchste Spitze der Tatra anerkannten Berges, nöthig ist, den Kamm zwischen den vorderen und hinteren Eisthalern zu erreichen, so ist es möglich, bei der Zurücklegung des eben beschriebnen Weges, diese Bergbesteigung gleich mitzunehmen, jedoch würde dann, da die Tour für einen Tag zu gross wäre, es nöthig, wenn man von Schmöks kommt, im obern Kahlbachthale, oder, wenn man von Javorina kommt, beim Gefrorenen-See oberhalb der Krummholzregion zu übernachten, wobei man allerdings, da man kein Brennmaterial bei der Hand hat, solches mitbringen oder frieren muss. Ich unternahm die Besteigung des Eisthale-Thurmes, da meine Zeit nicht so gemessen war, in grössrer Ruhe von Javorina aus, wobei es dann auch möglich ist, ohne sich zu sehr zu ermüden, alle Naturschönheiten zu geniessen.

Bei dieser interessanten Alpen-Excursion waren die einzelnen Theilnehmer derselben durch ein wunderbares Spiel des Zufalls merkwürdig zusammengewürfelt. An der Spitze unsrer kleinen Caravane stand der Koryphäe der geographischen Wis-



senschaft, Hr. Professor Carl Ritter aus Berlin, ihm folgte Mr. John Ball, ein tüchtiger Botaniker aus Dublin, ein Philolog aus Polen und ausser mir noch ein ungarischer Landschaftsmaler nebst der nöthigen Bedienung. Hoch zu Ross und Wagen verliessen wir nach Tisch Javorina, das Javora-Thal aufwärts steigend, bis die dunkle Nacht eingebrochen war, so dass es den Zurückgebliebenen beinahe unmöglich wurde, auf dem schrecklich schlechten Wege uns, die wir in der Zeit unter dem Schatten eines weitästigen Ahorns Halt gemacht und ein grosses Feuer angezündet hatten, zu folgen. Endlich war die Gesellschaft versammelt, man lagerte sich fröhlich und nahm das frugale Nachtmahl ein, wobei ein improvisirter Thee in Berücksichtigung unsres englischen Begleiters nicht fehlen durfte, und legte sich dann, in Decken und Mäntel wohl eingehüllt, theils in die Wagen nieder, theils auf den Boden der Erde, der vorher mit Tannenreisig überdeckt war.

Der frühe Morgen weckte uns und, obwohl hier und da leichte Wölkchen sich aus den Felsenritzen hervorstahlen, so hofften wir dennoch auf einen heitern, belohnenden Tag. Mein geschickter Kammerdiener, Mikso, bewillkommnete uns mit dem bereits fertigen Caffee und frischer Alpenmilch und, nachdem Pferde und Wagen unter Aufsicht zurückgelassen waren, verliessen wir unsre von Felsen umgrenzte, mit reicher Vegetation bedeckte Lagerstätte und bahnten uns mühselig durch die wild verwachsene Wald- und Krummholzregion, den schäumend kochenden und donnernden Wasserfällen der Javora vorüber, aufwärts den Weg, bis wir endlich den dürrn Grund erreichten und seine erste Terrasse erkletternd, auf weicher Alpenmatte der starren Wand, in circa 5000 Schuh absoluter Höhe gegenüber, uns zum zweiten Imbiss lagerten. Noch waren wir damit beschäftigt, als die Nebel sich thalaufrwärts drängten, uns einhüllten, hier und da zerrissen, um uns die sonnenglänzende Grossartigkeit der Alpenwelt bewundern zu lassen, und endlich in dickem Regen sich über uns ergossen. Durch unsre Bitten liess sich endlich jetzt der unermüdlich ausdauernde, grosse Geograph bewegen, in Begleitung des Philologen und einiger Dienerschaft, den Rückweg anzutreten, während wir Uebrigen lustig vorwärts stiefelten und, da wir bald die Unfähigkeit unsres

Führers einsahen, uns mehr auf unser eignes Glück verliessen. Beim Gefrorenen-See machten wir Halt und sammelten neue Kraft, um jene Schneefelder zu erklettern, die die hintern Eisthaler bildend, senkrecht vor uns nieder zu hängen schienen. Während unser Botaniker hier und da die absolute Höhe annähernd durch das Vorkommen der Pflanzen entschied, der Maler seine Skizzen machte, bewunderte ich die beinahe horizontalen Schichtungen des Granites, die sich als riesige Bänke auflagerten und deren Terrassen, schwer zu ersteigen, nur durch ihre Grobkörnigkeit den Füßen und Händen einen Haltpunkt gaben. Um uns vor den gefährlichen Schneefeldern zu behüten, folgten wir den seitwärtigen Muränen und von Regen und Schnee, von Schweiss und Spritzwasser bis auf die Haut durchnässt, dann und wann durch einen Fernblick über die Gebirgshäupter nach Ungarn und Polen ins flache Land hinein, mitten durch die zerrissnen Nebelschleier, gelabt, erreichten wir den höchsten Punkt, wo alsbald unser Engländer seine Kochmaschine hervorholte, um uns durch eine Suppe zu stärken, die der Lohn unserer Bemühungen sein sollte. Da trieb der Sturm die Wolken aus einander und — o Täuschung! die Eisthale-Spitze lag noch weit von und über uns. Höchst resignirt packten wir die Kochmaschine ein und begannen aufs neue den Kampf mit Wind und Wetter, bald ab-, bald aufwärts mit Lebensgefahr kletternd, bis wir endlich nach hundert verschiedenen Bemühungen einen Gemsenpfad fanden, der uns zu dem Ziele unsrer Wünsche führte. Der Gipfel der Kolba oder des Eisthale-Thurms ist lang und schmal, eine durch über einander geworfne Felsmassen gebildete Gräte von feinkörnigem, grünlich grauen, leicht in Schichten spaltenden Granit, in geschützten Steinklüften noch hier und da die höchste Alpenvegetation, *Anemone glacialis* u. s. w. zeigend. Hier versagte nun die belohnende Kochmaschine aus Mangel an Spiritus ihren Dienst und wir begnügten uns, zu unsrer Stärkung die trockne Gallerte mit einem Trunke Weines zu uns zu nehmen, dann aber einen kürzeren Weg mit der grössten Gefahr verfolgend, hinabsteigend, in dem vierten Theile der Zeit, zu unserm vormittägigen Frühstücksplatze gelangend und unser Nachtlager erreichend, fanden wir dort unsre Pferde,

die uns nach Javorina zum warmen Kamin und zur höchst nöthigen, erquickenden Abendtafel führten.

Man kann, während der Weg aufwärts zum Eisthaler-Thurm 12 bis 14 Stunden in Anspruch nimmt, ihn abwärts in 4 bis 5 Stunden machen und ich gab die vorhergehende Skizze unsrer Excursion, um den Nachfolgern in derselben dadurch eine kleine Anleitung zu geben. Will man sich jedoch damit begnügen, die Eisthaler Spitze, das obere Bialka Thal, das Thal von Pod-Uplasky, die Berge des Fischsees, der polnischen Fünfseen und Siebenseen, die Opalena übersichtlich in ihrer Lagerung anzuschauen, so rathe ich aus eigener Erfahrung, entweder den steilen, durch seine Höhle berühmten Kalkfelsen Muran, zwei Stunden hinter Javorina, oder die Konsky-Holla und den Schirocko zu besteigen. Zu diesem letzteren gelangt man von Javorina das Viviri-Thal aufwärts steigend, und dann dem Kamm des Gebirges folgend, binnen 6 Stunden zu jenem Knotenpunkt, von wo die starre Wand sich mit dem polnischen Kamm in Verbindung setzt, der Südabfall des Zabim das obere Bialka-Thal, der Westabhang, der Holicza und des Oplaszky das untere Bialka-Thal begrenzt. Diese Gebirgsmasse hat in der ganzen Tatra den schönsten, rothen, grobkörnigen Granit, in dem nicht selten der Glimmer eigne kompakte Nester bildet und der fleischrothe Feldspath als eigne abgesonderte Steinmasse auftritt. Hat man so mit hinreichender Musse diese hohen Gebirge durchforscht, das letzte Paar Schuhe zerrissen, so sucht man dann allerdings gern wieder die Ruhe auf, wenigstens für einige Zeit, theils um die Früchte seiner Expeditionen zu ordnen, theils um seine Bemerkungen niederzuschreiben.

Der Monat August und September ist am meisten zu empfehlen, d. h. jene Zeit, wo der alte Schnee verschwunden und noch kein neuer erschienen ist. Der Botaniker beginne mit dem ersten Frühjahre hier im Monat Juni, in den warmen Thälern sein Herbarium zu füllen, schliesse sich im August dem Geologen und Mineralogen an und gehe wo möglich von der wärmeren Südseite, von den Vorbergen der Königsalpe, von den Liptauer niedern Alpen nach Schmöks zu den höhern und von diesen nach Javorina zu dem nördlichen Abfall des Stocks der Carpathen über.

London, 13 march 1875.

*Monsieur le Président :*

*J'ai eu l'honneur de recevoir la lettre par laquelle vous m'annoncez que la Société des Tatry m'a choisi comme membre honoraire.*

*Veillez exprimer à la Société ma reconnaissance bien sincère et mes vœux pour sa prospérité.*

*Il est probable que je dois cet honneur à quelques écrits que j'ai publiés sur les Alpes mais il m'est permis de rappeler à présent des titres plus directs. Etant encore très jeune j'ai visité les vallées septentrionales des Tatry en l'année 1843 et entre autres courses j'ai été le premier à toucher le sommet de l'Eisthaler Thurm qui fut alors réputé le sommet le plus élevé de cette groupe.*

*Je conserve toujours le souvenir agréable de l'hospitalité avec laquelle j'ai été accueilli en Galicie et je vous prie de croire aux sentiments de cordialité et de reconnaissance avec lesquels je suis*

*Votre bien dévoué serviteur*

JOHN BALL.

## 60 rocznica pierwszego wejścia na Gasherbrum I

(WEGA, t. II, str. 254)

Właśnie niedawno minęła 60 rocznica 1. wejścia na Gasherbrum I w Karakorum. Szczyt zdobyli amerykańscy alpiniści w lipcu 1958 roku. Wyprawą kierował Nicholas Clinch (WEGA t. VI, str. 156), a w jej skład wchodził: Richard Irvin, Andrew John Kauffman, Thomas McCormac, Thomas O. Nevison, Gilbert Roberts, Peter K. Schoening i Robert L. Swift.

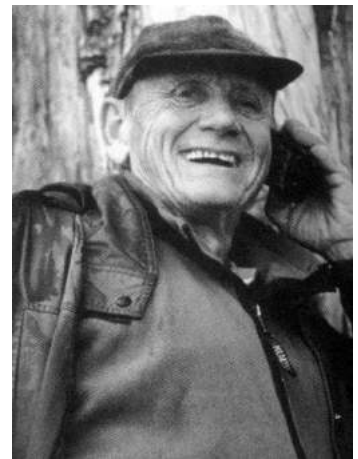
Wejścia dokonano z Abruzzi Glacier zachodnią flanką przez pd.-zachodnie żebro Urdok I i Upper Zbwa Glacier na główny wierzchołek. 5.07.1958 stanęli na nim Andrew Kauffman (WEGA t. VI, str. 391) i Peter K. Schoening (WEGA t. VI, s. 687). W moim przewodniku Eastern Baltoro Mustagh (wydanym w języku angielskim w 2005 roku) droga tego wejścia opisana jest następująco:



Nicholas Clinch



Andrew J. Kauffman



Peter K. Schoening

**ROUTE 62. From the Abruzzi Glacier via the south-western rib of the Urdok I and the Upper Zbwa Glacier to Gasherbrum I (South-East Rib, First Ascent Route, Roch-Arête, IHE-Sporn).** (Fig. 73, 74, 84, 86, 87). In firm and snow.

In the lower part, the route leads along the prominent south-western rib of Urdok I. It reaches the summit of Spur Peak (6550m) either (A): through the firm, 1000m high south flank of the rib; or (B): along one of the ice gullies cutting be-

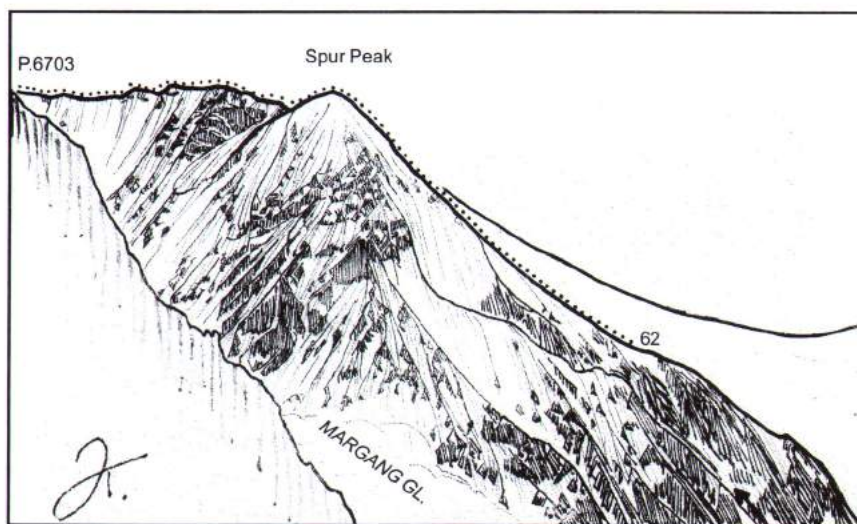


Fig. 74. Spur Peak in the south-west rib of Urdok, from the west

tween the rocky ribs in the bottom of the south-western rib up to the junction with (A) and further by (A) to the summit of the Spur Peak. Then it continues initially to the east, further along the very sharp and bristling with cornices ridge of the rib to the site, where it joins P.6724m (6703m) and a firm plateau of the Upper Zbwa Glacier. Next, it runs without technical difficulties through a gently rising firm ramp of the Upper Zbwa Glacier to the shoulder of the south-eastern rib, which the route crosses between P.7817m and P.7535m. Then it moves through the firm cwm beneath P.7817m and climbs up the flank of the summit pyramid. At the end: it traverses along the snowy ledges to the right to the notch on the ridge and from there it leads to the summit; or: it climbs through the loose rock straight up to the summit. Camps at: 5300m, 6100m, 6550m, 6700m and 7100m.

ASCENTS: Attempt: 26.VII.1934 H. Ertl, A. Roch (Exp.34/1) to 6200 m (A). **1.ascent:** 5.VII.1958 A. Kauffman, P. Schoening (Exp.58/1), (B). **2.a.** 11.VIII.1975 R. Schauer, H. Schell, H. Zefferer (Exp.75/3). **3.a.** 3.VIII.1981 H. Azuma, K. Shimotori (Exp.81/2). **4.a. (1.female a.):** 27.VII.1982 M. Ali, J.-P. Ollagnier, S. Saudan, D. Semblanet, M.-J. Valencot(f) (Exp.82/8). **5.a.(2.f.a.).** 1989 Tsindi Dorje(†), H. Endo, Y. Endo(f) (Exp.89/7).  
Downhill ride along the route on skis: 27.VII.1982 S. Saudan (Exp.82/8).

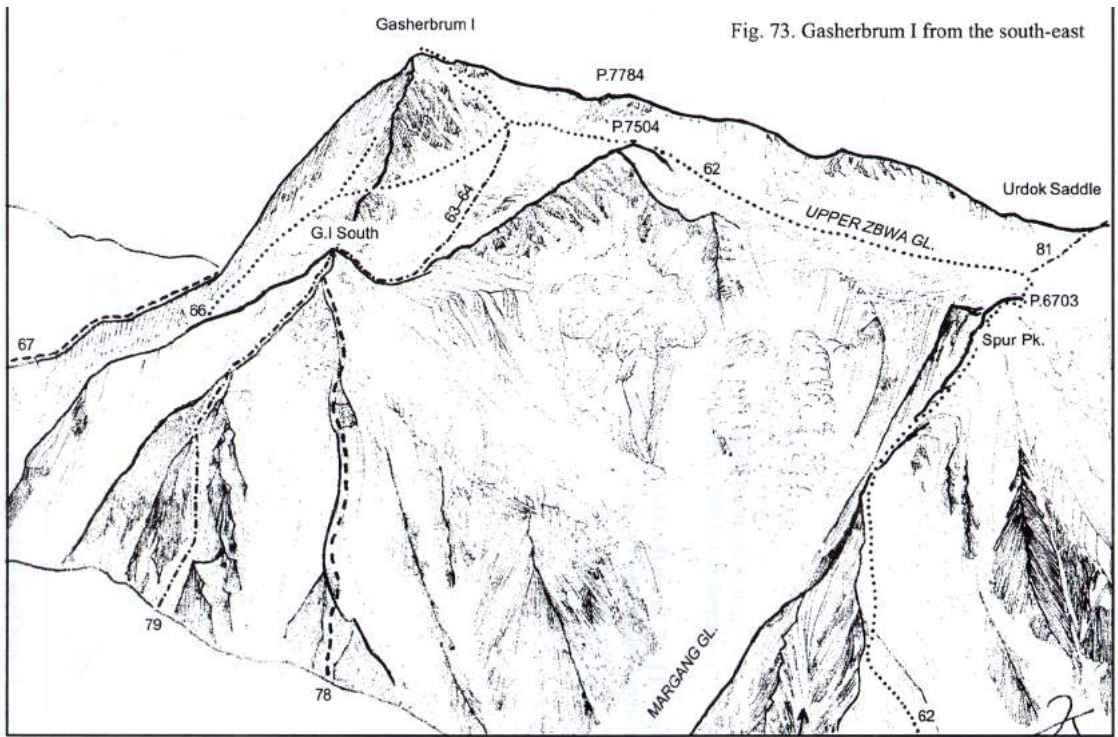


Fig. 73. Gasherbrum I from the south-east

**Zestawienie najwcześniejszych wejść na Gasherbrum I**

MAIN PEAK: Próby wejścia: 26.07.1934 Hans Ertl, Andre Roch do 6200 m; 24.06.1936 Pierre Allein, Jean Leininger do 6800 m.

- 1.w. 5.07.1958 Andrew Kauffman, Peter K. Schoening.
  - 2.w. 10.08.1975 Peter Habeler, Reinhold Messner.
  - 3.w. 11.07.1975 Robert Schauer, Hans Schell, Herbert Zefferer.
  - 4.w. 8.07.1977 Andrej Stremfelj, Nejc Zaplotnik.  
[możliwe 5.w. 9.07.1977 Drago Bregar(†)].
  - 5.w. 15.07.1980 Maurice Barrard, Georges Narbaud.
  - 6.w. 3.08.1981 Hideaki Azuma, Kozo Shimotori.
  - 7.w. 22.07.1982 Michael Dacher, Siegfried Hupfauer, Günter Sturm.
  - 8.w. (1.w. kobiece): 27.07.1982 Mohammad Ali, Jean-Pierre Ollagnier, Sylvain Saudan, Daniel Semblanet, Marie Jose Valencot.
  - 9.w. 23.06.1983 Erhard Loretan, Marcel Ruedi.
  - 10.w. 24.06.1983 Pierre Morand, Jean-Claude Sonnenwyl (i M. Spicher?).
  - 11.w. 23.07.1983 Jerzy Kukuczka, Wojciech Kurtyka
  - 12.w. 22.08.1983 Victor Arnal, Ignacio Cinto, Javier Escartin, Jeronimo Lopez, Lorenzo Ortas, Antonio Ubieto.
- Inne polskie wejścia:
- 2.polskie w. (1.wejście w zespole kobiecym): 16.07.1990 Ewa Pankiewicz, Wanda Rutkiewicz.
  - 3.p.w.: 15.07.1995 Jacek Berbeka, Krzysztof Wielicki i towarzysze.
  - 4.p.w.: 17.07.1997 Józef Goździk, Ryszard Pawłowski, Piotr Pustelnik.
  - 5.p.w.: 06.2008 Piotr Morawski i Słowak Peter Hamor.

Przebieg wyprawy i wejścia opisał N. Clinch w książce *A walk in the sky* (Seattle 1982); opisano je również m.in. w „La Montagne” 1959, nr 22, s.39-45 (A.J. Kauffman, *La conquête du Hidden Peak*), w „Himalayan Journal” 1958, s.46-54 (T. McCormack, *The Ascent of Gasherbrum I*) oraz w „American Alpine Journal” 1959, s.165-172 (K. Schoening, *Ascent of Hidden Peak*). Dalej strony z artykułów Kauffmana i Schoeninga.

Jan Kielkowski



## La conquête du Hidden Peak

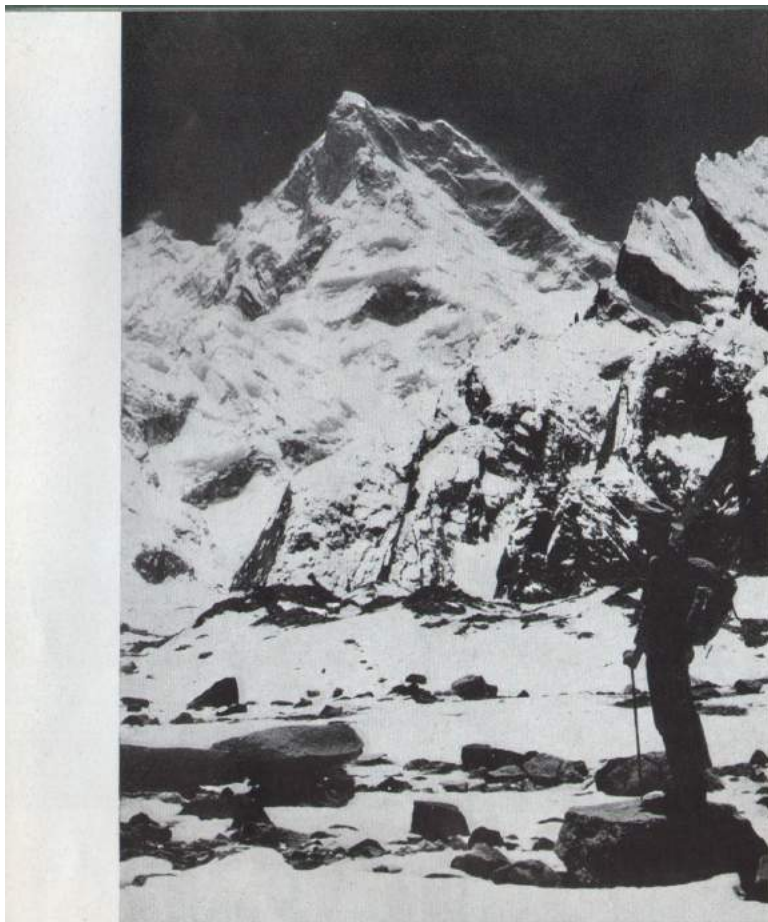
par Andrew John KAUFFMAN

Le 16 mai 1958, six Américains et deux Pakistanaïses se retrouvaient ensemble pour la première fois dans l'enceinte du cantonnement militaire de Rawalpindi, au Pakistan. L'expédition américaine de 1958 au Karakorum devenait enfin une réalité. Notre but, le Hidden Peak, 8068 mètres, se trouvait encore bien loin de là, perdu quelque part dans les nuages tout au fond du Baltoro. C'était un des trois derniers sommets de plus de huit mille mètres encore inviolés.

Les rêves de bien des années se trouvaient sur le point de prendre forme, après d'âpres mois de luttes, de peines et de déceptions. En Amérique, l'appui pour une expédition de haute montagne de grande envergure ne s'obtient qu'avec peine, car l'alpinisme n'est pas un sport populaire dans le sens où il l'est en Europe. Ce n'est qu'avec difficulté qu'on trouve l'argent nécessaire, et le per-

sonnel ne se recrute qu'à force d'argumentation et d'opiniâtreté. Cependant, grâce en grande partie à l'obstination de Nick Clinch, nous étions enfin rassemblés au Pakistan avec trois tonnes du meilleur équipement d'Europe et d'Amérique, avec un budget d'environ douze millions de francs — une somme qui semble peut-être modeste mais qui, par miracle, suffit largement à nos besoins — et, chose capitale, avec une petite mais puissante équipe d'alpinistes éprouvés. Tous amateurs, ils avaient passé de longs mois dans des régions élevées et souvent difficiles d'accès.

Si nous avions eu de la peine à gagner le soutien de nos compatriotes, nous n'eûmes par contre aucune difficulté à gagner l'appui enthousiaste des grimpeurs européens. Ce fut Jean Couzy qui nous conseilla d'employer des appareils à oxygène et qui nous les procura avec une efficacité éton-



LE MASHERBRUM VU DU GLACIER DE BALTORO

SUR LE GLACIER DU GASHERBRUM SUD, A DROITE LE HIDDEN PEAK



nante. Ce fut Jurg Marmet qui réussit à me renseigner sur l'emploi de cet équipement pour que, plus tard, je puisse, tant bien que mal, instruire mes camarades. Ce fut Guido Magnone qui nous persuada d'employer exclusivement des réchauds à butagaz, bien supérieurs aux appareils à pétrole et à essence, toujours courants en Amérique. Ce furent Marcel Ichac et André Roch qui nous donnèrent des indications sur les itinéraires possibles. Ce furent Raymond et Nicole Leininger qui nous obtinrent une quantité immense d'équipement, de bottes, de sacs, de lunettes, de vêtements en duvet et de toutes choses. Enfin, ce furent les dernières paroles que Lionel Terray m'adressa avant mon départ : « Quoi qu'il se passe, qu'il fasse beau ou mauvais temps, que les difficultés du terrain ou des conditions soient rudes, foncez toujours en avant ». Plus qu'aucun autre conseil, ces paroles contribuèrent à notre succès.

Huit Américains formaient, au départ, l'équipe d'assaut. Malheureusement deux d'entre eux, Gilbert Roberts et Nick Irvin (parmi les meilleurs alpinistes des Etats-Unis) ne purent arriver à temps, et ne devaient nous rejoindre que beaucoup plus tard au camp de base, deux jours après la victoire. Ce ne fut donc qu'un petit groupe qui se dirigea vers le Hidden Peak, un groupe peut-être même trop petit pour s'attaquer à une si grande montagne. Les autres membres de l'équipe étaient les suivants : Nick Clinch, qui assurait l'organisation de l'expédition, Pete Schoening, qu'on nomma chef, Bob Swift, Tom McCormack; le docteur Tom Nevison, notre médecin, et moi. Schoening, Swift, Clinch, McCormack et moi avions tous une expérience de plusieurs saisons parmi les montagnes de quatre continents, souvent à de très hautes altitudes. L'expérience de Nevison était plus limitée, mais il possédait l'avantage d'une superbe éducation médicale et il se montra un des plus forts et des plus habiles parmi nous. Nous avions aussi re-



cruté deux Pakistanais, les capitaines Mohd Akram et S.T.H. Rizvi qui, eux aussi, faisaient intégralement partie du groupe.

Notre marche d'approche se fit selon l'itinéraire habituel des expéditions d'après-guerre qui se sont acheminées vers le Baltoro. Nous eûmes les mêmes aventures et les mêmes complications. Le voyage par avion à Skardu, à la fois impressionnant et inquiétant, la traversée de l'Indus sur une vieille barge, la longue marche à travers le désert, la remontée de gorges étroites, enfin, la neige profonde et pénible du Baltoro jusqu'au camp de base, toutes ces choses formant des impressions inoubliables que je ne peux me permettre, dans l'intérêt de la concision, d'exposer en détail. Chaque jour apportait sa crise, aussi aiguë qu'inattendue; chaque crise semblait insurmontable, et, tant bien que mal, on la surmontait. Deux semaines après notre départ hâtif de Skardu, nous dressions déjà nos tentes au camp de base provisoire, situé environ deux kilomètres en aval du camp de base français de 1936. On était le 4 juin, et partout autour de nous, la neige tombait. On ne voyait ni le K2, ni le Hidden Peak, tout au plus la moraine du glacier. Partout, c'était le brouillard.

Les jours suivants, avec l'aide d'une vingtaine de coolies sélectionnés, et par meilleur temps, nous approchâmes ce camp provisoire de cinq kilomètres par rapport au Hidden Peak, et l'établîmes à une altitude d'environ 5.000 mètres. Il était encore trop loin du pied de la montagne, et plus tard, on le rapprocha encore.

Entre temps, Swift, Schoening et moi, chargés de provisions pour une semaine, entreprîmes une reconnaissance de la montagne. Le Hidden Peak avait déjà subi deux tentatives. La première, en 1934, par André Roch et Hans Ertl, membres de l'Expédition Internationale Himalayenne, avait attaqué, sans grande conviction, par l'éperon sud-est, mais l'expédition avait d'autres projets et ne poussa pas à fond la tentative. En 1936, une puissante équipe française dirigée par Henry de Ségogne avait suivi un itinéraire rocheux difficile et n'avait subi d'échec, après une tentative courageuse, qu'à cause de l'arrivée foudroyante et prématurée de la mousson.

Les conseils de Marcel Ichac sur l'arête française ne nous avaient pas encouragés. Par ailleurs, nous manquions d'enthousiasme pour l'éperon sud-est d'où était partie la tentative Roch-Ertl. Cet itinéraire nous paraissait interminablement long. En plus, il fallait traverser un immense plateau enneigé sur plusieurs kilomètres pour atteindre la pyramide sommitale.

Donc, Swift, Schoening et moi explorâmes d'abord le glacier Gasherbrum-Sud dont les immenses crevasses, à peine cachées sous de mauvais ponts de neige, nous menaçaient. Nous examinâmes alors le côté ouest du Hidden Peak,

d'ailleurs quasi inconnu. Le projet d'attaquer par un glacier suspendu fut abandonné à cause du risque d'avalanche. Un autre itinéraire par l'arête nord-ouest nous semblait extrêmement intéressant, mais nous l'écartâmes parce que les derniers mille mètres semblaient présenter un problème sérieux d'escalade rocheuse. Cependant, je dois avouer que, même aujourd'hui, certains d'entre nous maintiennent que notre expédition aurait bien fait de suivre l'arête nord-ouest, ce dont je suis personnellement toujours partisan.

Enfin, au bout de trois jours, notre attention se porta sur l'éperon sud-est, c'est-à-dire l'éperon Roch-Ertl. Nous grimâmes quelque distance le long de ses pentes neigeuses, et, malgré le risque d'avalanches, nous conclûmes avoir découvert enfin un itinéraire pratique qui nous mènerait au sommet. Malheureusement, nous n'avions pas tenu compte que la partie supérieure de l'itinéraire nous obligerait à faire 8 kilomètres de marche le long du vaste et haut plateau Urduk, à plus de 6500 mètres, en enfonçant à chaque pas dans la neige jusqu'aux genoux, voire jusqu'aux cuisses, pour atteindre les dernières pentes sous le sommet. Nos épreuves ultérieures nous persuadèrent que le choix, à haute altitude, entre un itinéraire présentant des difficultés techniques et une approche par neige profonde n'est pas facile. Comme bien souvent dans la vie, la voie difficile est la meilleure.

Enfin, le 11 juin, ayant pris notre décision, nous plaçons un squelettique camp I au pied de l'éperon sud-est, à une altitude d'environ 5300 mètres. Le jour suivant, Nevison et Schoening gravissent 700 mètres et équipent de cordes fixes les endroits dangereux que nous avons examinés deux jours auparavant. Malheureusement, Schoening et Nevison ne réussissent pas à trouver de bon emplacement pour le camp II. Cependant, de retour au camp I, ils nous indiquent qu'un endroit convenable existerait peut-être une centaine de mètres au delà du point qu'ils avaient atteint dans la journée.

Le lendemain, Clinch, McCormack et moi, chacun portant un sac de 25 kg, suivis de trois porteurs Baltis également chargés, partons pour placer le camp II. Les cent derniers mètres dont Schoening et Nevison avaient parlé se montrent bien plus difficiles et rébarbatifs que nous n'avions pensé. Fatigués, après avoir gravi près de 800 mètres avec de lourdes charges sans toutefois être encore bien acclimatés, nous trouvons les derniers mètres interminables. Effectivement, les porteurs n'atteignent pas l'emplacement un peu aérien du camp II, à 6200 mètres, mais abandonnent leurs charges sur des dalles rocheuses quelque cent mètres plus bas. Je me vois obligé de passer plusieurs heures, dans l'état d'épuisement où je suis, à descendre maintes fois sur des pentes difficiles pour récupérer les charges dont nous avons besoin, tandis que McCormack et Clinch, encore plus fati-



SUR L'ARÊTE ENTRE LES CAMPS I ET II

gués que moi, taillent dans la glace une petite plate-forme où nous poserons la tente.

Les jours suivants, par un temps orageux, rarement par ciel dégagé, nous installons petit à petit le camp II. L'itinéraire entre les camps I et II se révèle long et pénible. J'oserais dire trop long, car il n'est pas facile, à 6000 mètres, de gravir 1000 mètres par jour avec une charge de 25 kg, et ensuite de redescendre. De surcroît, la main-d'œuvre nous manque. Nous avons retenu 6 porteurs baltis pour haute altitude. Malheureusement un d'entre eux est tombé malade, et un autre s'est blessé assez sérieusement au genou en faisant une chute dans une crevasse. Le capitaine Akram, que nous avions dû laisser à Skardu pour soigner une bronchite, n'est pas encore arrivé. Et maintenant, pour comble de difficulté, le pauvre McCormack tombe malade dans ma tente au camp II. Je soupçonne la pneumonie: Clinch et moi le accompagnons au camp I où Nevison confirme le diagnostic. Nous ne restons donc que dix hommes bien portants pour ravitailler les camps

et mener l'attaque. Tous, Baltis et Américains, nous portons désormais de lourdes charges.

C'est entre les camps II et III que nous trouverons les seules vraies difficultés techniques de notre itinéraire. Nous marchons donc au ralenti. Au delà du camp II, une arête aérienne de rochers et de neige mêlés, encombrée de corniches, se dirige vers un petit glacier suspendu d'où il doit être possible de rejoindre un dôme neigeux à 6500 mètres où nous proposons de placer le camp III. Durant plusieurs jours, généralement par un temps de vent et de neige, Schoening, Nevison et moi avançons pas à pas, taillant les corniches, martelant les pitons pour placer les cordes fixes, donnant ainsi aux porteurs la possibilité d'avancer le long de cette arête aérienne en toute sécurité. Enfin, par un beau matin clair, Schoening et moi dépassons le dernier obstacle et taillons des marches sur une centaine de mètres pour rejoindre l'emplacement où nous devons établir le troisième camp. Entre les camps II et III, on trouve quelques passages de quatrième degré (que nous facilitons par des cordes fixes). C'est la plus belle partie de l'ascension.

Le 28 juin, seize jours après le début de l'attaque, tous les membres de l'équipe d'assaut et quatre porteurs se trouvent réunis au camp III, bien équipés et pourvus de 8 jours de vivres. Nous devons alors prendre une décision capitale. Nous devons en effet décider si nous prenons le risque de sacrifier le prudent échelonnement des camps bien équipés à un raid rapide vers le sommet, confiants en notre équipement et en notre chance.

La discussion est vite terminée. Tous, nous nous impatientons. Nous concluons, peut-être à tort, qu'avec notre équipement moderne, qu'avec, notamment, nos réserves d'oxygène, nous pouvons nous permettre une certaine rapidité qui, autrement, passerait pour de l'imprudence. Nous décidons donc que, le jour suivant, toute l'équipe se trouvant au camp III — excepté un Balti atteint de la cécité des neiges — se mettra en marche avec des charges de 25 kg, envisageant d'avancer le plus loin possible sur le plateau d'Urduk encore éloigné d'un kilomètre.

C'est là que, perdus dans cet immense désert de neige, nous devons placer le camp IV. C'est là que resteront Nevison, Swift, Clinch, Schoening et moi, tandis que les autres retourneront au camp III. Nous comptons aussi placer un dernier camp V au delà du camp IV et aussi haut que possible pour permettre à deux hommes d'atteindre le sommet et en revenant en un jour.

Non sans un petit frémissement à la fois de plaisir et de peur, j'apprends que Schoening et moi sommes chargés de mener le premier assaut. Nous sommes, paraît-il, momentanément les plus forts, mais serons-nous capables de réussir ?

J'ai souvent déjà remarqué, au cours de mes quelques premières ascensions, que les choses ne se passent généralement pas comme prévu et que,



CAMP II ET ITINÉRAIRE VERS LE CAMP III

souvent, on se retrouve face à face avec des difficultés qu'on n'avait pas envisagées. Cette observation semble encore plus juste à l'Himalaya qu'autre part. A partir de ce jour-là, le 29 juin, une quantité d'obstacles imprévus va désormais freiner notre marche. L'arête apparemment facile qui relie le camp III au plateau d'Urduk, s'avère tout à coup difficile, cédant à une espèce de lame de rasoir parsemée de corniches et de neige pourrie, et cela, à faible distance du plateau. Nous sommes obligés de faire descendre hommes et charges, sur une trentaine de mètres, le long d'une corde, pour rejoindre le glacier un peu plus bas. Une partie de

la descente de ce mur de glace fait surplomb. En cas de retraite par mauvais temps, ce petit obstacle, qui ne peut être franchi qu'avec l'aide de la corde, pourrait barrer le chemin de retour.

D'ailleurs, les Baltis refusent de descendre. Nous sommes donc bien obligés de poser le camp IV à quelques centaines de mètres de là et de relier toutes les charges nous-mêmes. C'est une équipe bien fatiguée et un peu déçue qui pose le camp IV, deux heures plus tard, à 6700 mètres, au bord du plateau d'Urduk et à quelque deux kilomètres en arrière de notre objectif prévu. Entre temps, un porteur et le capitaine Rizvi ne se sentent pas bien et nous quittent. McCormack, aussi, a dû abandonner, car, malgré ses efforts, qui sont presque héroïques, il souffre toujours des effets de sa maladie.

Au moment critique, le temps se gâte. Pendant quatre jours, nous restons à moitié immobilisés au camp IV. Nous réussissons cependant à faire la trace le long du plateau, sur une distance de trois kilomètres, et nous plaçons un dépôt d'oxygène. Bien sûr, la piste est vite recouverte par le vent et la neige.

Deux des Baltis restés au camp III apportent des provisions qu'il faut descendre au bout d'une corde à l'endroit difficile, et que nous récupérons. Mais, à part ces deux porteurs, il n'y a personne entre nous et le camp I au pied de la montagne. C'est un peu inquiétant.

Enfin, le 4 juillet, un vent glacial venant du Tadjikistan balaye brusquement les nuages. Le beau temps revient. Toujours chargés de 25 kg,

AU CAMP V A 7000 MÈTRES





A DROITE, LE GASHERBRUM IV ET LE PROFIL DE L' « ARÊTE FRANÇAISE »

nous plongeons tous les cinq dans la neige fraîche en direction du futur camp V. C'est une marche pénible, voire atroce. Nous enfonçons jusqu'aux genoux à chaque pas, souvent jusqu'aux cuisses, quelquefois jusqu'au ventre. On permet au chef de cordée (qui, d'ailleurs, se fait remplacer toutes les dix ou quinze minutes) d'employer l'oxygène en petites quantités, mais les autres n'y ont pas droit, car nous ménageons nos provisions pour l'assaut final. L'après-midi, bien tard, nous nous asseyons presque épuisés dans la neige, entre deux grandes crevasses. Nous sommes à 7100 mètres. Nous voudrions bien être plus haut, à 7500 m, mais nous n'en pouvons plus. Tant pis, nous dressons la tente.

Le travail fini, Nevison, Swift et Clinch nous serrent la main et s'acheminent lentement en trébuchant vers le camp IV. Schoening et moi restons seuls dans cet immense désert silencieux de neige et de glace. Le succès, l'échec, le triomphe et le désastre dépendent désormais de nous.

Cette nuit-là, pour la première fois, nous employons l'oxygène pour dormir, et nous dormons bien. Le lendemain, 5 juillet, à six heures, après un bon déjeuner (car nous avons très faim), nous nous équipons de corde, crampons, raquettes improvisées (qui, d'ailleurs, seront peu utiles), chaussures en peau de renne, deux bouteilles d'oxygène chacun, et bien d'autres choses, et partons vers le sommet. Il nous faudra gravir mille mètres, et faire environ 4 kilomètres pour l'atteindre. Ce sera une des plus rudes journées de ma vie, mais quelle récompense !

Déjà, à partir du camp IV, il n'y avait plus de difficultés techniques, mais maintenant, cette neige profonde dans laquelle nous nous enlisons entrave notre marche et la rend doublement pénible. L'altitude, à elle seule, suffirait, mais il faut continuellement nous débattre avec cette neige profonde et gênante. Au bout de quatre heures de marche sans repos, nous atteignons un col à environ 7500 mètres. De là, on aperçoit tout le reste de l'itinéraire jusqu'au sommet. La vue nous encourage à redoubler d'efforts. Nous traversons un énorme cirque enneigé. Puis la pente se redresse. Nous montons pas à pas, lentement, vers la crête qui semble toujours plus lointaine et inaccessible.

Enfin, après une éternité, nous nous retrouvons sur une belle petite arête, classique, avec une neige dure sous nos crampons, un véritable plaisir après le supplice que nous avons subi pour atteindre cet endroit à trente mètres du sommet. Un instant plus tard, le vent du nord, puissant, nous salue soudain. Nous avons atteint la cime.

Enfin, nous nous retrouvons au but dont nous rêvons depuis des mois, et pour atteindre lequel nous avons fait tant d'efforts et de sacrifices ! Seul, le K2, à quelques kilomètres, se dresse plus haut. Autour de nous, un peu plus bas, mais presque au même niveau, nous apercevons les sommets voisins qui, eux aussi, font huit mille mètres ou à peu près : le Broad Peak, avec ses trois crêtes, les Gasherbrums II et III, et les immenses précipices du redoutable Gasherbrum IV qui, en ce moment même, subit l'assaut d'une magnifique

équipe italienne dirigée par Ricardo Cassin. A tour d'horizon, ce n'est qu'un immense océan de sommets, une vaste marée de neige et de glace sauvage.

Le retour au camp V est un cauchemar. Nous descendons lentement, parfois en trébuchant, le long de la vieille trace effacée par le vent et que nous devons refaire à grand peine. Nous abandonnons les bouteilles à oxygène déjà vides, qui ont tant servi durant la montée. A 21 heures, au bout de quinze heures de marche presque sans repos, sans boire, ni manger, nous nous retrouvons devant la petite tente jaune du camp V. Pendant deux heures, bien réchauffés dans nos sacs de couchage, nous faisons fondre la neige et buvons de vastes quantités de thé tiède, une tasse après l'autre.

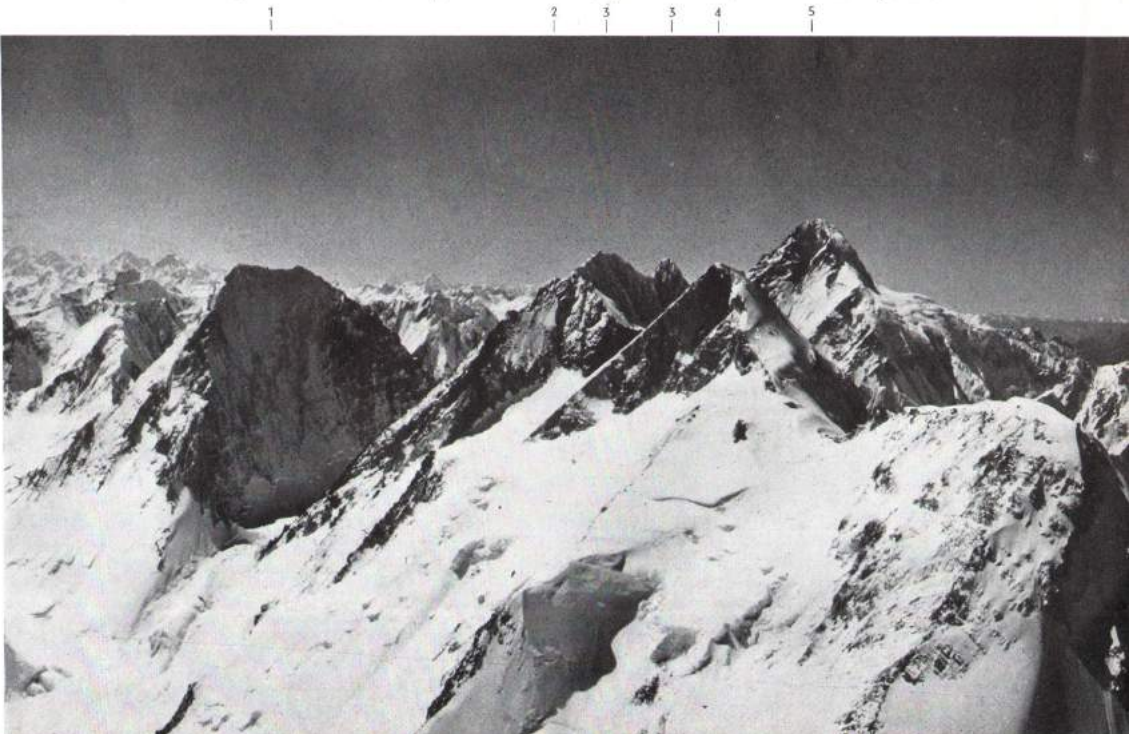
Nous avions espéré envoyer une deuxième cordée au sommet. Mais il nous faudrait maintenant ravitailler les camps car, en haute altitude, nous sommes à bout de provisions. De plus, le temps semble se gâter, et Schoening et moi, après nos épreuves, ne nous sentons pas assez forts pour appuyer une autre cordée. Laisant à Clinch, Nevison et Swift, à qui se sont joints Akram et McCormack au camp IV, le soin d'évacuer les camps, Schoening et moi partons sur le chemin du retour. A quinze heures, exactement 24 heures après notre arrivée au sommet, nous nous retrouvons au camp I, au pied de la montagne.

Le retour à Skardu se fait rapidement et presque sans incidents. Le 9 juillet, nous embauchons des coolies qui viennent d'arriver avec l'expédition japonaise au Chogolisa, et nous mettons en marche. Le 21 juillet, nous sommes de retour à Skardu. L'aller-retour s'est fait en exactement deux mois, et, entre temps, nous avons fait la première ascension d'un sommet de huit mille mètres. Le Hidden Peak, incontestablement, n'est pas le plus difficile des sommets de huit mille, ni, cependant, le plus facile, mais nous avons sans doute établi un ou deux records au point de vue vitesse et peut-être efficacité. Peut-être avons-nous démontré qu'avec un équipement excellent, une expédition légère dont les ressources financières sont modestes peut faire aussi bien qu'une équipe lourde, et même marcher plus vite, pourvu que le personnel soit enthousiaste et industriel.

Pour nous, le Hidden Peak fut un des grands moments de nos vies. Mais ce fut encore plus. Durant deux longs mois, nous avons travaillé ensemble, lutté ensemble, subi les mêmes privations ensemble, et, toujours ensemble, partagé les mêmes récompenses. Par nos expériences inoubliables, nous avons formé des amitiés indissolubles. Sans doute, les années passent et les distances nous séparent sur ce vaste globe bouleversé. Mais les camarades restent. Le souvenir de cette grande aventure demeure pour toujours dans nos cœurs.

#### DU SOMMET DU HIDDEN PEAK :

1 Gasherbrum IV (à droite l'arête italienne); 2 Gasherbrum III; 3,3 Broad Peak; 4 Gasherbrum II; 5 K2.





HIDDEN PEAK—1958

## Ascent of Hidden Peak

PETER K. SCHOENING

THERE is something exciting about expeditions. In part it must be the uncertainty of them. Perhaps this is adventure. But for Hidden Peak there was something even more. It could be the last chance for an American first ascent of an *achttausender*, and it seems extremely probable that first ascents of the fourteen *achttausenders* will become forever historically indicative of the mountaineering activity and ability of the various areas in the world.

Whether for adventure or history or whatever other reason, the ascent of Hidden Peak still required a party, permission and assistance from Pakistan, money, equipment, and an effort to carry out the attempt. Nick Clinch was the driving force behind the 1958 American Karakoram Expedition.\* He was the "Director" and organizer.

Late in November 1957, Nick received Pakistani approval through the American Embassy in Karachi. From then on events began to occur at an increasing pace. Our freighter would leave New York by the end of March. In the middle of February as the party was being completed, I became a member. Besides Nick and myself, there were Andy Kauffman, Captain S. T. H. Risvi and Captain Mohd Akram of the Pakistan Army, Tom McCormack, Bob Swift, Dr. Tom Nevison, Gil Roberts, and Dick Irvin. Unfortunately Gil and Dick could not leave their jobs on time and would have to come in later to back us up.

We considered only the world's finest equipment for the expedition and during this short period this equipment was manufactured and assembled for shipping. Under the guidance of Len Frank, Jean Couzy, Guido Magnone, Raymond Leininger, Dr. Jürg Marmet, and the Swiss Foundation for Alpine Research, the English, French, and Swiss companies performed spectacularly. Their response was gratifying, as was the response of numerous club friends and American manufacturers who also comprised the party *incognito*.

\* This expedition was sponsored by the American Alpine Club.

From the scattered "brain centers" of the expedition—Nick Clinch's father, in Dallas, Texas, who was the treasurer; Lawrence Coveney, in Summit, New Jersey, who supervised the shipping; and Nick Clinch, who was flitting about coördinating all plans (and simultaneously studying and passing the California Bar examination)—came a stream of organizational bulletins. To the amazement of all concerned, when the *Flying Enterprize II* left New York on March 28 our equipment was aboard. This miracle was repeated several times in Europe. A British firm assembled and packaged our food into march-in, base camp, and high altitude boxes and got it on the *Kallada* within two weeks. And in early April the *Meerkerk* sailed from Marseille and Genoa with French and Swiss equipment, which included our oxygen apparatus and butane gas stoves. Once, however, the timing was too close. Our crate of boots was placed on the slow freighter *Erria* instead of the express boat *Victoria*. This meant a two weeks delay, but once again the Swiss Foundation for Alpine Research came through magnificently and arranged to have the boots unloaded at Port Said and air freighted to Karachi.

Nick left early and, after making a whirlwind trip through England, France, and Switzerland to handle last minute details, arrived in Karachi two weeks before the rest of the expedition to help facilitate customs clearances and tranship our equipment by train to Rawalpindi. On May 16, with a good portion of the "uncertainties" behind us, we were reunited in "'Pindi" and welcomed a couple of days of relaxation while waiting for both a government priority and clear weather to allow us to fly to Skardu. Here most of us met our two Pakistani teammates, Risvi and Akram, for the first time. We also visited with the fine Italian party, under Ricardo Cassin, which was to attempt and ultimately climb Gasherbrum IV. Suddenly our sightseeing and reminiscing was interrupted when someone asked about cooking pots. They had been completely overlooked. Local *deksbis* became an excellent substitute. Then the supply of porter cigarettes turned out to be only half of our requirements so we traded our Camels for local brands at two for one, and another crisis was averted.

The plane ride to Skardu, the point of departure into the Karakoram, brought us into direct contact with the Western Himalaya. It is a highlight of all expeditions. Our Dakota weaved its way along the sides of Nanga Parbat while Haramosh, Rakaposhi, and other giants appeared in the distance.

Skardu, which is the center of government for Baltistan and has a hospital and military post, is primarily a farming community with beautiful mulberry and apricot trees and small terraced wheat and barley





PLATE 1

THE AMERICAN KARAKORAM EXPEDITION OF 1938. *Standing:* Captain Mohd Akram, Gil Roberts, Captain Rizvi, Pete Schoening, Nick Clinch, Andy Kauffman, Tom McCormack. *Seated:* Bob Swift, Dr. Tom Nevison, Dick Irvin. Hidden Peak in the background.  
(© Curtis Publishing Company, *Saturday Evening Post*.)



PLATE 2a

MEETING AT SKARDU. Andy Kaufman greeting Fosco Maraini of the Italian Expedition.

*Photo by Robert L. Swift*

PORTERS ABOUT TO START FROM SHIGAR.

PLATE 2b

*Photo by Robert L. Swift*





PLATE 3a

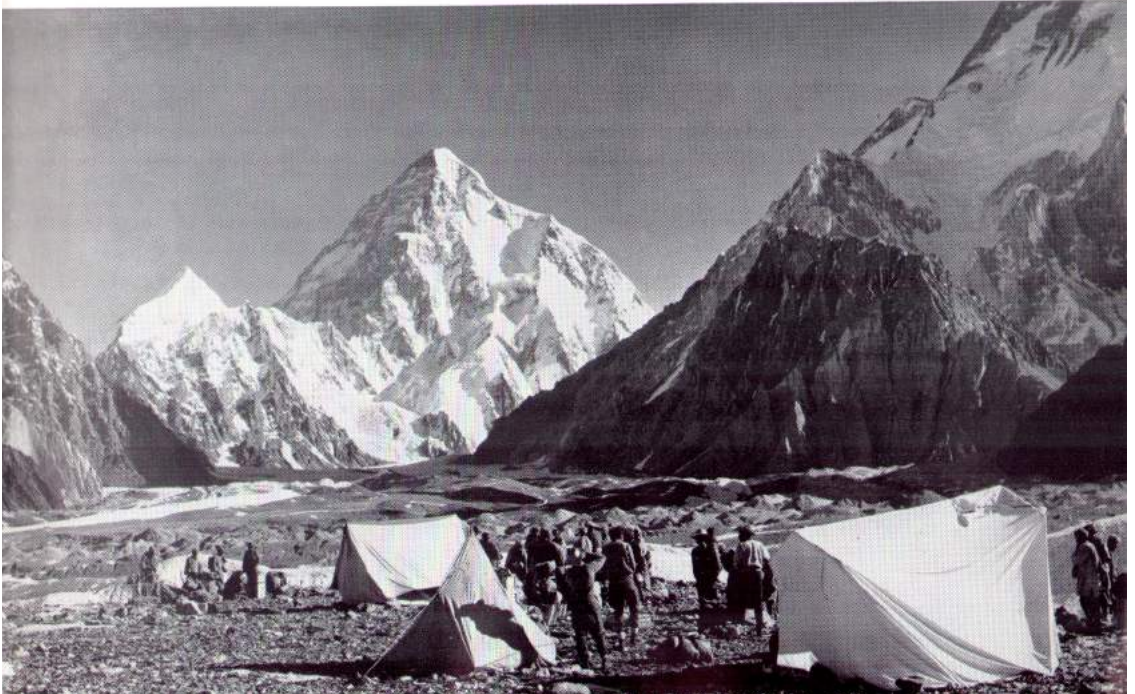
*Photo by Robert L. Swift*

UPPER BALTORO GLACIER. Expedition approaching Gasherbrum IV, the peak climbed by the Italians.  
(© Curtis Publishing Company, *Saturday Evening Post*.)

CAMP AT CONCORDIA. K2 in the background.

PLATE 3b

*Photo by Robert L. Swift*





*Photo by Robert L. Swift.*

THE MITRE.



PLATE 5

CHOGOLISA. The Japanese ascent was along the left ridge.

Photo by Robert L. Swift.

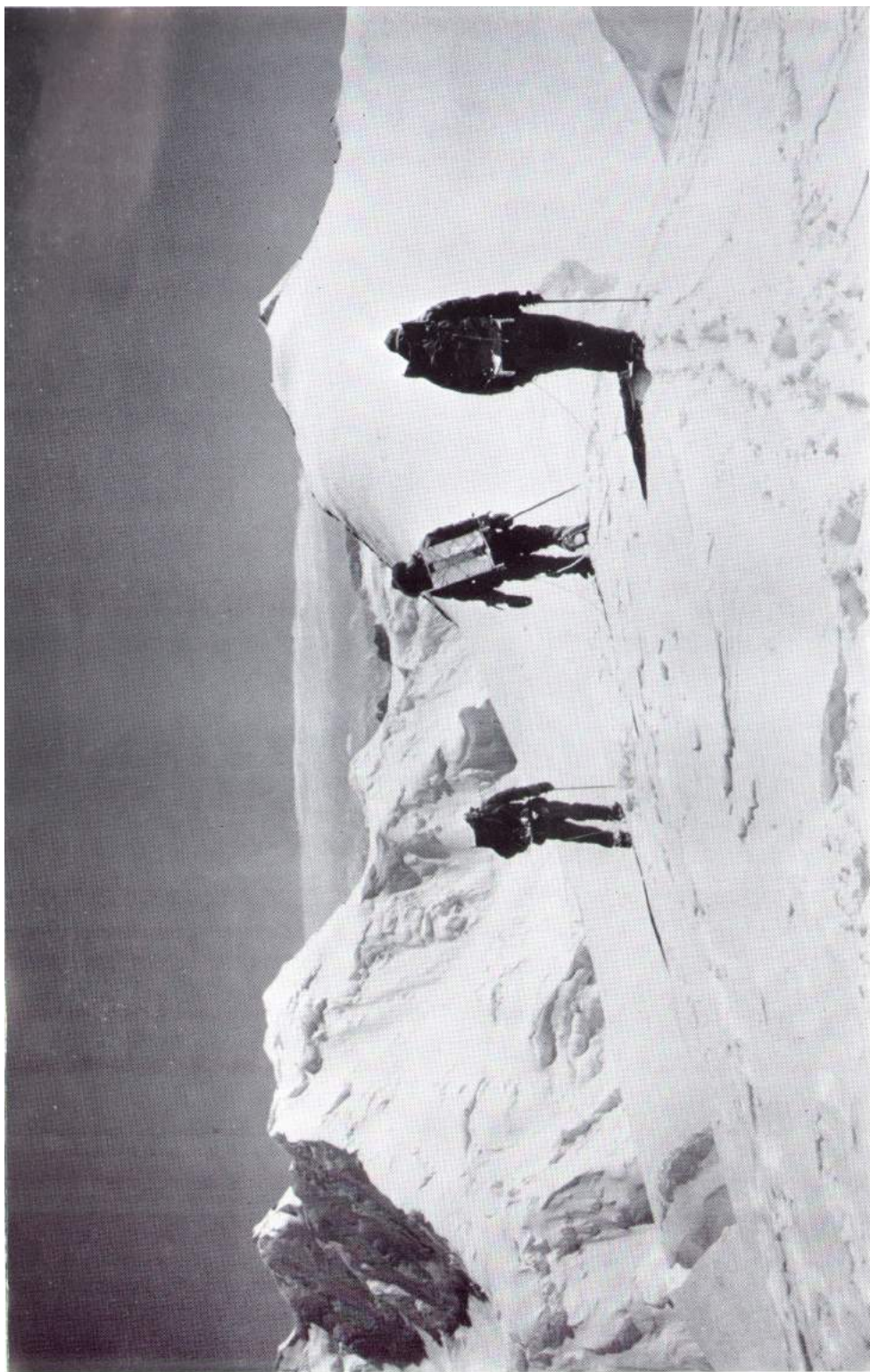


PLATE 6

*Photo by Kaufman from the tent*

SUPPORT PARTY LEAVING THE CLIMBERS AT CAMP V. Clinch, Swift, and Nevison.



PLATE 7a

**ANDY KAUFFMAN ON THE SUMMIT OF HIDDEN PEAK**

*Photo by Schoening*

(© Curtis Publishing Company, *Saturday Evening Post*.)

**VIEW FROM THE SUMMIT OF HIDDEN PEAK. Left to right: Gasherbrum IV; the twin summits of Broad Peak, with Gasherbrum III in the foreground, blending into them; Gasherbrum II; and K2.**

PLATE 7b

*Photo by Andy Kauffman*



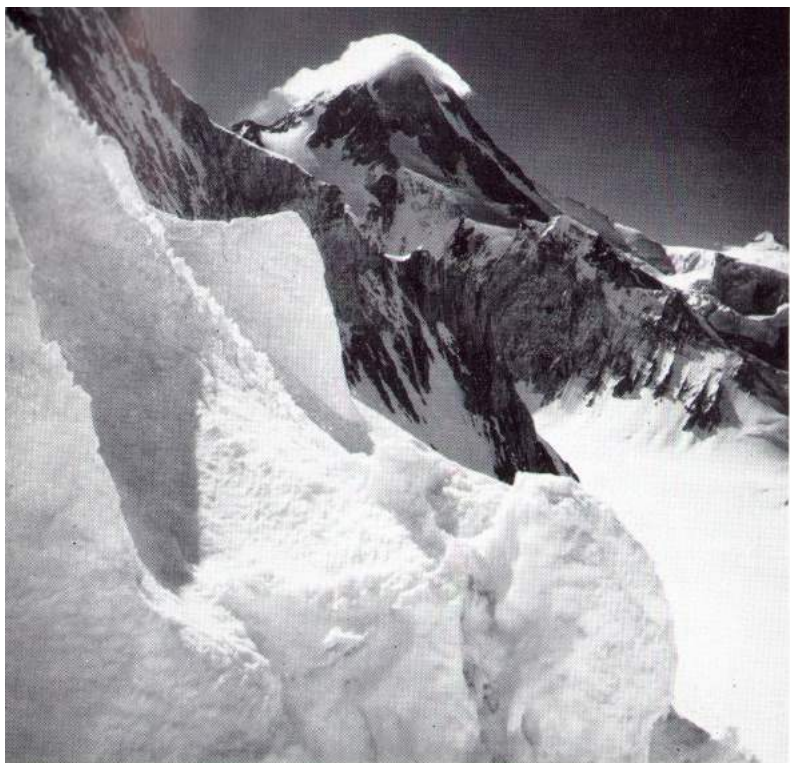


PLATE 8a

HIDDEN PEAK  
(GASHERBRUM I). With  
early morning cloud,  
from Italian camp.

*Photos by F. Maraini*

PLATE 8b

HIDDEN PEAK. As  
seen by the Italians on  
Gasherbrum IV.





## ASCENT OF HIDDEN PEAK

167

fields so typical of the hill villages in this region. During our two-day stay there we received the utmost coöperation and assistance from the Political Agent, Brigadier Habid-Ur-Rehman, who organized the men needed to carry our sixty-pound loads to Base Camp and assembled a group of high-altitude porters.

The HAP's as we called them, were selected by their appearance and by the written recommendations they had received from prior expeditions. These tattered pieces of paper seemed to be their greatest possession, their pride, their "bread and butter," even though they were ignorant of the contents. It was interesting to study the pattern of recommendations issued by our predecessors. Some were sincere and straight-forward, but others sounded like a recording. In a few instances we read negative reports while the Balti mountaineer would stand before us proud and happy, hopefully awaiting selection. Through Captain Rizvi we eventually selected six HAP's.

The evening before we began our march, Brigadier Habib-Ur-Rehman honored the expedition with a splendid formal dinner which included such delicacies as roast ibex and ice cream. As all the distinguished gentlemen of Skardu were present in their Sunday-best we were thankful that we had brought white shirts and ties.

We left Skardu 112 porters strong on May 21, but without Captain Akram who was in the hospital with bronchitis. He would have to come in later with the Italian group. We stopped at Shigar, Koshumal, Dassu, and Hotu before reaching the last village of Askole. Here many of the porters were replaced by Askole "wallahs," who had heavier clothing and were more familiar with traveling on the Baltoro Glacier. Flour, the principal bulk of the porter food was purchased and sixty porters were hired to carry this additional load. We also realized that most of our three porter-loads of small coins was unnecessary, as paper money was more convenient and far lighter. We disposed of the unwanted change by paying off the porters with it, but not without some complaints. The big protest came from the village Lambadar, or headman, who supplied our flour. Our bags of coins in payment were so heavy that he had to have his husky son assist him in hauling them away.

Two days out of Askole, anticipated difficulties began to arise. A can of milk disappeared. Then we discovered that we did not have a full porter-ration of certain food items such as sugar, ghee, and tea. In lieu of this we granted them an additional monetary allowance and again the men were happy. At the snout of the Baltoro Glacier several inches of snow fell on us during the night but the porters continued after a

late start the following morning. Two days later at Urdukas a porter strike occurred as predicted. They requested one day to cook *chupattis* for the final five days on the glacier. Our demand that they continue at 10:30 the following morning was accepted, though we did not know this until 10:29. Urdukas is always a big uncertainty and a serious one. Sincerity and bargaining ability seem essential at this point.

There was fresh snow one day out from Urdukas and the second night was cold and miserable for the porters. Camp on the third night beyond Concordia provided natural wind-protection but it was below freezing. Though there was still a day's march to Base Camp, we decided to pay off all but 20 of the best-clothed porters and relay from this point. The next few days were a hodgepodge of reconnoitering and relaying as Base Camp finally took form on the northwest side of the Abruzzi Glacier midway between the South Gasherbrum and Upper Baltoro glaciers.

It is truly a wonderful feeling to be looking up at an *achttausender* with just that little distance between you and the summit. This is where climbing begins. Months of time, hundreds of people, 7000 pounds of supplies, and thousands of dollars had brought us to this rendezvous—utopia to a mountaineer. Curiosity, doubt, humility, enthusiasm, confidence: This is mountain climbing.

Hidden Peak, also called Gasherbrum I, was northeast of Base Camp in the "V" between the junction of the South Gasherbrum Glacier which flows from the north and the Abruzzi Glacier which flows from the southeast. There are six Gasherbrum Peaks which form a horseshoe around the South Gasherbrum Glacier. From Hidden Peak the main ridge continues southeast to form another horseshoe around the Abruzzi Glacier with Sia Kangri at the head of the shoe and Baltoro Kangri opposite Hidden Peak. Our approach must be somewhere on either the south or west side of the mountain.

Reconnaissances up the South Gasherbrum and Abruzzi glaciers presented four potential routes. A northwest ridge descends from the summit to the South Gasherbrum Glacier. Its upper 2000 feet is steep and obviously requires rock climbing. The west face is primarily a hanging glacier with avalanche hazards but it is the shortest route. The 1936 French attempt followed the "bee-line" route, but it involves a steep rock and ice buttress which terminates at the south summit of Hidden Peak, still several miles from the main summit. In 1934 André Roch and Hans Ertl, who were members of an international expedition under Professor G. O. Dyhrenfurth, investigated an arête that leads to a huge snow plateau southeast of the summit. We selected this route and called it the "Roch arête."

## ASCENT OF HIDDEN PEAK

169

A luxurious Camp I was established on the upper part of the Abruzzi Glacier at the base of the Roch arête. Nevison and I attached fixed ropes onto aluminum pickets placed in the snow slopes above Camp I. On June 15, Nick, Andy, Mac, and three HAP's established Camp II at 20,800 feet. The weather was spotty during the next few days, but relaying loads from Base Camp to Camp II and some route-fixing toward Camp III continued. This also provided time to acclimatize and exchange leads. On June 21, Andy and I reached the crest of the arête (22,000 feet) where Camp III was to be stocked. We could see the corniced ridge leading to the upper plateau, which connects Sia Kangri and Hidden Peak. The obvious route was a long march across the plateau and through the col between the south summit and the main summit ridge. The difficulty was distance and the possibility of getting trapped on the plateau by an excessive snow fall which would occur if and when the monsoon struck. Our plan included stocking Camp III completely and then dividing into teams for the final assaults. It was essential that we maintain a supply line and yet be able to move quickly in good weather.

Sahibs and porters worked hard relaying loads to Camp III. Packs varied in weight from 25 to 55 pounds. We rotated the tasks of making the route and relaying loads to break the monotony. Every few days, and always within a week, there would be a rest day which was usually forced on us by the weather. We tried to pack early in the day to avoid avalanches and although a four to six hour climbing day would have been preferable, many days stretched into eight to twelve hours, especially between camps I and II. Lower down, the HAP's packed as a group in company with one or more of the sahibs. Unfortunately two, one of whom had a leg injury and another who was sick, were restricted to Base Camp early in the attempt. Later a third HAP became ill from the altitude.

But most of us were able to maintain reasonably good health. Akram, who had arrived with the Italian expedition, had recovered and was acclimatizing amazingly fast. Mac had a slight case of pneumonia which curtailed his activity, although he was still able to continue. Other minor illnesses were disconcerting, but tolerable. It would, however, seem easy to become a hypochondriac at these altitudes, and the presence of Dr. Tom Nevison with medical supplies was encouraging. A twenty-four hour supply of oxygen and penicillin was a requirement in each camp for combatting pneumonia. They were the first items taken in establishing a new camp.

## ASCENT OF HIDDEN PEAK

171

route to the col that required a minimum of muscle-work. Here on the windswept rock of the col we rested briefly at 9 o'clock, then continued across the upper snow-bowl in a more or less direct line for the summit. The lead was exchanged every few minutes. The snow gradually steepened; then changed to snow-and-ice-covered rock, and finally to rock and the summit ridge. Our second oxygen bottle was connected at noon and we increased the flow rate from two to three liters per minute. To a certain extent we used belays on the rock.

A snow couloir just east of the summit provided a corridor to the crest of the ridge. This couloir proved especially treacherous due to wind-crusted layers of snow that were most susceptible to breaking off under the crampons. Finally we reached the ridge and the temperature seemed to drop as a brisk wind became evident. This high ridge, including the summit, is all snow. At three o'clock we reached the top. One hour provided a minimum of time for taking photographs and observing the great peaks of the Karakoram. Four *achttausenders* lay in a line from our point to the summit of K2, some 18 miles away. Saloro Kangri, Masherbrum, Chogolisa, Broad Peak, Mitre, Crystal, Mustagh Tower—they seemed endless. A cloudless day and a beautiful sight. Below we could see movement at Camp III and between III and IV. Finally we made mirror contact. On the other side of the mountain, and several thousand feet below, a fine line on South Gasherbrum Glacier indicated the Italian approach to Gasherbrum IV.

The descent became mechanical shortly below the couloir. At the col we disposed of the weight of the oxygen bottles. A half hour from Camp V we shared a dexidrine. It was dark as we entered the tent at nine o'clock.

The next day we could see the second team ascending from Camp IV, so we left Camp V intact and started down. We met Tom, Nick, and Bob halfway. Here, as clouds began to swirl across the summit, they decided to abandon attempts to get the entire party up. Nick and Tom continued up to remove Camp V, while Bob, Andy, and I went on down.

Enroute back, Nick and I made a side trip to the base of K2 and the memorial commemorating those who had lost their lives on that mountain. There we paid tribute to them, including my climbing companion Art Gilkey, and to those dozens of other Karakoram climbers who had contributed to making our climb a success.

## ASCENT OF HIDDEN PEAK

171

route to the col that required a minimum of muscle-work. Here on the windswept rock of the col we rested briefly at 9 o'clock, then continued across the upper snow-bowl in a more or less direct line for the summit. The lead was exchanged every few minutes. The snow gradually steepened; then changed to snow-and-ice-covered rock, and finally to rock and the summit ridge. Our second oxygen bottle was connected at noon and we increased the flow rate from two to three liters per minute. To a certain extent we used belays on the rock.

A snow couloir just east of the summit provided a corridor to the crest of the ridge. This couloir proved especially treacherous due to wind-crusted layers of snow that were most susceptible to breaking off under the crampons. Finally we reached the ridge and the temperature seemed to drop as a brisk wind became evident. This high ridge, including the summit, is all snow. At three o'clock we reached the top. One hour provided a minimum of time for taking photographs and observing the great peaks of the Karakoram. Four *achttausenders* lay in a line from our point to the summit of K2, some 18 miles away. Saltoro Kangri, Masherbrum, Chogolisa, Broad Peak, Mitre, Crystal, Mustagh Tower—they seemed endless. A cloudless day and a beautiful sight. Below we could see movement at Camp III and between III and IV. Finally we made mirror contact. On the other side of the mountain, and several thousand feet below, a fine line on South Gasherbrum Glacier indicated the Italian approach to Gasherbrum IV.

The descent became mechanical shortly below the couloir. At the col we disposed of the weight of the oxygen bottles. A half hour from Camp V we shared a dexidrine. It was dark as we entered the tent at nine o'clock.

The next day we could see the second team ascending from Camp IV, so we left Camp V intact and started down. We met Tom, Nick, and Bob halfway. Here, as clouds began to swirl across the summit, they decided to abandon attempts to get the entire party up. Nick and Tom continued up to remove Camp V, while Bob, Andy, and I went on down.

Enroute back, Nick and I made a side trip to the base of K2 and the memorial commemorating those who had lost their lives on that mountain. There we paid tribute to them, including my climbing companion Art Gilkey, and to those dozens of other Karakoram climbers who had contributed to making our climb a success.

*Summary of Statistics*

AREA: Karakoram Himalaya, Pakistan.

ASCENT: The first ascent of Hidden Peak, also known as Gasherbrum I (26,470 feet), by Peter K. Schoening and Andrew J. Kauffman, 2nd, July 5, 1958.

PERSONNEL: Nicholas B. Clinch (leader of the party); Captain Mohd Akram; Richard K. Irvin; Andrew J. Kauffman, 2nd; Thomas McCormack; Thomas O. Nevison, Jr., M.D.; Captain S. T. H. Rivsi; Gilbert J. Roberts, Jr.; Peter K. Schoening; Robert L. Swift.



60 rocznica pierwszego przejścia *The Nose* na El Capitanie (WEGA t. IV, str. 205 i 532)

12.11.1958 Warren J. Harding (WEGA t. VI, s. 315), Wayne P. Merry i George Whitemore weszli na wierzchołek El Capitana po pierwszym przejściu wysokiego na 1000 m południwego kantu (*The Nose*) tej góry. Przejście, a raczej jednak zdobywanie tej drogi, w którym brali udział jeszcze inni wspinacze, trwało 18 miesięcy, w tym 47 dni wspinaczki. Zainteresowanym wspinaniem nie trzeba przedstawiać ani El Capitana, ani tej drogi, więc tylko dla przypomnienia zamieszczamy relację z tego przejścia W. J. Hardinga w „American Alpine Journal” 1959, s. 184-189 (*El Capitan*).

Chętnie sporządzilibyśmy pełną listę wczesnych przejść, a także polskich przejść tej drogi. Może ktoś zechce coś takiego przygotować lub przynajmniej pomóc w zebraniu potrzebnych wiadomości, zwłaszcza o polskich przejściach *The Nose*?



El Capitan z kaniem (w profilu) *The Nose* na obrazie A. Bierstadta

### Niektóre przejścia drogi *The Nose*

1960 2. przejście *The Nose* (tylko 7 dni): Joe Flichen, Tom Frost, Chuck Pratt, Royal Robbins.

1969 ?. przejście (1. przejście solo): Tom Bauman.

1975 ?. przejście (1. p. jednodniowe): Jim Bridwell, John Long i Billy Westbay.

1990 przejście dróg *The Nose* i *Salathe* (łańcuchówka?): Peter Croft i Dave Schulz.

1992 ?. przejście: Peter Croft i Dave Schulz.

1993 ?. przejście (w 4 godz. 22 min.): Peter Croft i Hans Florine.

1993 1. przejście „klasyczne”: Lynn Hill i Brooke Sandahl.

1993 ?. przejście łańcuchówki *The Nose* + *Lurking Fear* + *The West Face* (w 23 godz.): Hans Florine, Steve Schneider.

1998 ?. przejście (2.p. „klasyczne”): Scott Bruke

2005 ?. przejście: łańcuchówka *The Nose* + *Freerider*: Tommy Caldwell i Beth Rodden(f)

2018 ?. przejście szybkie (2 godz, 10 min. i 15 sek.): Alex Honnold, Tommy Caldwell.

1. polskie przejście drogi: 1980 Tadeusz Karolczak, Janusz Majer, Ryszard Pawłowski.



Malgorzata i Jan Kielkowscy

Warren J. Harding

## El Capitan

WARREN J. HARDING

I SUPPOSE this article could be titled "The Conquest of El Capitan." However, as I hammered in the last bolt and staggered over the rim, it was not at all clear to me who was conqueror and who was conquered: I do recall that El Cap seemed to be in much better condition than I was.

The above mentioned last bolt marked the conclusion of a venture that began in July, 1957. Mark Powell, Bill "Dolt" Feuerer and I met in Yosemite Valley intending to make an attempt on the North Face of Half Dome. We discovered that an excellent team of climbers from southern California was already at work on it and had the situation well in hand. In our disappointment, we became a bit rash and decided to "have a go" at El Cap.

I'm sure no climber ever considered El Cap impossible—the term "impossible climb" having long since become obsolete. The fact that, previously, there had been no serious attempts to scale the sheer 2900-foot face was simply due to the common belief among rock climbers that techniques were not sufficiently advanced to cope with such a problem.

After we decided to attempt the climb, we spent an entire day studying the face in search of a continuous route to the summit. It is interesting to note that, on the climb, the route went exactly as we planned, with the possible exception of the "Roof Pitch," a formidable-looking overhang about 2000 feet up. I felt it would be best to bypass this obstacle, using a crack somewhat to the east. Later this crack proved to be only a water streak and we were forced to negotiate the "Roof."

It was obvious that existing methods of conducting a sustained rock-climb would be inadequate. Because of the extreme difficulty of the climbing we anticipated slow progress—perhaps no more than 100 to 200 feet a day. We would spend many days on the rock, so reasonably comfortable campsites were a necessity. Unfortunately there appeared to be very few ledges. We agreed unanimously that the only feasible plan of attack would be to establish a succession of camps up the face, linking them with fixed ropes. Supplies would be hauled up from the ground as needed. This would require a support party to assemble and tie loads to our hauling



lines. Throughout the climb, such people as John Whitmer, Cookie Calderwood, Ellen Searby, and Beverley Woolsey contributed much to the success of the climb as they patiently plodded up the talus with loads of food and water. Our technique was to be similar to that used in ascending high mountains, with prusiking and rappelling gear replacing ice axe and crampons as aids for traveling, and winch and hauling lines instead of Sherpas.

On July 4, 1957, we began hammering our way up the smooth, glacier-polished wall. There was no thought of reaching the summit on this attempt—our tentative goal was El Cap Towers, the prominent pinnacles on the east side of the buttress about half way up the face.

On the third day we reached Sickle Ledge, 550 feet up, and established Camp I. The next four days were spent pushing the route upward toward the "Towers." The climbing was almost entirely 6th class, direct aid, and about as difficult as can be imagined. Finally, 150 feet short of the lower tower, we were forced to give up. Our special "stoveleg" pitons which had brought us up 300 feet of the two- to three-inch-wide "Stoveleg Crack" were so battered and flattened that they would no longer hold.

Leaving fixed ropes behind to secure what we had gained, we descended. Reaching the ground, our spirits were somewhat dampened by an unexpected problem. It seemed that our climbing presented quite a spectacle and had attracted a crowd of tourists which created a traffic jam at the road-junction near the base. The park rangers were understandably distressed and we had to agree to stay off the rock during the tourist season, between Memorial Day and Labor Day. This meant we would be climbing with shorter days and less certain weather. Difficulties of the El Capitan ascent were not confined to the rock!

According to our agreement, nothing was done until after Labor Day except to replace the many borrowed climbing ropes left as fixed line with a newly purchased half-inch manila.

Beginning with a four-day tour at Thanksgiving, there was a series of attrition attacks extending through October 1958 which whittled away the remaining 2000 feet to a point from which a final push might stand a chance of success.

The accompanying *Chronology of El Capital, First Ascent* outlines this, but limited space in the "remarks" column prevents adequate description of the troubles and frustrations that plagued us in the next several months. About everything that could go wrong did.

The first, and probably worst, blow was Powell's unfortunate accident. In September 1957, he took a bad fall (while on an easy climb) and frac-

tured and dislocated his ankle, putting himself out of action for a long time, if not permanently. Then, weather in the spring and early fall of 1958 was abominable. New equipment such as the winch, laboriously carted 1200 feet up to "Dolt Tower," was not nearly as effective as it might have been.

Along with the new equipment, new faces appeared on the rock. This, too, posed a problem. Powell and Feuerer felt that no new members should be admitted to the group. I didn't think the three of us constituted a strong enough party to go ahead on El Cap, since Powell, who had climbed brilliantly on the first attempt, was no longer capable of doing much leading. The dissension arising from this situation ultimately resulted in Powell and Feuerer dropping out, except for the continued use of Feuerer's pitons and other special equipment. So I continued with whatever "qualified" climbers I could "con" into this rather unpromising venture.

By mid-October 1958, Camp IV at 1800 feet and a high point at 2000 feet, just below the "Roof," had been established. The Chief Ranger had given us a deadline—to complete the climb by Thanksgiving. I have never understood how this was to have been enforced. But it didn't matter; we were all determined to reach the summit before winter.

After a long, hard look at the remaining 900 feet of the upper face, Wayne Merry, George Whitmore, Rich Calderwood, and I (who now made up the El Cap climbing party) agreed that an all-out effort was in order.

On November 1, 1958 we started up the fixed ropes for what we hoped would be the last time. The weather had cleared and the invigoratingly cool breezes were a pleasant contrast to the violent thunderstorms and oppressive heat of the nine-day effort in September. Due to a late start, we reached Camp IV a little after dark and were soon in our sleeping bags discussing plans for the next day's activities.

Next morning we ascended the fixed line to the previous high point and went to work on the long-dreaded "Roof Pitch." While strenuous and just a bit scary—nailing around the right side of the 180° overhang with 2000 feet of space directly below—it proved to be not nearly as difficult as we had thought it would be. The following seven days blurred into a monotonous grind—if living and working 2500 feet above the ground on a vertical granite face can be considered monotonous! On Sunday evening, the ninth day, a storm broke, providing a welcome day of rest from the hammering and hauling.

While sitting out the storm at Camp VI, snug in our sleeping bags with a rubberized nylon tarp warding off the wind and snow, Wayne and I took stock of the situation. Except for Rich Calderwood, who had gone down with an attack of nerves, we were all in good condition. Whitmore was somewhere below, most likely Camp IV, and would be coming up with another load of food. We had been working out of Camp VI for the past three days and, while we were not certain, we felt that our high point was surely no more than a couple of hundred feet below the rim. A determined push might put us over the top in one more day. We liked the thought, anyway. We were getting just a little tired of the whole thing.

By Tuesday morning the storm had blown itself out. After shouting our plans down to George, Wayne and I left Camp VI with extra food and batteries for our headlamps. Mid-morning found us at our high point and pushing on. As we began nailing up the next pitch, we heard a most welcome sound—a yodel from the top! John Whitmer, Ellen Searby, and Rick Anderson had hiked in to meet us. Spurred on by the encouraging knowledge that we actually were near the rim (because of the intervening overhangs, it had been impossible to see exactly where we were), we hammered up the next two pitches with enthusiasm if not speed. It was nearly 4 o'clock when we reached the tiny ledge that would serve as a belay-spot for the last pitch.

We could now see John and Ellen peering down at us. Also visible was the route between us and the top—a most impressive looking pitch! The first 60 feet was rather straightforward 6th class up a wide crack. The crack ended under an overhanging wall that was 90 feet high and completely devoid of cracks—15 pitons, 28 bolts, and 14 hours were required to surmount that final pitch. But at 6 the next morning I pulled over the top and stared feebly at Ellen as she struggled with her camera's faulty flash-attachment.

NOTES: The ascent took 45 days, spread over a period of 18 months. Although the face is 2900 feet high, so much altitude was lost due to numerous pendulum traverses, that a total of 3400 feet of climbing was necessary. About 675 pitons and 125 expansion bolts were used, 90 percent of which were for direct aid. The mileage of prusiking and rappeling has not been calculated.

## CHRONOLOGY OF EL CAPITAN, FIRST ASCENT

Date	Duration		Personnel	Remarks
	Days	Nights		
<b>1957</b>				
<i>July</i>				
5-12	7	5	Powell Harding Feurerer	Began the climb. Camp I, on Sickle Ledge, established. Reached 1050 ft., July 11.
19-20	2	1	Harding Feurerer	Strung 1200 ft. of 1/2 in. manila rope as fixed line.
25-28	4	3	Harding Steck Feurerer Reed	First night on Sickle Ledge. Next day, on to high point. Gained 60 ft. Bivouacked in slings. Reached summit of Dolt Tower noon of 3rd day. Fourth day spent descending.
<b>1958</b>				
<i>March</i>				
22-23	2	1	Harding Feurerer	Replaced manila fixed line with 7/16 in. nylon.
30	1	0	Harding Feurerer	Week-long push had been planned, but weather turned bad. Started up, carrying winch and 600-foot and 1200-foot lengths nylon ropes. Turned back at 900 ft. because of rain and snow.
<i>April</i>				
19-20	2	1	Harding Powell Feurerer	Winch and hauling-line carried to Dolt Tower. Winch set up and tested. High point pushed up 60 ft. toward El Cap Towers.
<i>May</i>				
10-11	2	1	Harding Powell Feurerer	Reached El Cap Towers, 1500 ft., first day. Sat out rainstorm that night and part of next day.
24-25	2	1	Harding Powell Feurerer	Last attempt for spring of 1958. High point set at top of Boot Flake, 1650 ft.
<i>Sept.</i>				
6-15	9	8	Harding Merry Calderwood Whitmer Reed Powell	Much time spent hauling food, water, and climbing gear to Dolt Tower and El Cap Towers. Climbing delayed by 2 days of thunder storms and rain. Camp IV established at 1800 ft., high point at 1900 ft.
<i>Oct.</i>				
10-11	2	1	Harding Merry Calderwood Whitmore	Fixed line re-routed between Dolt Tower and Camp IV. High point up 100 ft.—halfway up the Roof Pitch.
17	1	0	Harding Merry Calderwood Whitmore	Turned back at Dolt Tower by threatening weather.
<i>Nov.</i>				
1-12	11	11	Harding Merry Calderwood Whitmore Reed	Final attempt begun Nov. 1. Camp V established Nov. 4. Camp VI established Nov. 6. Summit reached at 6 A.M., Nov. 12.
22-23	2	1	Harding Merry Calderwood Whitmore	Removed fixed lines, supplies, and climbing gear which had been left behind during the ascent.
	47	34		

EL CAPITAN

189

*Summary of Statistics*

AREA: Yosemite National Park, California.

ASCENT: First ascent of the face of El Capitan.

PERSONNEL: Warren J. Harding, Wayne P. Merry, George Whitmore completed the climb. Additional members of final team—Richard Calderwood, John Whitmer, Wallace Reed, Mark Powell. Additional members of preliminary team—William Feuerer, Allen P. Steck. Assistants at base—Cookie Calderwood, Ellen Searby, Beverley Woolsey.

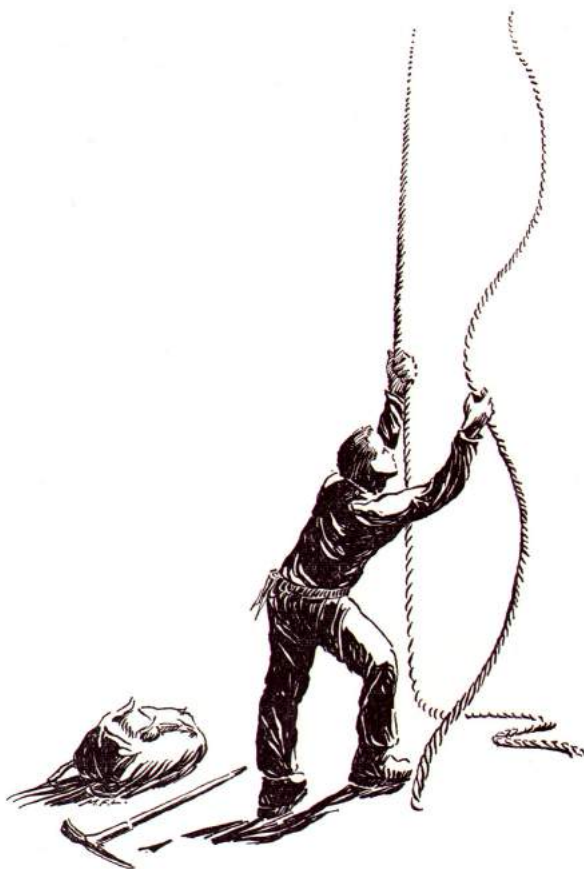




PLATE 21a

THE CLIMB OF EL CAPITAN.  
Route of the Ascent.

\*Indicates campsites.

*Photos by Ellen Searby*

PLATE 21b





PLATE 22a

**THE CLIMB OF EL CAPITAN.** Harding prusiking toward ledge around corner from Boot Flake. (Reached originally by a forty-foot pendulum traverse.) Sixteen hundred feet above base of cliff.

*Photos by Wayne Merry*

PLATE 22b

**Camp II, on Dolt Tower—Largest camp of the climb.** Calderwood and Harding, with winch and hauling line.



## MIEDZY NAMI WEGANTAMI

### John Harlin – Amerykanin w Alpach

22 marca 1966 roku Amerykanin John Harlin zginął na *direttissime* Eigeru. Rozpoczęła się legenda alpinisty, który stał się symbolem całego pokolenia. 20 lat po inwazji normandzkiej Amerykanie wylądowali w Alpach, przywożąc nowy sprzęt, nową technikę ścianową, lecz przede wszystkim nową filozofię alpinizmu. Szefem tej nowej fali był John Harlin junior. Urodził się 30 czerwca w Kansas City. Tam też ukończył szkołę średnią i zaczął studiować sztuki piękne na uniwersytecie w Standford. Pragnął zostać stylistą *haute couture*.

Zatrudnił się nawet jako stażysta u Balmaina i Diora w Paryżu, lecz szybko stwierdził, że to nie jest zawód dla niego. W 1955 poślubił Marilyn i cztery lata później został ojcem (Johnny i Andrea). Zaszczepiony prawdopodobnie przez ojca, który był pilotem w Panamie, wirus latania przyniósł efekty – Harlin trafił na 5 lat do US Air Force, zrobił licencję pilota i z najlepszym wynikiem ukończył szkołę Top Gun. Miał więc prawo do wybrania swojej przyszłej bazy. W 1957 służył w bazie NATO w Hahn i później w Bernkastel. Ten wybór nie był przypadkiem – Harlin chciał być w pobliżu Alp.

W 1963 opuścił lotnictwo i osiedlił się w Leysin w Alpach Szwajcarskich, po drugiej stronie Chamonix, pracując tam jako profesor wychowania fizycznego w amerykańskim college. Dwa lata później założył szkołę wspinaczkową: International School of Modern Mountaineering.

Harlin zaczął się wspinać w 1952 roku w uniwersyteckim klubie wspinaczkowym w Standford. Pierwsze alpinistyczne kroki stawiał w USA i Kanadzie. W 1955 przeszedł północną ścianę Matterhornu – tak w każdym



razie podawał. Jednak Matterhorn „według Harlina” to jeden z pierwszych [raczej jeden z wielu, przyp. red.] przypadków górskiej mitomanii w historii alpinizmu. O tym fałszywym przejściu pisze James R. Ullman w biografii Amerykanina *Straight up*. Fakty potwierdza też John Harlin III w książce *Eiger obsession*, poświęconej ojcu. W 1955 roku John Harlin był debiutantem. Wybrał się na północną ścianę Matterhornu, lecz podczas wspinaczki zespół zabłądził w ścianie i w końcu pokonał tylko drogę normalną. John Harlin III pisze:

„Epizod z Matterhornem i pobyt w Paryżu – te sprawy prześladowały mojego ojca. Fiasko na Matterhornie stało się przejściem północnej ściany. I więcej, wizyta u Diora i Balmaina urosła do stażu zawodowego”.

[...] „Ojciec wierzył absolutnie w powodzenie każdego przedsięwzięcia. Porażka nie wchodziła w rachubę”.

Według Hastona Harlin uprawiał wspinaczkę z taką samą euforią jak latanie. Amerykański alpinista potwierdził tę opinię kilka lat później: „...alpinizm i lot samolotem, niebo jest dla mnie czymś więcej niż tylko terenem gry, to esencja mojego życia”.

W 1961 roku Harlin wspinał się w Chamonix z Garrym Hemmingiem, dla którego był



to pierwszy sezon alpejski. Amerykanie przeszli wówczas tylko *Bonattiego* na Grand Capucin, gdyż pogoda była kapryśna. W rok później podobnie: zespół wycofał się z dróg Walkera i Bonattiego na Dru. Harlin wrócił do Szwajcarii, gdzie przeszedł z Konradem Kirschem *Drogę Klasyczną* na Eigerze. W tym samym czasie Hemming z Robbinsem inaugurował *Directe Americaine*.

W 1963 roku konkretyzuje się dawny Hemmingowsko-Harlinowski plan: południowa ściana Aiguille du Fou, przyciągająca od 1952 roku najlepszych wspinaczy. W pierwszej, czerwcowej próbie uczestniczyli Harlin i Kirsch. W lipcu ścianę zaatakowała nowa, wzmocniona ekipa: Tom Frost, Steward Fulton, Harlin i Hemming. Alpinści wycofali się trzykrotnie ze szczeliny diagonalnej ze względu na praktycznie nieistniejącą asekurację. 25 lipca ta sama ekipa weszła w drogę, kończąc ją następnego dnia. W Chamonix rozpoczyna się amerykańska legenda i lokalna zazdrość.



Zespół Harlina przed wejściem w południową ścianę Aiguille du Fou.

Po południowej ścianie Fou Harlin i Hemming rozstali się definitywnie. Ich poprzednie wspinaczki charakteryzowały się kłótniami i karczemnymi awanturami. Tym razem Hemming nie może już dłużej znieść reklamowych akcji Harlina, który po każdym sukcesie wzywał dziennikarzy. Sytuację zaogniły także poręczówki, użyte podczas wspinaczki. Na Fou.

W końcu lata Frost i Harlin otwierają drogę lewym filarem Frêne (Hidden pillar) po włoskiej stronie Mont Blanc. O drodze tej Harlin napisze później: najtrudniejsza wspinaczka na „Małym Kaukazie”: jakość skały, trudności techniczne, wysokość i dzika sceneria sprawiają, iż jest to przedsięwzięcie na wielką skalę.

Zimą 1964 Amerykanin pokonał północno-zachodnią ścianę Möncha, w towarzystwie Martina Eppa, i wiosną udał się na zachodnią ścianę Aiguille de Blaitière. Jego partnerem był wówczas Lee Herral. Na kluczowym wyciągu Harlin zaliczył długi lot i zdecydował się na wycof. W czerwcu, po dwóch dniach wspinaczki, Harlin i Pierre Mazeaud, jeden z pozostałych przy życiu podczas tragedii na filarze Frêne alpinistów, stanęli na szczycie Blaitière po przejściu *directissimy*. Mazeaud napisze później o Harlinie: ...znałem koncepcję Johna: wspiąć się w linii pionu. Miałem podobne poglądy, wiedziałem, że rozpoczyna się nowa era alpinizmu.

## John Harlin – Amerykanin w Alpach

W sierpniu po kilku nieudanych próbach, w których uczestniczyli między innymi Estcourt, Mazeaud i Sorgato, Harlin i Robbins, otwierają direttissimę zachodniej ścianie Petit Dru. W końcu sierpnia Baillie, Bonington, Robertson i Harlin inauguruje nową drogę prawą częścią filara Brouillard, nie dochodząc do szczytu z powodu gwałtownej burzy. To ostatnia premiera Harlina w masywie Mont Blanc.

W Leysin, gdzie pracował Harlin, środowisko wspinaczkowe skupiało się wokół amerykańskiego college imienia Schillera oraz turystycznego Klubu „Vagabond”. W 1965 roku Harlin założył tam szkołę wspinaczkową - ISMM. Nie miała ona przez długi czas statusu legalnego i nie przynosiła zysków, gdyż jej instruktorzy nie byli przewodnikami; Harlin rekrutował ich spośród najlepszych ówczesnych wspinaczy, między innymi Joe Taskera i Ericka Jonesa. Po śmierci Harlina szkołę kierowali kolejno: Royal Robbins, Don Whillans, Dougal Haston i Peter Boardman. Spadkobiercy Harlina przez długie lata zapewniają funkcjonowanie szkoły zgodnie z duchem jej założyciela, gwarantując wysoki poziom kursów wspinaczkowych. W latach siedemdziesiątych (dyrektor Boardman) ISMM proponował kursantom, między innymi, filar Walkera i zachodnią ścianę Petites Jorasses. Od śmierci Boardmana i Taskera szkołą kieruje do dzisiaj Patt Littlejohn.

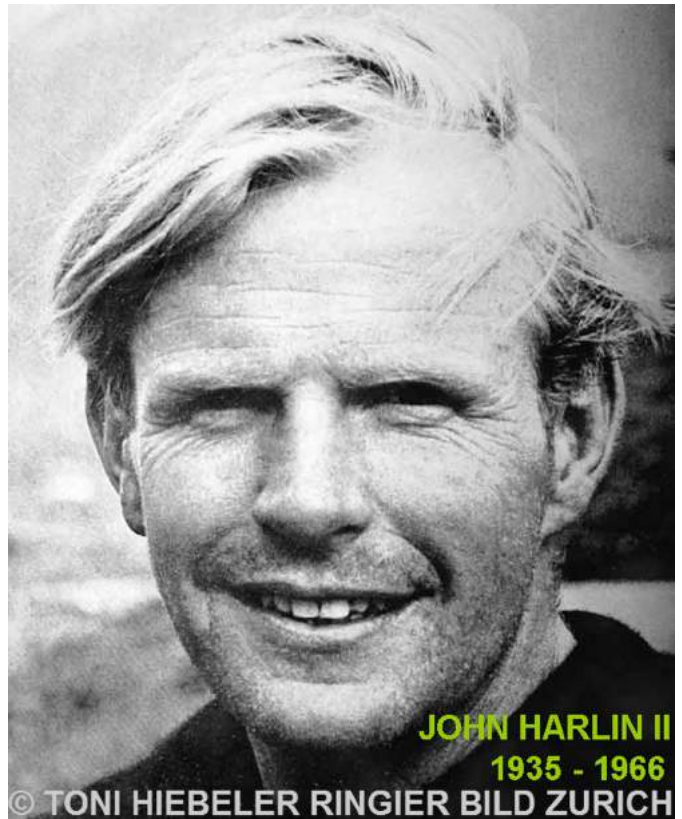
W latach sześćdziesiątych Harlin zaczął interesować się północną ścianą Eigeru. W okresie tym przyciągała ona amatorów nowych dróg z całego świata. Podczas pierwszego rekonesansu na ścianie Amerykaninowi towarzyszył jugosłowiański (słoweński) alpinista Aleš Kunaver.

W 1964 roku Eiger stał się teatrem zimowej próby. Siebert, Kauschke, Uhner i Bitner po kilku dniach spędzonych na północnej ścianie wycofali się z drugiego pola lodowego. W lutym na drodze klasycznej Harlin próbował współpracować z będącym wówczas w Europie Tenzingiem, lecz z powodu złej pogody (i braku ścianowego doświadczenia Szerpy, według Harlina) zespół wycofał się z drogi. W tym czasie Amerykanin spotkał w Bostonie Laytona Kora, który był zainteresowany problemem direttissimy. W kilka tygodni później Harlin w towarzystwie Douga Hastona, spotkanego przy piwie w Nationalu w Chamonix, wyruszył na tajne ogłędziny ściany. Alpinści byli zadziwieni ogromem przyszłego przedsięwzięcia. W czerwcu 1965 roku Amerykanin pojawił się na północnej ścianie kolejno z Piussem i Sorgato oraz z Bertrandem i Desmaisonem. Ta „mountain killer” coraz bardziej prześladowała Harlina, który był przekonany, że najlepszym momentem na zaatakowanie jej jest zima, ze względu na mniejsze ryzyko kamiennych lawin. Zimą 1966 plan Harlina był zapięty na ostatni guzik. Zespół stanowili: Haston, specjalista od lodu, Kor geniusz skały oraz Harlin, mózg operacji. Chris Bonington koordynował akcję z Kleine Scheidegg.

Na początku lutego Hermann Geiger, słynny pilot lodowców, krążył w pobliżu ściany Eigeru, umożliwiając Harlinowi fotografowanie przyszłej drogi metr po metrze. Wybrany przebieg drogi wydawał się bezpieczny, gdyż omijał strefę kamiennych lawin.

Larry Ware, były uczeń Harlina i profesor w Schiller College, powie: Nie można zapominać, że John był inżynierem górskiej logistyki. Potrafił opracować odpowiednią taktykę i dobrać właściwych ludzi. Jego silny charakter powodował, że inni szli w jego ślady.

20 lutego zespół Harlina wszedł w ścianę. Jednocześnie pojawiła się konkurencyjna silna ekipa niemiecka. 16 marca Haston i Harlin



zjechali ze ściany po siedmiodniowym biwakowaniu na Biwaku Śmierci, bez jedzenia i podczas burzy śnieżnej. Wkrótce rozpoczął się bezlitosny wyścig.

Do 19 marca dwie ekipy wspiły się równoległymi, oddzielnymi o kilka metrów drogami. 20 marca, miesiąc po wejściu w ścianę, ze względu na złe warunki dwie grupy połączyły się: Layton Kor i Karl Golikow osiągnęli wreszcie górną część centralnego filara u stóp Pajaka. Oficjalnie Harlin nie potwierdził jeszcze unifikacji ekip. Jorg Lehne czekał z niecierpliwością na decyzję lidera. Ten ostatni obawiał się, iż liczna ekipa niemiecka może opóźnić tempo wspinaczki, wiedział także, że jego ludzie byli w stanie wygrać ten wyścig. Dawne marzenie Harlina zaczęło się rozwiewać. 21 marca Harlin i Haston wspięli się po poręczówkach i spędzili noc na Biwaku Śmierci. Nazajutrz Kor, zwolennik połączenia obu grup, zjechał pod ścianę pomimo powrotu dobrej pogody. Powody tego odwrotu pozostaną na zawsze zagadką i jedynym mrocznym punktem akcji.

22 marca obciążony sprzętem i zapasami jedzenia Harlin rozpoczął uciążliwe „małpowanie”. Przedostatnią poręczówkę wymienił poprzedniego dnia Kor na polecenie Boningtona i Vottelera, którzy zauważyli liczne nadtarte liny. Tego dnia Harlin był sam, okropnie sam, podobnie jak podczas wspinaczki na pierwsze-go. Lecz tym razem ta samotność była nie do zniesienia, gdyż poręczując, alpinista pozbawiony jest tej liny – pępowiny łączącej go z towarzyszem. Lina, po której wchodził Harlin pękła nagle o godzinie 15, na wysokości Trawersu Bogów.

Peter Gillman, dziennikarz z „Daily Telegraph”, widział spadającego Harlina, który, „szybował z rozpostartymi ramionami jak anioł”. W ścianie Rolf Rosenzopf zobaczył przelatującą tuż obok sylwetkę. Panika na Kleine Scheidegg, ktoś spadł: Harlin czy Votteler? Bonington i Kor udają się pod ścianę; „tak potwierdzamy, to John”. Śmierć Harlina była zrzędzeniem losu? Przesądni wspomną z pewnością o feralnej liczbie trzynastu alpinistów na północnej ścianie i wizytę Harlina, w przeddzień wspinaczki, na cmentarzu w Grindelwaldzie podczas pogrzebu Hiltiego von Almena (właściciela hotelu na Kleine Scheidegg). W epoce Harlina pierwsze, siedmiomilimetrowe, nylonowe liny nie były wystarczająco solidne i łatwo niszczyły się na agresywnej skale. Śmierć Harlina była z pewnością konsekwencją nieodpartego przyciągania przez obsesyjny ideał. Przypadek Harlina nie jest odosobniony; jego śmierć wpisała się do długiej tradycji przeznaczeń słynnych alpinistów, gdzieś między odejściem Preussa, Kukuczki i Berhaulta. Harlin chciał zmienić swe przeznaczenie. Chciał zginąć na Eigerze? Trudno wierzyć w te hipotezy, gdyż był on przykładem typowego hedonisty (świadczą o tym także jego liczne przygody z kobietami.). Co zaś do zemsty Morderczej Ściany: wydaje się, że jest to teoria pocieszenia Hemminga, który nigdy nie pogodził się ze śmiercią przyjaciela. (sam wkrótce potem zmarł w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach. Według ostatnich badań Larry’ego Ware’a nie było to samobójstwo lecz morderstwo).

Kim był John Harlin? Sportowcem wysokiej klasy? (przyjaciele zwali go Blond God i Super John.), bohaterem nowej epoki? Z pewnością kierowała nim ambicja i chęć wygrania za wszelką cenę. Był postacią kontrowersyjną, wymagającą wiele od współtowarzyszy wspinaczki. Jednocześnie posiadał nieodparty urok i magnetyzm. Niezaprzeczalny jest fakt, że zapoczątkował nową erę alpinizmu. Po Bonattim i jego heroicznych podbojach Amerykanin stał się prekursorem czysto estetycznych dróg, realizowanych zgodnie z jedyną logiką: wprost do góry.

Z nielicznych tekstów, które pozostawił po sobie, wynika, że był także romantykiem, marzycielem i poetą, kimś dla kogo ważniejsze są ideały niż sportowe osiągnięcia, kimś dyskretnym, skromnym i w stosunku do przyjaciół wyrozumiałym.

Harlin miał kilka niespełnionych marzeń: zbudowanie bazy kosmicznej w Himalajach, pojedynkę z pilotem Miga oraz z asem Luftwaffe, von Richtofenem. Po jednym z lotów patrolowych nad Alpami (na pokładzie Sabre) Harlin użył określenia Kryształowe Góry. Jego ostatnim, niespełnionym marzeniem był Eiger.

*Piotr Paćkowski*

Tłumaczenie własnego artykułu *John Harlin- un Américain dans les Alpes*, opublikowanego w „Alpi Rando” (wrzesień 1996).



## Spotkania Seniorów 2018

Wojciech Kapturkiewicz przesłał nam dwie świetne grupowe fotografie z tradycyjnych tegorocznych Pierwsze z nich odbyło się 17 maja 2018 w Dolinie Będkowskiej (dawniej było to „Spotkanie Pokut”). Na zdjęciu z Doliny Będkowskiej siedzą na ławie kolejno od lewej: Alicja Bednarz, Jan Słupski, Jan Waldeck-Kurtyka i Wojciech Kapturkiewicz. Stoją za nimi w pierwszym rzędzie, też od lewej: Jacek Hegerle, Krystyna Skowera, Andrzej Popowicz, Wiesław Stefański, Ewa Kasprzyk, Jacek i Mięguszami na następnych



„Spotkań Seniorów”.

„Seniorów”), drugie zaś 25-27 maja 2018.

Bagsik, Marian Bała, Adam Konior, Barbara Morawska, Roman Śledziwski i Adam Trzaska.

icz, Elżbieta Szumska, Stanisław Kozieł, Ewa Śledziwska, Jerzy Wala, Henryk Skowera, Ewa

Poręba i Andrzej Paulo.

n stronach.





## GÓRY W KULTURZE I NAUCE

### Obraz Tatr na mapach Czakiego i Rizzi-Zannoniego

W trzeciej tercji XVIII wieku dokonał się epokowy przełom w kartografii Tatr i Podtatrza. Metoda perspektywiczna prezentacji rzeźby terenu za pomocą symbolizujących góry kopczyków ustąpiła pola kartowaniu topograficznemu. Szczytowym *nomen omen* osiągnięciem kartografii tatrzańskiej w pierwszym okresie jej rozwoju jest obraz Tatr na dwóch mapach ziem Rzeplitej. Ich współtwórcą był kapitan artylerii Franciszek Florian Czaki. Po raz pierwszy w kartografii przedstawił rzeczywiste detale rzeźby wysokogórskiej Tatr, a także nazewnictwo geograficzne ich szczytów, dolin oraz jezior i cieków wodnych. Spróbujmy zanalizować treść tatrzańskich wycinków obu map.

Mapa starostwa spiskiego, sporządzona przez Czakiego w skali około 1: 167 000 (bądź 1: 168 000, 1: 170 000), została wrytowana i wydana przez Friedricha Hampego w Elblągu około roku 1760 lub 1762, pod dwójakim łańciskim tytułem (ryc. 1). Obejmuje północną część Spisza – komitatu Królestwa Węgier z enklawami terytorialnymi 16 miast oddanych w zastaw Koronie Polskiej 350 lat wcześniej.



Ryc. 1. Fragment mapy Spisza F. F. Czakiego (ok. 1760 lub 1762) z efektywnym kartuszem i wizerunkiem Tatr. Tytuł w kartuszu (w tłumaczeniu): Karta szczegółowa starostwa spiskiego... Tytuł równoległy: Mapa geograficzna przedstawiająca część Węgier; mianowicie tak zwany Komitat Zips...



## Obraz Tatr na mapach Czakiego i Rizzi-Zannoniego

Odkryta i po raz pierwszy opisana przez Jana Jakubowskiego (1926, 1930), mapa ta dopiero po prawie półwieczu doczekała się analizy historyka kartografii. Jerzy Midzio (1975) określił jej dokładność, podjął też próbę objaśnienia genezy przedstawionego na niej obrazu Tatr oraz identyfikacji i skorygowania części błędnych jego zdaniem nazw. Wcześniej jej wycinek tatrzański analizował Józef Szaflarski (1935, 1972). Na jego ustaleniach oparł się Wiesław Siarzewski (2013) w monograficznym, trzecim z serii „Zeszytów Tatrzańskich”, wydawanych przez Tatrzański Park Narodowy pod redakcją Zbigniewa Ładygina. Jednak samej mapie poświęcono tam zaledwie 5 stron tekstu (z ogółem 55). Mogłoby się zdawać, że opracowano ją już tak dogłębnie, iż nie było nic więcej do napisania na jej temat.

Okazały masyw Tatr stanowi dominantę mapy w jej lewej górnej (północno-zachodniej) ćwiartce. Wysokie szczyty Czaki zgrupował w dwóch równoległych szeregach. Pomiedzy nimi umieścił siedem jezior. Stosunki wysokościowe starał się oddać silnymi przewyższeniami, a stromość stoków i plastykę brył – światłocieniem. Drugoplanowym szczytom nie przypisał żadnych nazw ani nie nadał swoistych cech umożliwiających identyfikację. Ich sylwetki są zróżnicowane, lecz czysto fantazyjne. Na pierwszym planie wybija się szereg „spiskich olbrzymów” w bocznych graniach masywu tatrzańskiego (ryc. 2).



Ryc. 2. Tatry Wysokie i Bielskie z lewobrzezną częścią dorzecza górnego Popradu na mapie starostwa spiskiego F. F. Czakiego (ok. 1760 lub 1762).

## Obraz Tatr na mapach Czakiego i Rizzi-Zannoniego

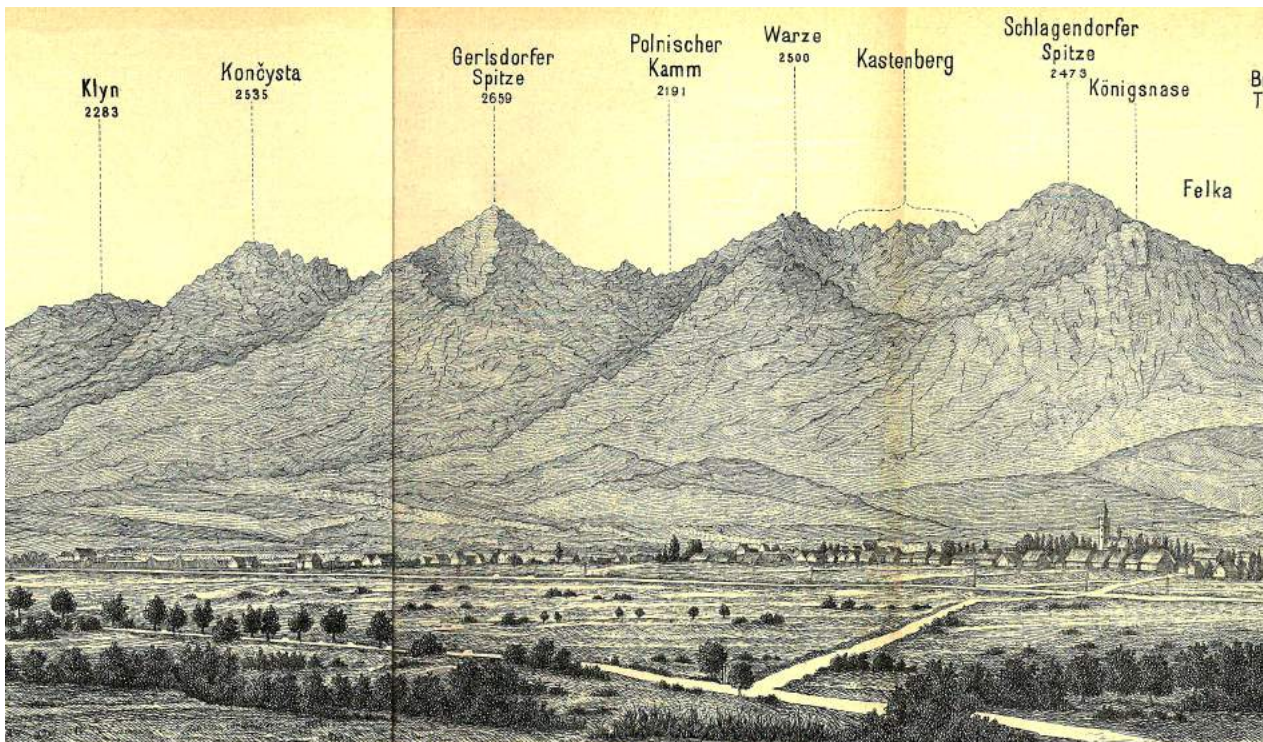
Szaflarskiego już na pierwszy rzut oka uderzyła „fantastyczność obrazu Tatr” na mapie Czakiego. Zakłada, że celowo zdeformował on stosunki topograficzne, dostosowując usytuowanie szczytów, aby widocznie pomieścić między nimi doliny i jeziora. Zwiększenie pojemności informacyjnej tatrzańskiego wycinka mapy uzyskał więc kosztem wierności odwzorowania.

Zdaniem Siarzewskiego, daje się zauważyć na mapie Czakiego „pewien wpływ” panoram tatrzańskich Georga Bucholtza młodszego (1717) oraz Istvána Berzeviczyego (1719). Rysowane znad Wielkiej Łomnicy, nie ukazały się przed wydaniem jego mapy. Brak śladów, by zapoznał się z którąkolwiek z nich. Jak więc mogłyby go zainspirować? Szaflarski nie stwierdził żadnych ewentualnych zależności między nimi a powstaniem mapy Czakiego.

Wszyscy badacze, w tym Zofia i Witold H. Paryscy (1995), są zgodni co do tego, że istnieje pewne podobieństwo wyglądu niektórych szczytów na mapie do ich rzeczywistych sylwetek. Szaflarski (1935, 1972), a za nim Siarzewski (2013), wskazują tylko jeden „łatwy do zidentyfikowania” szczyt – Gierlach (2655 m), „z wyraźnie zarysowanym Kotleń Gierlachowskiem”. Spośród 11 gór opatrzonych nazwami przez Czakiego Szaflarski dokonał jeszcze tylko trzech pewnych identyfikacji oraz dwóch domniemanych. Rozpoznał też połowę spośród 6 opisanych nazwami stawów, w tym dwa niepewnie. Siarzewski (2013, 2015) pokusił się o zidentyfikowanie wszystkich stawów, „wśród których znalazło się Morskie Oko” – wbrew jednemu ze wskazań Szaflarskiego. Obaj pominęli sieć rzeczną, umożliwiającą korelację położenia niektórych obiektów topograficznych.

Czaki zobrazował południowo-wschodnią partię Tatr między źródłowym biegiem Popradu na zachodzie a Bielskim Potokiem na wschodzie. U źródeł Popradu w Dolinie Miękuszwieckiej umieścił błędnie nazwę Doliny Wielickiej *Felkergrund*. Nie zlokalizował Popradzkiego Stawu, z którego – wedle Jakoba Buchholtza (1783) – ma wypływać Poprad. Do tego jeziora nie może więc odnosić się nazwa *Fisch See* – jak chce Siarzewski (2013), powołując się na Matthiаса Bela (1736). Czaki sygnuje nią bezodpływowy staw położony dużo dalej na wschód, za Gierlachem, we wnętrzu Tatr. Od południa spływają doń dwa potoki. Może to więc być drugie „Rybie Jezioro” po polskiej stronie, czyli Morskie Oko – również mylnie umiejscowione.

Ryc. 3. Fragment panoramy Tatr Wysokich z okolic Popradu Karla Kolbenheyera (1882)

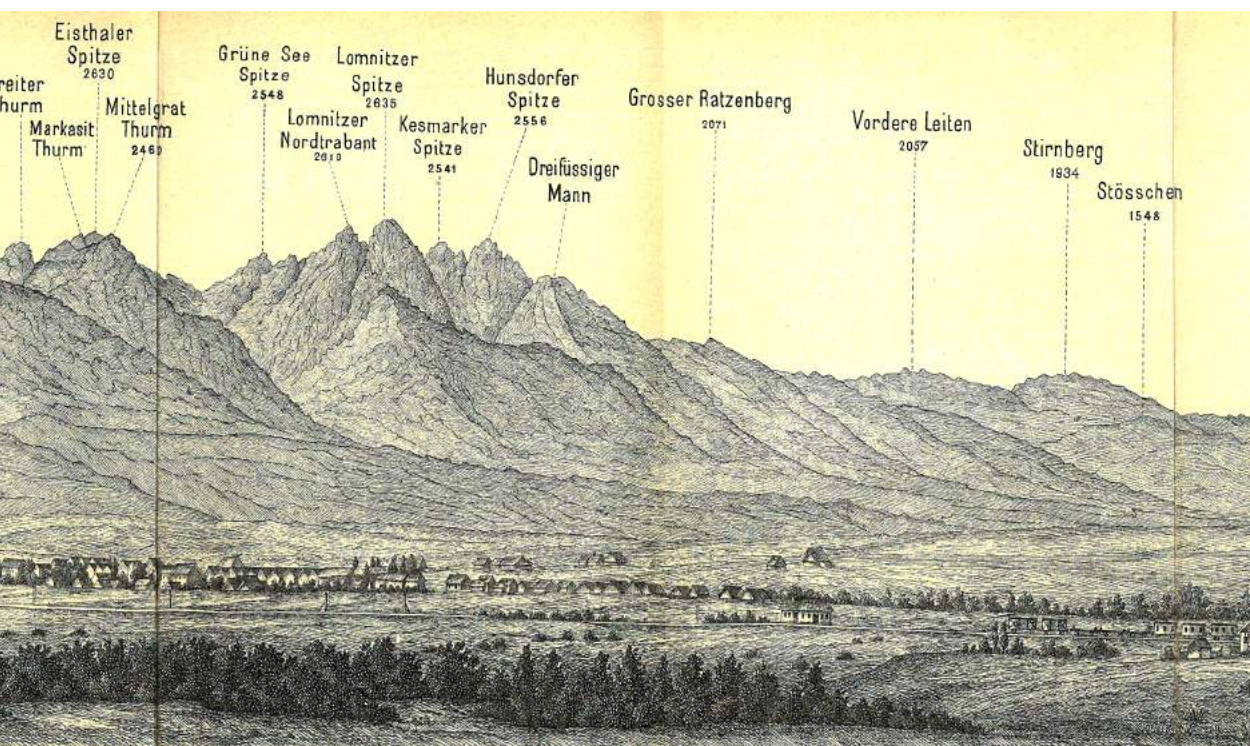


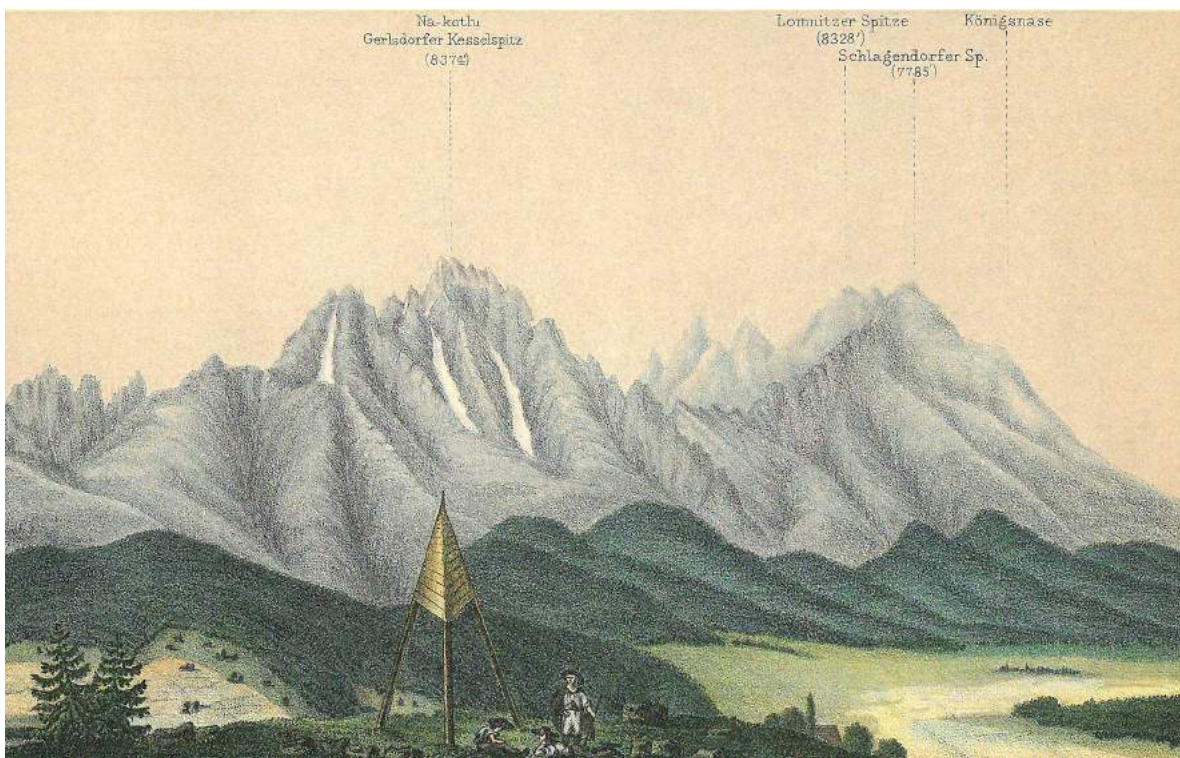
Skrajnie błędną jego lokalizację zakłada Siarzewski (2013, 2015), przypuszczając, że jest to staw na najdalszym północno-wschodnim krańcu masywu Tatr, opisany przez Czakiego nazwą *Polnische S[ee]*, czyli „Polskie Jezioro”. Tak zwano bowiem Morskie Oko od strony węgierskiej. Za taką jego identyfikacją ma też przemawiać „rysunek na mapie”. Siarzewski nie wskazuje rysunkowych detali, które by o tym świadczyły, a wręcz zaprzecza temu, trafnie zauważając, iż „jezioro to (...) umiejscowiono pośród kilku niezidentyfikowanych szczytów”. Jedynie położenie sąsiedniego, bezimiennego jeziora przypomina mu Czarny Staw nad Morskim Okiem. Dla Szaflarskiego (1935, 1972) jest to „prawdopodobnie Pięć Stawów Polskich”.

Obok wymienionych jezior Czaki ulokował w północno-wschodnim zakątku zobrazowanego masywu Tatr jeszcze dwa stawy: *Schwarte S[ee]* – czyli Czarny, najprawdopodobniej Jaworowy, a nie Kieżmarski – jak chce Siarzewski (2013), oraz *Gefrone S[ee]*, a więc „Zmarzły”. Nie jest to jedno z jezior tej nazwy w Dolinie Białej Wody, jak domniema Siarzewski, lecz zapewne Żabi Staw Jaworowy. Pod tą nazwą wzmiankował go Wilhelm Richter (1843, 1844) w relacjach ze zdobycia Lodowego Szczytu (2628 m), co stwierdził Józef Nyka (2016). Szaflarski pisze „o wręcz fantastycznym rozmieszczeniu” stawów, które „jest w tej partii mapy zupełnie fałszywe”. Mimo to Siarzewski (2015) widzi w niej „najstarszy kartograficzny obraz Morskiego Oka i jego otoczenia”.

Midzio stwierdził, że z porównania widoku Tatr z okolic miasta Poprad (ryc. 3) z ich wizerunkiem na mapie Czakiego wynika, iż najprawdopodobniej przedstawił on masyw tatrzański w oparciu o jego rzeczywistą panoramę. Faktycznie południowo-zachodni wycinek obrazu Tatr na mapie wykazuje najwięcej zbieżności z ich widokiem w naturze.

Zgodnie z realiami topograficznymi, na północ od Stwoły (*Stollen*) wznosi się na mapie trójwierzchołkowy Gierlach (2655 m) z zagłębieniem Kotła Gierlachowskiego, który jest nazwotwórczą formacją dla całego masywu od południa. Jego nazwa *Kössel Berg* u Czakiego, czyli „Kotłowa Góra”, posiada ludowy słowacki odpowiednik *Na Kotlu* (ryc. 4). Midzio pojmuje ją zbyt wąsko, tylko w odniesieniu do niższego wierzchołka. Słowacki *Kotlový štít* to współcześnie Mały Gierlach (2601 m).





Ryc. 4. Gierlach (2655 m) opisany nazwami *Na-kotlu* i *Gerlsdorfer Kesselspitz* oraz Sławkowski Szczyt (2452 m) z Królewskim Nosem (*Königsnase*) na tle grupy Łomnicy (2632 m) na panoramie z okolic Ważca Carla Kořistki (1864).

Na zachód od Gierlacha ciągnie się długą, niemal poziomą granią silnie cieniowany masyw. Jego położenie i trapezoidalna bryła przypominają sąsiednią Kończystą (2535 m). Siarzewski (2013) zgadza się z Szaflarskim, że ten niezidentyfikowany przez nich szczyt opada „prostopadłą ścianą”. Ukośny szrafunek oddaje jednak pochyłość zboczy. Nazwa *M[ons] Kampel* odpowiada górnoniemieckiemu *Kampel*, *Kämpel* – pochodnemu od *Kamm* w znaczeniu ‘grzebień’ (do włosów), ale też przerośnięcie „*der Kamm eines Gebirges*”. Jest więc blisko-znaczna Polskiemu Grzebieniowi (2200 m).

Kopulasta góra po wschodniej stronie Gierlacha nosi miano *M[ons] Heischober*. Szaflarski poprawia je dowolnie na *Heilschober*, dopatrując się „charakterystycznego kształtu” Sławkowskiego Szczytu (2452 m). Znacomity tatroznawca Józef Nyka skojarzył ten oronim ze spiskoniemieckim dialektyzmem odpowiadającym ogólnoniemieckiemu *Heuschober* ‘stóg siana’. Albowiem Georg Buchholtz starszy (1719) właśnie do „kóp siana” porównywał szczyty Tatr widziane rzekomo spod Łowicza. Nazwa ta byłaby więc analogiczna znaczeniowo do *Stohów* w Małej Fatrze i w Karpatach Wschodnich.

Masyw Sławkowskiego opada rozległymi zboczami ku Kotlinie Popradzkiej (ryc. 5). Na mapie jest wysmuklony i cofnięty za kulisowo zachodzące granie potężnych sąsiadów – Gierlacha i jeszcze odeń wyższego dwuwierzchołkowego szczytu. Nosi on nazwę *Königs Berg*, czyli „Królewska Góra”. Paul Kray (1715) sygnuje nią na mapie Spisza szczyt Kralowej Holi (1946 m) w Niżnich Tatrach. Midzio suponuje, iż została przeniesiona przez Czakiego. Wschodnie pasmo Niżnich Tatr opisał on nazwą *Hola Montes*. W grani Sławkowskiego sterczy zaś Królewski Nos (2272 m), czyli *Königs-Nase* u Georga Buchholtza starszego (1719, 1774), którą to nazwę Georg junior (1726) odnosi do Jastrzębiej Turni (2137 m) nad Zielonym Stawem Kieżmarskim. Zdaniem Nyki, *Königs Berg* to właśnie *Królewski Nos* „w brzmieniu ulepszonym do poważnej mapy”. Położenie i wybitność tak zwanego przez Czakiego masywu wskazują jednak na grupę Łomnicy (2632 m).



Ryc. 5. Panorama Tatr Wysokich z okolic Popradu na pocztówce (1908). Z lewej Kończysta (2535 m) i Gierlach (2655 m) z Kotłem Gierlachowskim. W centrum masyw Sławkowskiego Szczytu (2452 m). Z prawej grupa Łomnicy (2632 m).

W dolinie na północ od niej widnieje *Grine S[ee]*, czyli niewątpliwie Zielony Staw Kieżmarski, ale bez wypływającej z niego Białej Wody Kieżmarskiej. Pod nazwą *Bialka R[ivus]* rzeka ta bierze początek na mapie u podnóża całego tego masywu, co jest ewidentnym błędem kartografa. Nie jedynym zresztą, jak chodzi o układ sieci rzecznej na przedpolu Tatr i w ich wnętrzu. Znamienny jest zwłaszcza brak granicznej rzeki Białki i sytuacji terenowej w jej górnym biegu. Przeczy to mniemaniu Szaflarskiego, jakoby Czaki „usiłował oddać również znane mu zapewne stosunki w polskiej części Tatr”. Jego wiedza o północno-wschodniej stronie Tatr, i to z drugiej lub trzeciej ręki, sięgała najdalej po Dolinę Jaworową.

Na wschód od grupy Łomnicy wypływają z Tatr dwa potoki, w których widłach wznosi się dużo niższa góra *M[ons] Beller*, czyli sądząc z nazwy – jak uważa Szaflarski – jakiś bliżej nieokreślony wierz Tatr Bielskich, na południowo-wschodnim ich krańcu. Biegiem tych potoków zostały odcięte od nich kopki Steżek (1529 m), zwanych *Steschenberg*, i sąsiedniego wzgórza *Ochsenberg*, czyli „Wołowej Góry”, o wyraźnym związku semantycznym z Bujaczym Wierchem (1946 m). Od południa Steżki opływa na mapie potok *Rauschbach*. Nazwa ta w opisie granic z 1733 roku odpowiada Huczawie Bielskiej, podobnie jak u Christiana Genersicha (1807), co stwierdził Stanisław Eljasz-Radzikowski (1894).

Wschodni z owych potoków wypływa z ciemnego otworu ogromnej jaskini w kilkuwierzchołkowym masywie opatrzonym nazwą w wersji łacińskiej i niemieckiej: *M[ons] Porta Ferra Eisenthor*, czyli „Góra Żelazne Wrota”. To dawne określenie Skalnych Wrót (1619 m) w grani Bujaczego Wierchu. Ale wypływ jaskiniowy jest tam zgoła fantastycznym zjawiskiem, a masyw ten został kolosalnie wyolbrzymiony.

Zza jego grani wylania się rąbek tafli Białego Stawu Kieżmarskiego (*Weisse S[ee]*) u podnóża największego szczytu na północno-wschodnim krańcu Tatr, zwanego *M[ons] Schalwand*, „z potężną istotnie ścianą” – stwierdza Szaflarski. Poprawia przy tym nazwę na *Schwalwand*, jako przekręcone *Schwalbenberg* – dawne miano Jagnięcego Szczytu (2229 m). Jednak nie ma on przecież tak wydatnej formacji nazwotwórczej, a *Schallwand* to – wedle Samuela Webera (1889) – nazwa Głośniejskiej Skały. Szczyt na mapie Czakiego nie odpowiada jej położeniem i rangą. Kartograf utożsamiał więc oba te obiekty, o blisko brzmiących nazwach spiskoniemieckich.

Na wschód od Białego Stawu usadowił Czaki dwa wzgórza: *M[ons] Kacwinkel* to przeniesiona w Tatry niemiecka nazwa wsi Kacwin na Zamagurzu Spiskim. Zagadkowy „Kociokąt” może pochodzi od skałki Kotka w Palenicy Lendackiej? Natomiast *M[ons] Tokarnia* jest łatwo rozpoznawalnym reglem nad Zdziarem,

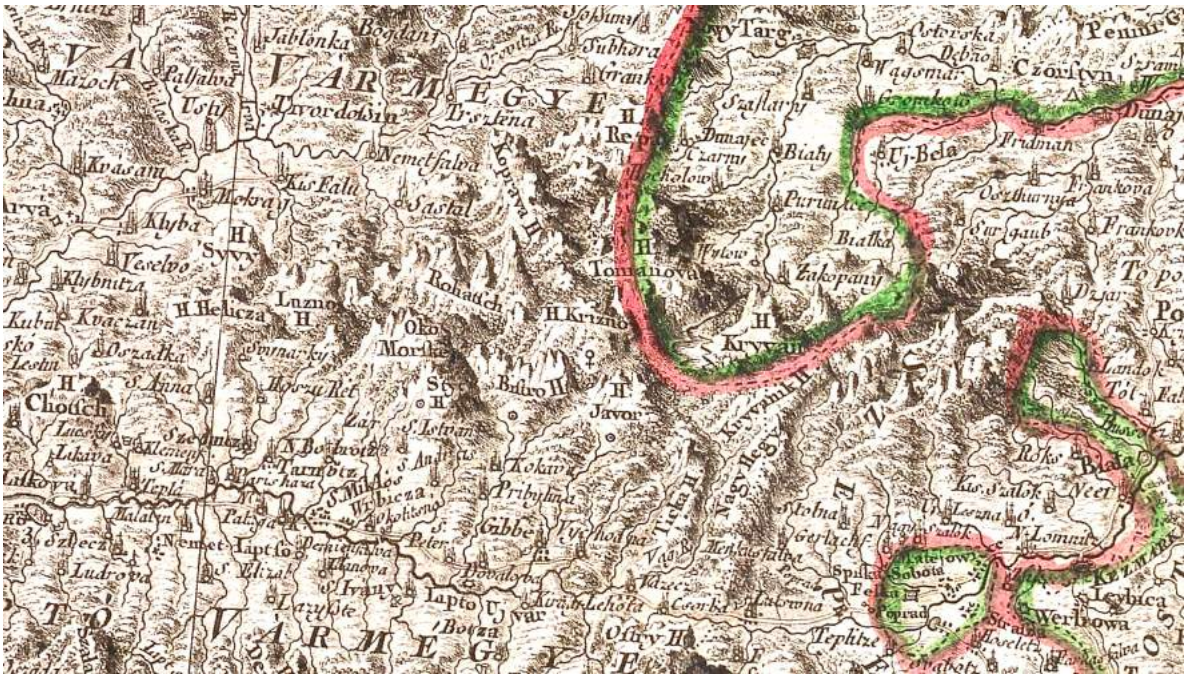
## Obraz Tatr na mapach Czakiego i Rizzi-Zannoniego

co zauważył Midzio. Wypływa spod niej potok zwany *Simlergrund* (zepsuta spiskoniemiecka nazwa *Sibriner Grund* Doliny za Tokarnią), równoległe do cieku *Rothgrund*. Odpowiadają mu: *Rothbach* u Georga Buchholtza seniora (1719) i *Rothbaumen Grund* u juniora (1783), odnoszące się do Doliny Suchego Potoku pod Skalnymi Wrotami, z reliktowymi borami sosnowo-modrzewiowymi, od których dolina ta wzięła nazwę (spiskoniemiecki *Rothbaum* ‘modrzew’).

Skąd tak duże zagęszczenie 10 nazw, i to nawet niewielkich obiektów geograficznych w południowo-północno-wschodniej partii Tatr Bielskich, zobrazowanej jednak nader nieudolnie, w sposób wysoce zafalszowany? Czaki nie znał z autopsji tych terenów, choć należały do Białej Spiskiej, stanowiąc jedną z enklaw starostwa spiskiego. Zapewne jego urzędnicy nie szczędzili mu pomocy, udostępniając np. opisy granic. Jednak nie przeprowadził wywiadów w terenie. Wśród jego informatorów nie było żadnego znawcy topografii tej części Tatr, jak Buchholtzowie czy Berzeviczy, bo na pewno ustrzegłby się tak rażących błędów.

Spośród 21 nazw terenowych i wodnych z Tatr i ich podnóży jedynie 3 nie są niemieckie: polskie *Tokarnia* i *Białka* oraz łacińska *Porta Ferrata*. Szaflarski (1972) postuluje „zbadanie z jakich źródeł korzystał Czaki dla ustalenia nazewnictwa tatrzańskiego tej mapy”, bo różni się ono niejednokrotnie od znanego z prac badaczy spiskoniemieckich. Zatem nie czerpał z nich danych nazewnictwowych. Można jedynie domniemać, że pozyskał je od niemieckojęzycznych mieszkańców miast zastawu spiskiego i sąsiednich miejscowości u podnóży Tatr, jak też od urzędników starościńskich, w tym z dokumentów z ich kancelarii i archiwów.

Swą mapę Czaki zadedykował wszak staroście spiskiemu Henrykowi von Brühlowi. U jego brata, koniuszego królewskiego, Jana Maurycego Brühla – wedle supozycji Karola Buczka (1963) – prawdopodobnie pozostawał na służbie jako kartograf do roku 1755, wykonując zdjęcia terenowe do wielkiej mapy Polski. W latach 1760–1764 kontynuował prace topograficzne nad taką właśnie mapą u wojewody nowogrodzkiego księcia Józefa Aleksandra Jabłonowskiego. W ramach tych prac sporządził mapy województw koronnych, a także starostwa spiskiego, którą – jako jedyną – opublikował pod swym nazwiskiem. W 1765 roku przeszedł na służbę do króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, zabierając ze sobą 201 map – zapewne w znacznej mierze swój autorski dorobek. Książę-mecenas zdołał je odzyskać i przekazał do opracowania włoskiemu



Ryc. 6. Tatry na mapie Polski J. A. Jabłonowskiego i G. A. Rizzi-Zannoniego (1772).

kartografowi. Na ich podstawie Giovanni Antonio Rizzi-Zannoni wykonał w skali około 1: 692 000 i wydał w 1772 roku, firmując własnym tylko nazwiskiem, 24-arkuszową mapę całej Rzeplitej pt. *Carte de la Pologne divisée par provinces et palatinats et subdivisée par district construite d'après d'arpentages [etc.]*. Kapitan Czaki był więc jej faktycznym współtwórcą. Złożyły się na nią w pomniejszonej skali jego rękopiśmienne mapy województw, za wyjątkiem wcześniej wydanej karty Spisza.

Notabene, nie jest znana jej rękopiśmienna wersja, jak to błędnie sugeruje Siarzewski (2013). Słowacki historyk kartografii Lubomír Viliam Prikryl (1977, 1982) omyłkowo zilustrował opis mapy Czakiego nowszą mapą całego Spisza, wykonaną inną metodą po roku 1772 (figuruje na niej napis *Regnum Gallicia*, co dowodnie świadczy, że powstała po pierwszym rozbiórze Polski).

Na 17. arkuszu mapy Jabłonowskiego i Rizzi-Zannoniego, zatytułowanym: *KARTA GRANIC POLSKI, WĘGIER, Y NIEMIEC, ZAWERAJĄCA WOIEWODZTWO KRAKOWSKIE, STAROSTWO SPIZKIE [etc.]*, przedstawiony został cały łańcuch Tatr (ryc. 6). Jego wschodnią część, po źródłowy bieg Popradu, czyli Tatry Bielskie oraz partię Tatr Wysokich z najwyższymi szczytami zredukowano do zaledwie kilku mniej wybitnych, wysmuklonych, spiczastych kopczyków, z czterema jeziorami, bez ani jednej nazwy geograficznej. Kopczykowanie w tej części Tatr jest niemal identyczne, jak na przeróbce mapy Spisza Paula Kraya (1715) z dzieła *Hungariae antiquae et novae prodromus* Matthiasa Bela (1723). Jest to uderzająco ubogi obraz w stosunku do tatrzańskiego wycinka mapy Czakiego, której Jabłonowski i Rizzi-Zannoni nie mogli przecież nie znać. Nie użyli jej jako podkładu kartograficznego, ani nie wciągnęli żadnego elementu jej treści. W odróżnieniu od reszty jego map, do których rościł sobie prawa książę-mecenas, ukazała się bowiem pod nazwiskiem Czakiego.

W efekcie Rizzi-Zannoni zobrazował szczegółowo tylko Tatry Liptowskie, w dodatku z rażąco błędnym umiejscowieniem najwyższego ich szczytu – Krywania (2494 m). Jego masyw, wyobrażony w postaci wybitnego dwuwierchołkowego kopca, włoski kartograf lekką ręką przeniósł był bowiem ku północy, w obręb granic Polski, nad wieś zwaną *Zakopany* (sic!), na wschód od fikcyjnego wielkiego jeziora, z którego wypływa źródłowy ciek Białego Dunajca.



Fot. 7. Cichy Wierch (1979 m) i Krzyżne (2039 m) w Kopach Liptowskich nad Doliną Koprową z górującym nad nią Krywaniem (2494 m). Fot. Tomasz Borucki



Fot. 8. Tomanowa Polska (1777 m) i Liptowska (1840 m) z Jaworową Doliną. Fot. Tomasz Borucki

Ten wielce charakterystyczny lapsus kartograficzny został powielony w opisie podróży Stanisława Staszica w jego *Dzienniku*, wydanym i opracowanym przez Czesława Leśniewskiego (1931). Stanowi koronny dowód na fałszerstwo części składających się nań zeszytów „tatrzańskich” (o czym pisałem szerzej w Materiałach z sympozjum pt. *Miejsce i znaczenie gór w twórczości Stanisława Staszica*, odbytym w Krakowie w 2005 roku).

Znamienne, iż kładąc na polskim terytorium nazwę *Kryvan*, Rizzi-Zannoni postawił przy niej skrót *H.* węgierskiego terminu topograficznego *Hegy* ‘góra’. Rozwinął go tylko w jednej nazwie tatrzańskiej – jedynej w języku węgierskim: *Nagy Hegy*, czyli „Wielka Góra”, rozciągniętej na grzbiecie granicznym między Spiszem a Liptowem. Byłaby to więc Grań Baszt. Inicjał *H.* figuruje przy 13 (spośród ogółem 16) nazwach tatrzańskich na mapie Jabłonowskiego i Rizzi-Zannoniego, w tym także dwóch szczytów na granicy polsko-węgierskiej. Twórca tego wycinka mapy czerpał więc dane topograficzne tylko ze strony węgierskiej.

Nietrudno zidentyfikować ich źródło piśmiennicze. Taki zestaw nazw geograficznych zawiera bowiem opis Tatr Liptowskich w II tomie dzieła *Notitia Hungariae novae historico geographica*, węgiersko-słowackiego polihistora Matthiasa Bela (1736). Wymienia on poszczególne szczyty i masywy tatrzańskie w porządku z zachodu ku wschodowi, opatrując krótkimi komentarzami. Porównajmy je z nazwami figurującymi na mapie, posiłkując się przekładem tekstu źródłowego i identyfikacjami opisanych w nim obiektów autorstwa Szaflarskiego (1972).

U zbiegu granic Polski oraz węgierskich komitatów Spisza i Liptowa, nad źródłiskami Wagu, między Krywanem a granią *Nagy Hegy* umiejscowiono *Kryvanik H[egy]*. Bela (1736) wzmiankuje „Krywan Minor (Mały), który zdrobniale nazywają Krywanik”, co Szaflarski trafnie odnosi do Krótkiej (2375 m) w grupie Krywania.

Na zachód od górnego biegu Wagu ciągnie się grzbiet *Ticka H[egy]*, czyli zepsuta literówka *Ticha* z dzieła Bela, utożsamiana przez Szaflarskiego nazbyt wąsko z Cichym Wierchem (1979 m) w Kopach Liptowskich (fot. 7). Na mapie wysunięto ją za daleko na południe. Z kolei trójwierzchołkowa *Jawor H[egy]* odpowiada górze *Jaworowe (Mons ulmorum)* u Bela, którą Szaflarski kojarzy z Jaworowymi Skalkami (1657 m) nad Jaworowym Żlebem w Czerwonych Wierchach, a przede wszystkim z Jaworową Doliną pod Tomanową Liptowską (1840 m) w Cichej Dolinie (fot. 8).



Dalej ku zachodowi, nad Kokawą i Pribyliną ciągnie się poszarpaną granią *Bistro H[egy]*, a na północ od niej, przy granicy z Polską wznosi się *H[egy] Krizno*. Obie nazwy są identyczne jak u Bela. Szaflarski objaśnia je jako – odpowiednio: najwyższy szczyt Tatr Zachodnich Bystra (2248 m) oraz Krzyżne (2039 m) w Kopach Liptowskich (fot. 7). Ich usytuowanie na mapie jest więc częściowo błędne.

O pierwszym z tych szczytów Bel pisze, że „obfituje w rudy miedzi z żyłami złota” (co zostało zaznaczone odpowiednimi sygnaturami na mapie), a ponadto „oddzielony jest od góry Repa rozgałęziającą się doliną”, która to góra „słynie z drogi do Polski”. Nie zostało to oddane na mapie. *Repa H[egy]* jest na niej wysunięta najdalej ku północy, aż nad wieś Czarny Dunajec, gdzie zaznaczono fikcyjny początek rzeki tej nazwy. Z opisu Bela Szaflarski wywnioskował, że to „najprawdopodobniej grupa Starorobociańskiego Wierchu (2176 m)”, choć Ropa (1416 m) jest zachodnim ramieniem Trzydniwiańskiego Wierchu (1765 m). Na mapie uwzględniono jedynie wzmiankowane przez Bela graniczne położenie góry *Repa* i umiejscowionej mylnie na południe od niej, nad Witowem, góry *Tomanova H[egy]*, czyli Tomanowej Polskiej (1977 m).

Zupełnie błędnie, bo na północny zachód od wymienionych gór, całkowicie po stronie orawskiej ciągnie się grań ku Trstenie, zwana *Koprava H[egy]*. Bel wzmiankuje o niej: „*Koprava Welka* nadzwyczajnej wysokości, którą (...) skały czynią straszną”. Wedle Szaflarskiego, to „niewątpliwie” najwyższy szczyt Kop Liptowskich – Wielka Kopa Koprova (2052 m). Identyfikacja mylna. Z całą pewnością chodzi bowiem o zerwy północno-zachodniej flanki Krywania (2494 m) nad dolnym odcinkiem Doliny Koprowej (fot. 7), o największej deniwelacji w Tatrach.

W zachodniej partii masywu Tatr dominuje szereg strzelistych szczytów opatrzonych nazwą *Rohatsch* – w takiej samej transkrypcji, jak u Bela. Tak tłumaczy on jej etymologię: „jakby rogaty. Góra Jamnicka wyróżniająca się trzema szczytami, jakby tylomaż rogami”. Są to rzecz jasna Rohacze – Ostry (2084 m) i Płaczliwy (2126 m), wraz z Trzema Kopami (fot. 9), które noszą do dziś ludową słowacką nazwę *Tri Roháče, Smrecké Roháče* – jak podaje Jozef Čajka (1997). Szaflarski wziął je za grupę Wołowca (2064 m) – aż po Jarząbczy Wierch (2137 m).

Na południe od Rohaczy wznosi się potężny masyw Barańca (2184 m) nad wsią Żar. Na mapie figuruje na nim hydronim *Oko Morske*. Tak oto nazwa ta pojawiła się po raz pierwszy w kartografii tatrzańskiej. Siarzewski (2015) dopatrył się na mapie Rizzi-Zannoniego obrazu Morskiego Oka w Tatrach Wysokich. Trzeba jednak wiedzieć, że w rozdziale o górze Stjt osobny akapit poświęcił Bel (1736) jeziorom: „Tutaj sąsiednie góry mają



Fot. 9. Rohacze – Ostry (2084 m) i Płaczliwy (2126 m) oraz Trzy Kopy, zwane przez Liptaków *Tri Roháče* bądź też *Smrecké Roháče*. Fot. Tomasz Borucki

## Obraz Tatr na mapach Czakiego i Rizzi-Zannoniego

stawy, które lud nazywa *Morske Oka*, to jest *Oculum maris*, ponieważ wierzy, że przez ukryte kanały łączą się z morzem”. Zdaniem Szaflarskiego (1972), „mowa zapewne o Rohackich Stawach na północnej stronie Tatr Zachodnich, z których największy nosi do dziś ludową nazwę *Orawskiego Morskiego Oka*”. Bel opisuje jednak południową stronę Tatr, chodzi więc o Jamnickie i Raczkowe Plesa (fot. 10). Taką ludową nazwę tych ostatnich poświadcza Ludwik Zejszner (1851, 1852), pisząc o „jeziorze czyli plessie (po słowacku) *Morskie Oka* zwanym”. Leży ono w dolinie pod Szczytem Starorobociańskim (2176 m), którego dawna nazwa *Szczyt* – jak podaje Nyka (1994) – była notowana od 1766 roku.

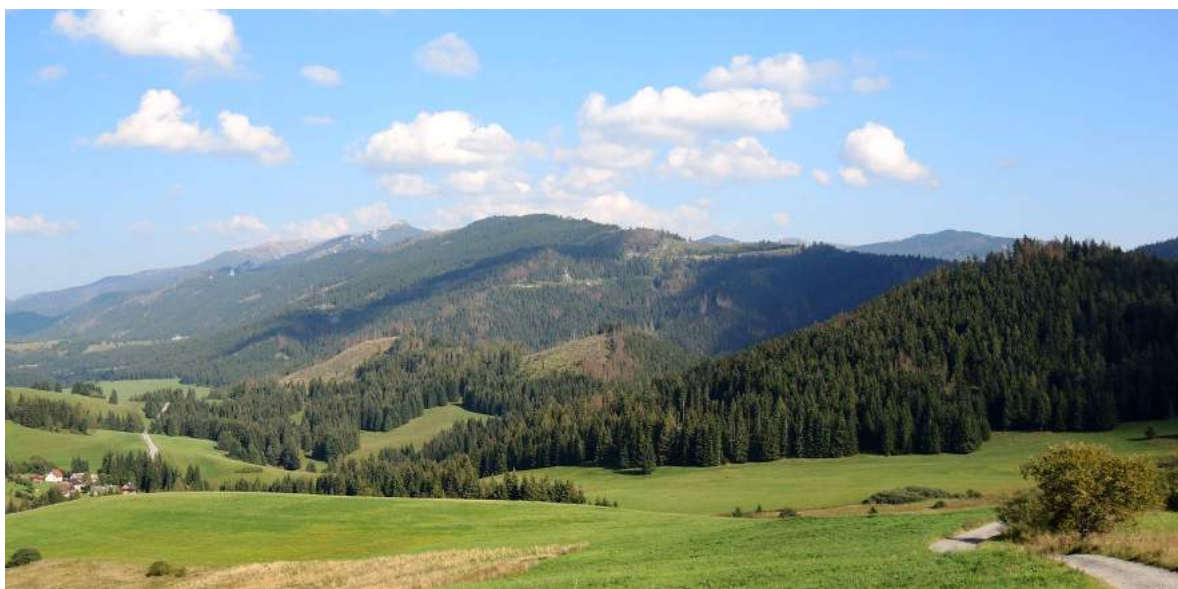
Pobliskie, znacznie niższe wzniesienie opisano na mapie nazwą *Styt H[egy]* i oznaczono sygnaturą złotego kruszcza. Pisze o nim Bel: „*Stjt* lub *Scutum*, nazwę otrzymał od kształtu, powyżej wioski *Žar* położony. Są i tutaj ślady wydobywania złota”. Szaflarski odnosi tę wzmiankę nazbyt szeroko do „obszernej masy” Smrekowca (1527 m), Kečki (1530 m) i Rázsochy (1947 m), albowiem także drugi passus u Bela dotyczy tej „góry Liptowskiej *Stjt*, którą Szmreczká nazywają”. Jego dalece przybliżoną identyfikację uściślił skrupulatny badacz i świetny znawca toponimii Tatr Liptowskich Jozef Čajka (1997): to wciąż żywa ludowa nazwa słowacka *Štýt, Štit, Do Štitu* lesistego zbocza nad potokiem Smrečianka, między dolinką Lučivník w masywie Rázsochy, u wylotu Doliny *Žarskiej*.

Dalej na zachodzie, wznosi się góra zwana na mapie tak, jak u Bela – *Luzno H[egy]*. Z jego opisu Szaflarski wykoncypował, że to Banówka (2178 m). Masyw Tatr Zachodnich kończą od zachodu, zgodnie z rzeczywistością, dwa szczyty: *Syvy H[egy]*, czyli Siwy Wierch (1805 m), wzmiankowany przez Bela jako „Szczyt Sywy albo *Mons Griseus*”, oraz położona na południe od niego, nad Kwaczanami, niższa *H[egy] Helicza*, czyli Holica (1340 m) (fot. 11).

Tatrzański wycinek 17. arkusza mapy Polski Jabłonowskiego i Rizzi-Zannoniego stanowi dopełnienie wizerunku wschodniej partii Tatr z mapy starostwa spiskiego Czakiego, którego prace złożyły się również na to największe dzieło kartografii przedrozbiorowej Rzeplitej. Zbierał on dane topograficzne w terenie, także w drodze wywiadu. Rizzi-Zannoni opracował mapę Polski, kompilując i generalizując materiały kartograficzne



Fot. 10. Raczkowe Plesa – słowackie „Morskie Oka” w Tatrach Liptowskich. Fot. Tomasz Borucki



Fot. 11. Siwy Wierch (1805 m) i Holica (1340 m) znad Wielkiego Borowego. Fot. Tomasz Borucki

innych autorów, w tym m.in. Czakiego. Nie wciągnął jednak treści jego mapy Spisza, lecz wykorzystał zapewne rękopiśmienną kartę województwa krakowskiego. Pomimo zmniejszenia skali zdołał „upakować” spory zasób informacji topograficznych z dzieła Bela (1736), odnoszących się do Tatr Liptowskich. Niestety, spowodowało to tak znaczne zdeformowanie obrazu południowej, jak też północnej strony Tatr, że ich wizerunek na *Carte de la Pologne...* nie przedstawia większej wartości poznawczej. Stał się nawet źródłem błędu topograficznego demaskującego fałszerstwo części *Dziennika* Staszica.

Oprócz górzystości i lesistości terenu, naniesiono na obu mapach hydrografię, sieć dróg, granice polityczne i administracyjne, osiedla kilku kategorii, jak również złoża rud żelaza i miedzi bądź innych kruszców, które oznaczono symbolami alchemicznymi odpowiednich metali.

Na mapie Spisza Czaki zastosował dwujęzyczną siatkę nazewniczą, podając nazwy miejscowe i terenowe w języku niemieckim, a po części też polskim, z łacińskimi określeniami (*Mons, Rivus*) bądź synonimami (*Porta Ferra*). Midzio dziwi się brakowi u niego węgierskiej nomenklatury geograficznej, zwłaszcza, że wywodził się z węgierskiego rodu Csákych. Została ona implementowana na mapie Polski Jabłonowskiego i Rizzi-Zannoniego zarówno w warstwie ojkonimów, jak również toponimów, którym w Tatrach Liptowskich przydano skrót *H. (Hegy)*.

Na koniec jeszcze *pro domo sua* nazewnicza ciekawostka spoza Tatr. Otóż na owej mapie widnieje wioska zwana *Ropka*. Nie jest to bynajmniej zdrobnienie od gorlickiej *Ropy*, lecz zapis gwarowej formy nazwy *Rabka* mej rodzinnej miejscowości. W dzieciństwie słyszałem taką właśnie jej wymowę u dziadka i dziś jeszcze słyszę u starszych górali zwroty: *do Ropki, w Ropce, przez Ropke, przed Ropkom* – jak słyszał przed niespełna 250 laty kartograf zbierający nazwy miejscowe, które znalazły się na *Carte de la Pologne...*

*Tomasz Borucki*

Autor składa serdeczne podziękowania Józefowi Nyce za szybką i niezawodną pomoc w rozszyfrowaniu nazwy *Heischober*, tudzież za zwrócenie uwagi na artykuł Jerzego Midzio (1975).

Źródła ilustracji archiwalnych: 1, 2, 5 – ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie; 3 i 4 – ze zbiorów Marka Maludy; 6 – ze zbiorów University College of London, School of Slavonic and East European Studies.

### 55 rocznica „Taterniczka”

(WEGA t. I, str. 467)

W kwietniu 1963 roku nazwę wydawanego od czasu do czasu biuletynu Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego zmieniono na „Taterniczek”. Od tego wydarzenia minie w tym roku 55 lat. Dla pewnego, nieco zaawansowanego już w latach, pokolenia był „Taterniczek” publikacją ważną, dla niektórych wręcz kultową. W sumie w okresie 1963 – 1991 ukazało się 39 numerów tego czasopisma, które w tymże 1991 roku zostało przekształcone w ukazujące się do dzisiaj „Góry”. Poprosiliśmy Krzysztofa Barana o przygotowanie dla biuletynu jakiegoś jubileuszowego artykułu, przypominającego i podsumowującego historię „Taterniczka”. Krzysztof, wprawdzie pełen dobrej wiary, ale zajęty sprawami bardziej doczesnymi, wciąż nie może znaleźć na to czasu, więc kompromisowo przypominamy historyczny artykuł, zamieszczony w 25 numerze tego periodyku, licząc na to, że jednak jego autor dopisze nam końcówkę tej historii, którą opublikujemy w jednym z następnych numerów biuletynu. Większość osób z nią związanych ma swoje hasła osobowe w WEGA.

### Taterniczka portret własny

„Dawno, dawno temu zaczął się ukazywać Taterniczek... Było to może przed dwudziestu, a może przed dwu-dziestu kilku laty – w każdym razie tak dawno, że nawet Redakcja nie pamięta”. Tymi słowami zaczynał się Wstępniaczek numeru 23 naszego pisemka, które po pięcioletniej przerwie znowu trafiło do rąk Czytelników w czerwcu 1980 r. Nie było w tych słowach wiele przesady – „Taterniczek” wszak rozpoczął swój żywot, kiedy gros obecnego zespołu redakcyjnego nie wiedziało jeszcze w ogóle, że istnieje coś takiego jak taternictwo. Nie mniej jednak w tak uroczystej chwili, jaką jest oddanie do druku 25 numeru, poczuliśmy się zobowiązani do poszperania w na-szych archiwach i przedstawienia jakiegoś solidniejszego – niż wcześniejszy cytat – przedstawienia historii pisma.

Oficjalnie żywot pisemka, które przybrało później nazwę „Taterniczek”, rozpoczął się 10 lutego 1959 roku – z tą datą ukazał się bowiem pierwszy numer organu Koła Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego, zatytułowany „Jednodniówka”. Pomysł jego wydawania rzucił kilka miesięcy wcześniej ówczesny prezes Koła Roman Łazarzski – „Generał”. „Jednodniówka” prezentowała się bardzo skromnie – 14 stron prymitywnie powielonego maszynopisu formatu A4 bez okładki. Treść numeru też nie przedstawiała się imponująco. Chociaż zajmowano się problemami dotyczącymi całego polskiego środowiska wspinaczkowego, to przeważały oczywiście sprawy z krakowskiego podwórka – sprawozdania z działalności członków Koła, bujdałki itp.

W kwietniu 1959 r. pojawiła się kolejna „Jednodniówka”, a zaraz po niej trzeci numer pisma, już jako „Biuletyn Koła Krakowskiego KW”. Pod tą nazwą pismo wychodziło do listopada 1961 roku, z tym że Nr 10 ze względu na wymagania cenzury zatytułowano „Kroniką”. W ciągu tego okresu wydano 12 numerów „Biuletynu” – 6 w 1959 r., 4 w 1960 i 2 w 1961. Do numeru ósmego profil „Biuletynu” był bardzo zbliżony do pierwszej „Jednodniówki”. Objętość, format, technika druku pozostawały właściwie bez żadnych zmian. Powoli natomiast ewoluowała strona merytoryczna pisma. Treść stawała się z czasem coraz różnorodniejsza. Do tradycyjnych sprawozdań i omówień dokonań wspinaczkowych przybywało coraz więcej bujdałek, artykułów dyskusyjnych czy wręcz ideologicznych. Pojawiało się też coraz więcej ironii i humoru, które będą towarzyszyły pismu po dzień dzisiejszy.

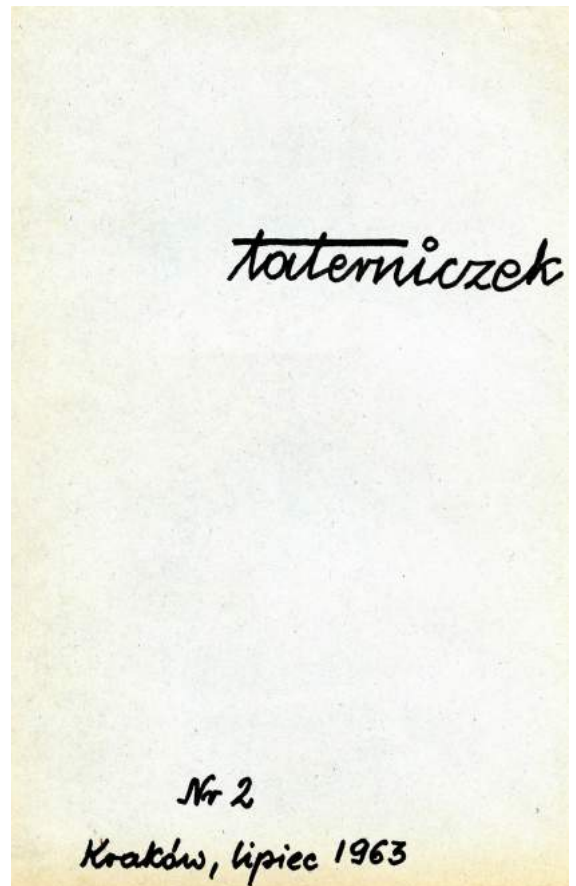
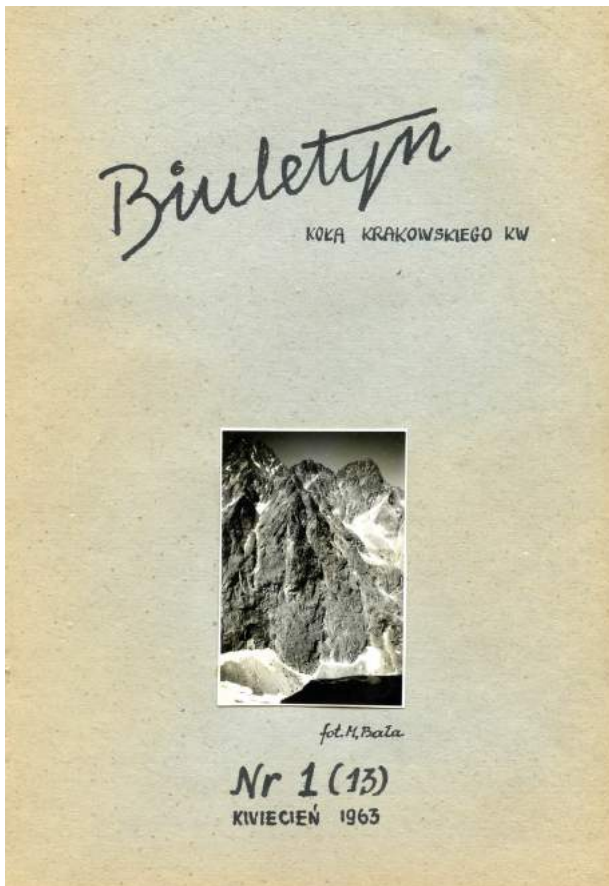


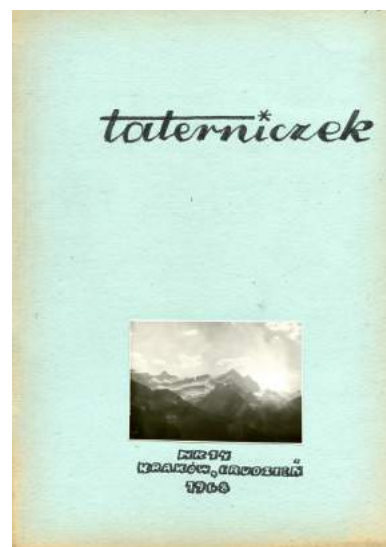
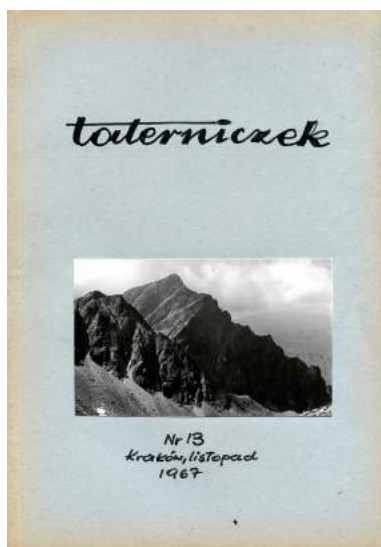
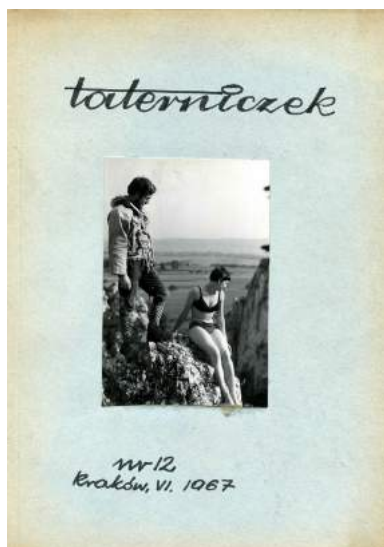
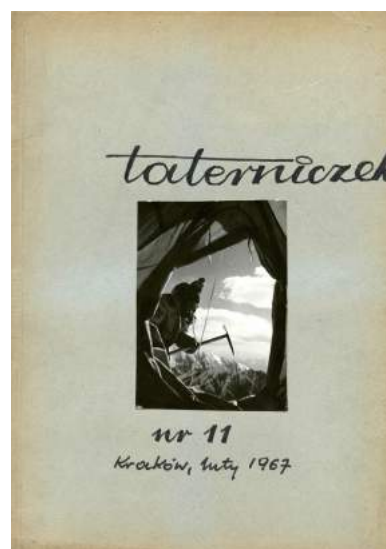
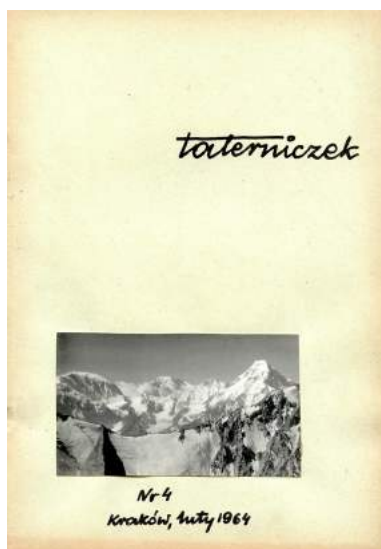
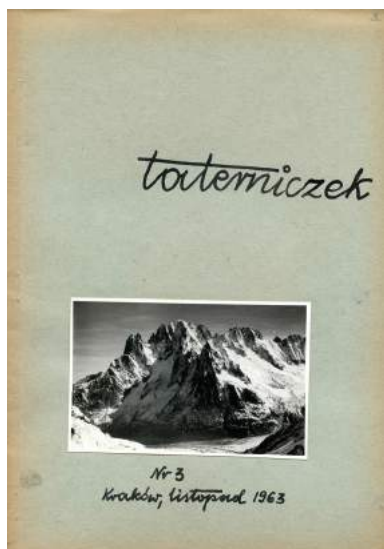
Zmiany te spowodowały niewątpliwy wzrost wartości „Biuletynu”, którego nr 8 nosi już dosyć widoczne znamiona taternickiego pisma, o wyraźnie ukształtowanym profilu, kontynuowanym później przez „Taterniczka”. Redakcja nigdy nie ujawniła swoich nazwisk, tym bardziej więc trzeba przypomnieć je teraz. Niewątpliwie główną siłą sprawczą pisma, niejako redaktorem naczelnym był Marek Jarecki. Oprócz niego zespół tworzyli jego żona Jolanta /obecnie mieszkają w Kanadzie i aktywnie wspinają się w tamtejszych górach/, Ewa i Roman Śledziewscy oraz Jerzy Potocki. Natomiast wśród nazwisk autorów piszących w „Biuletynie” są Jarecki, Roman Łazarski, Śledziewski, Stanisław Urbański, Stanisław Biel, Jan Długosz czy Waclaw Nowyk.

W listopadzie 1961 r. wydawanie „Biuletynu” zostaje zawieszono. Jego kolejny, już 13 numer ukazuje się dopiero po półtorarocznej przerwie w maju 1963 roku, Charakterem swym nie różni się zbyt wiele od numerów poprzednich, których jest niewątpliwą kontynuacją. Szata zewnętrzna jest jednak trochę bogatsza – numer posiada okładkę z wylepioną na 1 stronie fotografią autorstwa Mariana Bały (jego zdjęcia będą potem zdobić tytułowe strony niemal wszystkich „Taterniczków”).

Numer przygotował trzyosobowy zespół : Ewa Śledziewska, Jerzy Potocki i Stanisław Urbański. Motywując przyczyny wznowienia wydawania pisma redakcja wskazywała na fatalny tryb ukazywania się „Taternika”, który w tym czasie wychodził bardzo nieregularnie i z reguły z bardzo dużym opóźnieniem, co powodowało niedoinformowanie środowiska. Dlatego też redakcja pragnęła, aby krakowskie piśmko informowało na bieżąco o wszystkim, co się działo i robiło w taternickim światku. Jednocześnie w 13 numerze „Biuletynu” ogłoszony został konkurs na nazwę pisma, o czym wcześniej pisze Ewa Śledziewska, a kolejny numer pojawił się już pod nową nazwą, jako „Taterniczek” 2.

Można śmiało przyznać, że w dużym stopniu udało się redakcji wypełnić stawiane przed sobą zadania, a lata 1963–1966 to niewątpliwie „złoty okres” pisma. „Taterniczek” poważnie uzupełniał przeżywającego

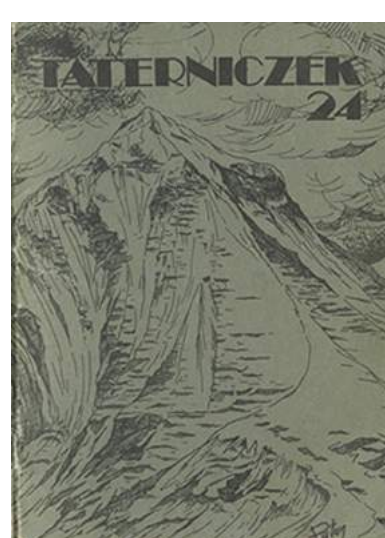
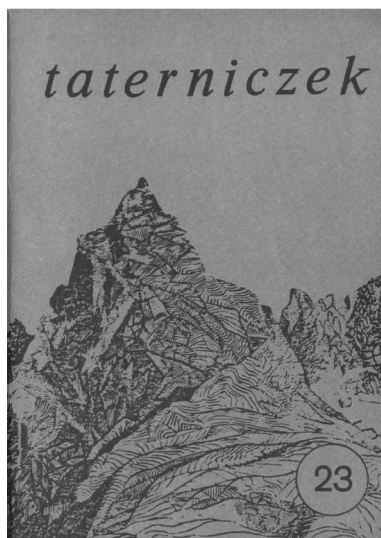
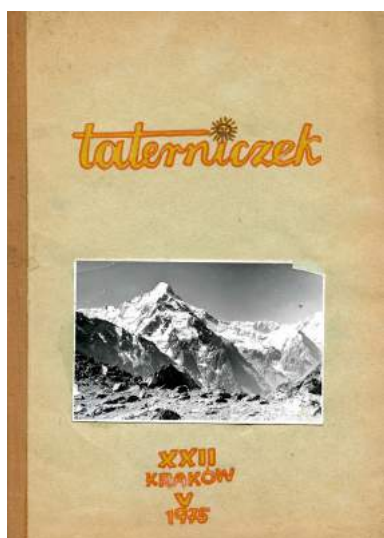
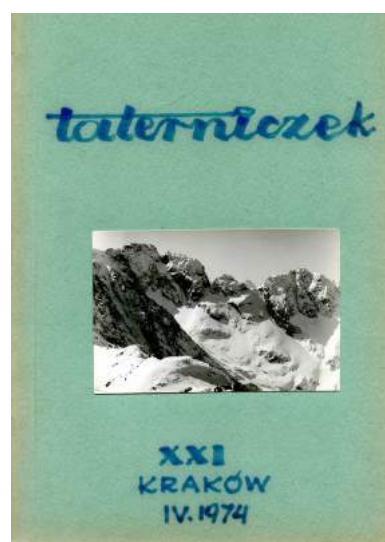
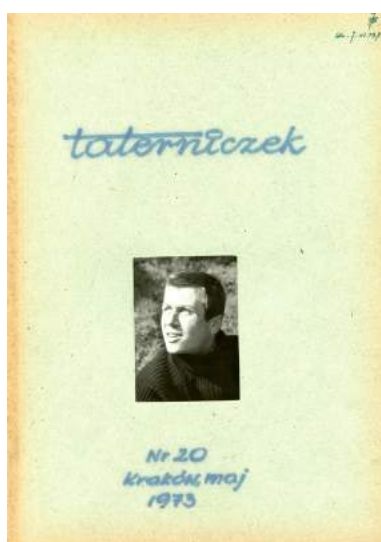
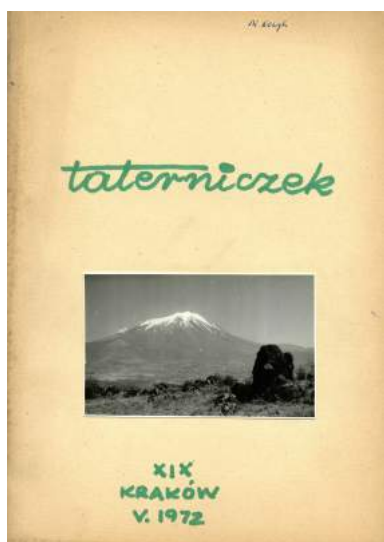




wtedy chude lata swego starszego brata. Z tego też względu w treści przeważała głównie sprawozdawczość, obejmująca z reguły wszystkie najważniejsze wydarzenia w polskim alpinizmie. Stale pojawiały się takie rubryki, jak Kronika Towarzyska, Książki, Kronika, Rozmowy Taterniczka, O Tych Którzy Odeszli czy wreszcie Nowe Drogi, do których załączano duże ozalidowe wkładki ze schematami nowych dróg na najciekawszych ścianach tatrzańskich. W tym czasie ukazało się 10 numerów, w 1963 trzy, w 1964 cztery, w 1965 jeden podwójny, a w 1966 jeden.

Szata graficzna znacznie się poprawiła. Numer był zawsze starannie oprawiony, na okładce zdjęcie, druk znacznie lepszy niż w ostatnich latach, chociaż dalej na nie-najlepszym poziomie. Format A4 nie uległ zmianie, ale objętość wzrosła do ok. 25, a czasem i więcej. „Taterniczek” jednak nigdy nie pretendował do roli super poważnego pisma, a sama redakcja we wstępniku do Jubileuszowego 10 numeru stwierdziła, że robienie pisma jest dla niej zabawą zastępującą „...bale maskowe albo zgoła robienie babek w piasku...”. Nie jest natomiast „...misją dziejową czy państwowotwórczym działaniem...”.

Naczelnym był teraz Jerzy Potocki, a do zespołu redakcyjnego dołączyli z czasem Paulina Banachiewicz, Alicja Bednarz i Marian Bała. W tym okresie do „Taterniczka” pisywali najczęściej Potocki, Urbański,



Śledziwska, Lucjan Saduś, Andrzej Heinrich, Ryszard Rodziński, Eugeniusz Chrobak, Maciej Kozłowski, Andrzej Mróz, Henri Agresti, Wojciech Stonawski. Spotyka się też nazwiska Michała Jagiełły, Andrzeja Paczkowskiego, Józefa Nyki czy nawet obecnego prezesa Związku Literatów Polskich Jana Józefa Szczepańskiego, Pismo było wręcz rozchwytywane, czego chyba dużą zasługą był fakt, że jego nakład nigdy nie przekraczał 100 egzemplarzy. Miało czytelników także i poza granicami naszego kraju, a w czerwcu 1964 otrzymało nawet kartkę z pozdrowieniami od samego Waltera Bonattiego!

Wspominany wcześniej jubileuszowy 10 numer z czerwca 1966 r. był zarazem ostatnim redagowanym przez J. Potockiego. Następny ukazał się w rok później, w czerwcu 1967 i był już niestety poświęcony pamięci Jurka oraz przebiegowi i wynikom IV Polskiej Wyprawy w Hindukusz, podczas której na stokach Noszaka zginął właśnie Potocki. Tragiczna śmierć redaktora naczelnego oraz fakt, iż od 1966 roku „Taternik” znowu zaczął wychodzić regularnie sprawiły, że zmieniły się nieco profil i zadania pisma. Najlepiej zilustrują je fragmenty artykułu pt. Honor i tradycja, który znalazł się na wstępie 12 numeru. Pisze się tam m.in., że „...Taternik stał się pismem aktualnym i wydawanie naszego małego pisemka może się wobec tego mijać z celem... Aby zachować sens naszego istnienia będziemy musieli dbać o specyfikę artykułów i koloryt lokalny, utrzymując

konsekwentnie styl pół żartem – pół serio. Wiele spraw, dosyć istotnych dla środowiska taternickiego, o których się plotkuje, nie da się po prostu zmieścić w oficjalnym organie, jakim jest Taternik. A Taterniczek może sobie pisać swoje kroniki towarzyskie...”

Numer ten ukazał się w czerwcu 1967 r. i od tego momentu, aż do 1975 roku, tj. do ukazania się numeru 22, pismo prowadzi Ewa Śledziewska. Z czasem skład redakcji nieco powiększył się, najpierw o Teresę Gablankowską i Andrzeja Skrzyńskiego, a potem Witolda Sasa-Nowosielskiego. Profil pisma był jak najbardziej zgodny z tym, co przedstawiała redakcja w 12 numerze. W miarę upływu czasu i pojawiania się coraz to nowych pokoleń taternickich zmieniał się także krąg autorów, z reguły ze środowiska krakowskiego. Byli wśród nich m.in. Andrzej Pawlik, Janusz Mączka, Henryk Bednarek, W. Sas-Nowosielski, Andrzej Tarnawski, Leszek Zabdyr czy Ryszard Kozioł. Strona graficzna i nakład pozostawały bez zmian, Jedyną innowacją były rysunki Wicia Nowosielskiego, wlepiane na 3 stronę okładki niektórych numerów,

W roku 1967 ukazały się 2 numery, tak samo w 1968 i 1969. Natomiast w następnych latach pojawia się tylko 1 numer rocznie. Niestety z czasem członkowie redakcji, jak i autorzy, udzielali się na rzecz pisma coraz rzadziej, a nowych kadr jakoś nie było widać. Naczelna, już wtedy pani docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, miała coraz mniej czasu na to, by samej robić pismo, a zresztą siłą rzeczy jej kontakt ze środowiskiem był nie tak intensywny jak dawniej. Po wydaniu numeru 22 ciągle zabierała się do numeru następnego, ale zawsze na przeszkodzie stawały jakieś sprawy, które w danym momencie okazywały się ważniejsze od „Taterniczka”. I tak przez 5 lat.

Sprawy ruszyły z miejsca dopiero z początkiem 1980 r., kiedy to prezes KW-Kraków Leszek Dumnicki zaproponował niżej podpisanemu wydawanie klubowego biuletynu. Ponieważ „Taterniczek”, jako „Aperiodyk, który ukazuje się kiedy chce” mógł się pojawić po najdłuższej nawet przerwie, postanowiliśmy wspólnie, z Ewą i Wieśkiem Burzyńskim wznowić jego wydawanie. I tak w czerwcu 1980 r. kolejny, już 23 numer „Taterniczka” ujrzał światło dzienne, w lutym 1981 nr 24, a teraz numer 25. Zapoczątkowany został zatem czwarty okres w historii pisma. Jak długo będzie trwał i jaka będzie jego ocena – pokaże dopiero przyszłość. My ze swej strony możemy jedynie zapewnić naszych Czytelników, że bardzo chcielibyśmy, aby na numer 50 nie musieli czekać tyle lat, ile na numer 25.

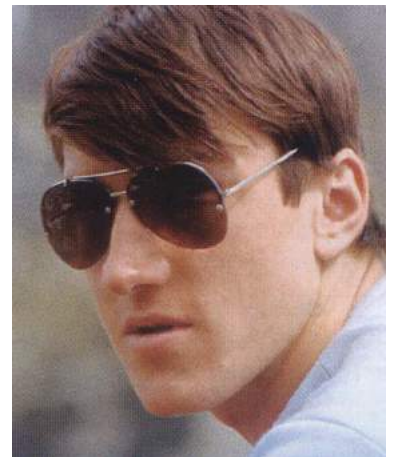
*Krzysztof Baran*

## WEGA-SUPLEMENT

**Ang Tharkay** (t. VI, str. 28), uzupełnienie

Pracował dla wyprawy na Kamet w 1955 roku, podczas której wszedł na wierzchołek tego szczytu. Po wycofaniu się z działalności wysokogórskiej prowadził farmę w Nepalu, potem otworzył agencję trekkingową. W 1962 znów wyruszył w góry jako sirdar indyjskiej ekspedycji na Mount Everest, podczas której wszedł na Przełęcz Południową. Był pierwszym tragarzem wysokogórskim, który napisał książkę – *Mémoires d'un Sherpa*. Przetłumaczona na język angielski, ukazała się w 2016 pod tytułem *Sherpa: The Memoir of Ang Tharkay*. MKi

**Bryła, Wojciech** (30.02.1964 Kraków – ), polski wspinacz skałkowy i taternik. Zaczął się wspinąć w 1979 roku. W Tatrach m.in. poprowadził trudną nową drogę na Raptawickiej Turni (*Szalone Pomyśły*) oraz uczestniczył w 1. przejściu „klasycznym”, czyli bez pomocy hakówki, *Rysy Drzewusa* na Raptawickiej Grani. W 1984 roku dokonał 1. przejścia „klasycznego” *Drogi Pajaków* na Kazalnicy Mięgoszowieckiej. Na tej ścianie przeszedł też m.in. bez pomocy haków *Symfonię Klasyczną*. W latach 1982–1987 do niego należał rekord szybkości (2 godz.)



Wojciech Bryła

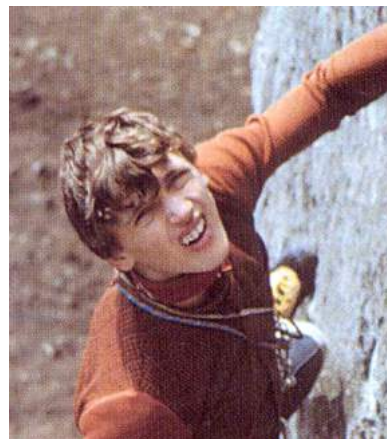


przejścia *Filara Kazalnicy*. Wspinał się w Dolomitach, gdzie uczestniczył w 2. przejściu „klasycznym” drogi *Via della Liberta* na pd. ścianie Marmolady. Startował w zawodach wspinaczkowych, zajmując kilka razy miejsce drugie lub trzecie. JKi

Lit.: M. Kopacki, *Miejsce pokolenia wspinaczkowego „Nowa Fala”...*, Kraków 1998, s.30.

**Golkowski, Mariusz** (27.04.1963 Kraków – ) polski wspinacz skałkowy i taternik, geograf, absolwent Wydziału Geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prowadzi szkołę wspinaczkową. Zaczął się wspinąć w 1980 roku. W skałach Jury dokonał m.in. 1.przejścia z górną asekuracją *Superdirtissimi* Sokolicy, a na Zakrzówku 1.przejść z dolną asekuracją *Prawych Nitów* (RP) i *Zacięcia Freney* (AF). Dokonał także szeregu innych 1.przejść trudnych dróg, przeważnie z górną asekuracją, jak *Środek Lipczyńskiej* w Dol. Będkowskiej czy *Mandala Życia* na Wielkiej Cimie w Podzamczu. W Tatrach ma na koncie m.in. 1.przejścia bez techniki hakowej *Drogi Łapińskiego* na Mnichu, oraz w ten sam sposób przeszedł drogi *Ufo* na Kazalnicy Mięguszowieckiej i *Drogę Wachowicza* na Mnichu. Wspinał się też w Dolomitach, gdzie m.in. przeszedł bez techniki hakowej *Drogę Philippa* i *Flamma* na Civetcie. JKi

Lit.: M. Kopacki, *Miejsce pokolenia wspinaczkowego „Nowa Fala”...*, Kraków 1998, s. 33.



Mariusz Golkowski

**Gromek, Piotr** (WEGA t. VI, s. 298), uzupełnienia: ur. 18.09.1963 w Krakowie. Wspinał się też w Alpach, gdzie przeszedł drogę *Directe Americaine* oraz *Filar Bonattiego* na Petit Dru. JKi

Lit.: M. Kopacki, *Miejsce pokolenia wspinaczkowego „Nowa Fala”...*, Kraków 1998, s. 38

**Gronkiewicz-Marcisz, Iwona** (WEGA t. VI, s. 298), uzupełnienie: ur. 28.05.1961 w Krakowie.

Lit.: M. Kopacki, *Miejsce pokolenia wspinaczkowego „Nowa Fala”...*, Kraków 1998, s. 42.

**Hangshu Peak** (WEGA t. II, s. 275), sprostowanie i uzupełnienie: wysokość szczytu 6515 m. 1.wejście: 1989 Paweł Józefowicz, Darek Załuski. JKi

Lit.: P. Józefowicz, *Hagshu 6515 m*, „BUKA” 2004 (nr 6).

**Józefowicz, Paweł** (17.11.1964 Warszawa – 1.04.2018 Warszawa), polski taternik i himalaista, absolwent wydziału filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, menadżer z zawodu. Latem i zimą wspinał się w Tatrach. W Alpach przeszedł m.in. *Deskę Szwajcarską* na Les Courtes w Masywie Mont Blanc, a w Norwegii wszedł południowym filarem na Mongenjurerę. W 1989 roku uczestniczył w pierwszym wejściu na Hangshu Peak w Himalajach Kishtwaru. JKi

Lit.: P. Józefowicz, *Hagshu 6515 m*, „BUKA” 2004 (nr 6).



Hangshu Peak

**Klimeczyk, Tomasz** (06.02.1960 Kraków – ), polski taternik i alpinista, z zawodu grafik komputerowy. Zaczął się wspinąć w 1978 roku. W Tatrach dokonał m.in. 1.przejść zimowych takich dróg jak: *Komin Pragera* (samotnie) na Raptawickiej Turni, *Hematytówka* (na Raptawickiej Grani) oraz 1.przejść bez techniki hakowej: *Szarego Zacięcia* na Raptawickiej Turni i *Wariantu Baryły* na Mnichu. Na Kazalnicy Mięguszowieckiej przeszedł *Drogę Kielkowskiego*, *Filar Kazalnicy* i *Symfonię Klasyczną*. Wspinał się także w Dolomitach, gdzie m.in. przeszedł:



Paweł Józefowicz



Tomasz Klimczyk



Władysław Vermessy

*Drogę Carlessa na Torre di Valgrande, Drogi Cassina oraz Carlessa na Torre Trieste i Filar Tofany di Roses. W rejonie Mont Blanc przeszedł Filar Bonattiego na Grand Capucin, trzy drogi na Aig. de Blaitiere (Willjamide Dada, Majorette Thatcher i Droga Crooka) i Directe Americaine na Petit Dru. Startował także w zawodach wspinaczkowych. JKi*

Lit.: M. Kopacki, *Miejsce pokolenia wspinaczkowego „Nowa Fala”...*, Kraków 1998, s. 55.

**Kosacz, Ryszard (WEGA t.VI, s.419)**, uzupełnienia: (1950 -). JKi

Lit.: M. Kopacki, *Miejsce pokolenia wspinaczkowego „Nowa Fala”...*, Kraków 1998, s. 77.

**Krupski, Jan (WEGA t. VI, s. 432)**, uzupełnienie: zmarł 8.03.2018 w Zakopanem. JKi

**Szybajew, Siergiej Aleksiejewicz** (11.09.1958 Leningrad – ), rosyjski alpinista i wspinacz skalny, trener wspinaczki skalnej (od 1986) i instruktor alpinizmu (od 1990), ratownik górski, działacz organizacyjny i dziennikarz. W 2004 ukończył kursy podnoszące kwalifikacje trenerskie na Państwowym Uniwersytecie Kultury Fizycznej i Sportu w Moskwie. Srebrny medalista (1984) i mistrz Leningradu w klasie przejść śnieżno-lodowych. W latach 1978–2008 dokonał przejść około 150 dróg w kategorii trudności od I do VB. Zajmował się szkoleniem; był m.in. instruktorem w szkole instruktorów alpinizmu w Petersburgu oraz w Centralnej Szkole Instruktorów Federacji Rosyjskiej. Współautor podręcznika *Szkola alpinizma. Naczelna podgotówka alpinista* (Moskwa, 2003). Naczelny redaktor almanachu „Biezengi” (2010–2013) i literackiego zbioru *Biezengi–50* (2009); autor m.in. czterech tomów serii „Awarii w alpinizmie” (2015–2018) oraz książki *Tajny gor i dolin* (2017).



Opublikował około 2000 notatek w prasie oraz w Internecie; założyciel (1998) i redaktor naczelny czasopisma „EKS. Putieszestwija. Prikluczenija. Ekstrim”. Członek rzeczywisty Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Intensywnie działał w organizacjach i komisjach Rosyjskiej Federacji Alpinizmu, zajmował się kulturą górską, m.in. zasiadał w jury Moskiewskiego Międzynarodowego Festiwalu Górskich Filmów „Wertikal” (1998 – 2011). Laureat licznych nagród i odznaczeń. MKi

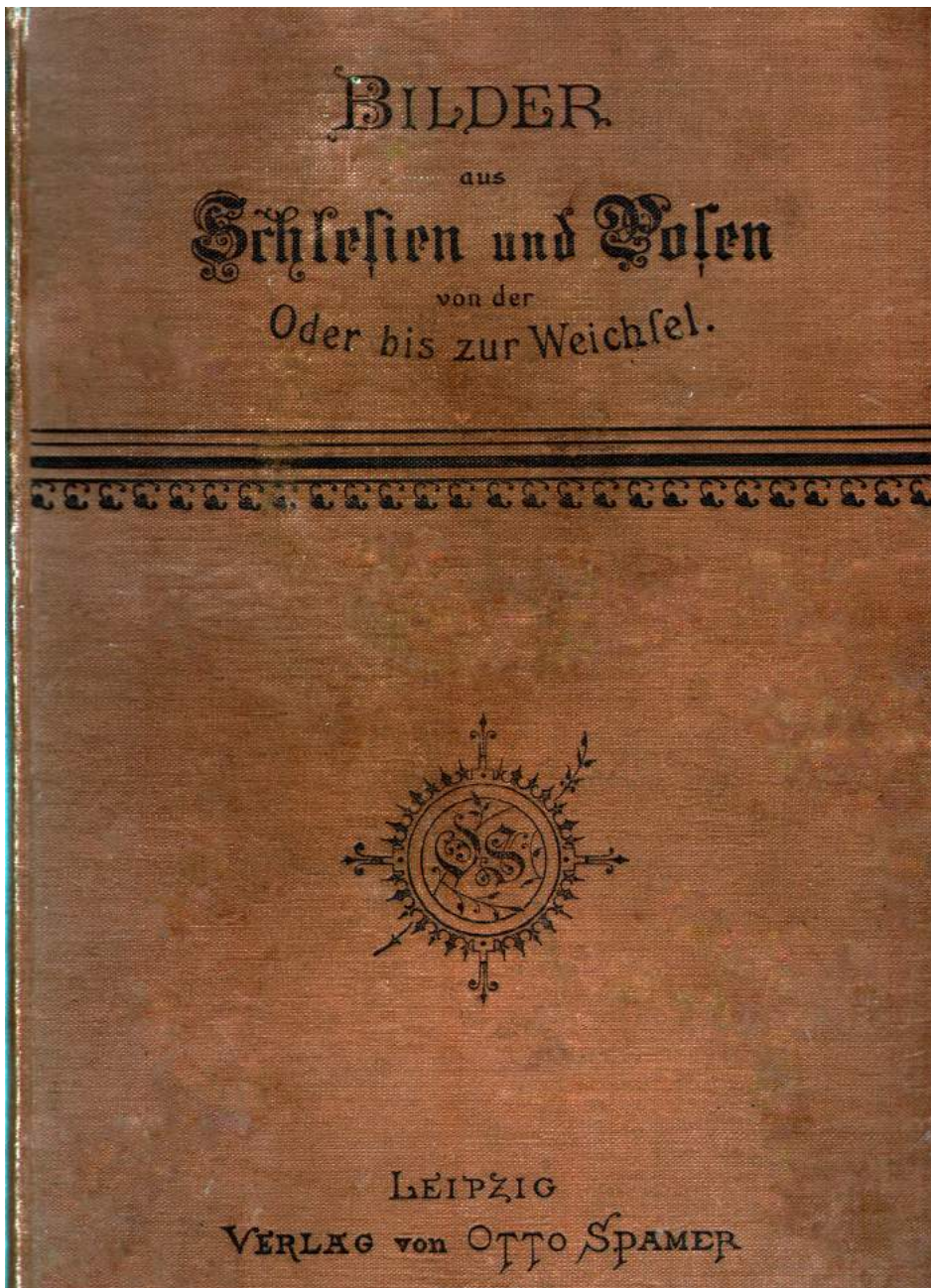
**Vermessy, Władysław (WEGA t. VI, s. 790)**, uzupełnienia: ur. 14.01.1959 w Krakowie, + zdjęcie

Lit.: M. Kopacki, *Miejsce pokolenia wspinaczkowego „Nowa Fala”...*, Kraków 1998, s. 94.

## Z NASZYCH KOLEKCJI

### „Śląsk jest śliczny”

Nawiązując do nazwy działającej na facebooku grupy, chcemy tutaj, może nawet cyklicznie, tę tezę unaoczniać. Tym razem posłużyliśmy się wydaną w 1883 roku (przez Karla Burmanna, w wydawnictwie Otto Spamera) w Lipsku) książką *Bilder aus dem Gebirge und Berglande von Schlesien...* Z książki tej, nie odchodząc od tematu naszego biuletynu, przedstawiamy kilkanaście wybranych rycin, wykonanych na podstawie rysunków G. Täuberta, przedstawiających (z jednym wyjątkiem) krajobrazy z Sudetów.



Unser Deutsches Land und Volk.

Bilder

aus dem

Gebirge und Berglande von Schlesien

und

den Ebenen in Posen

von der Oder bis zur Weichsel.

Herausgegeben

von

Dr. Karl Burmann,

Rektor der städt. Höheren Knabenschule zu Schwerin a. W.

Wohlfeile Ausgabe.

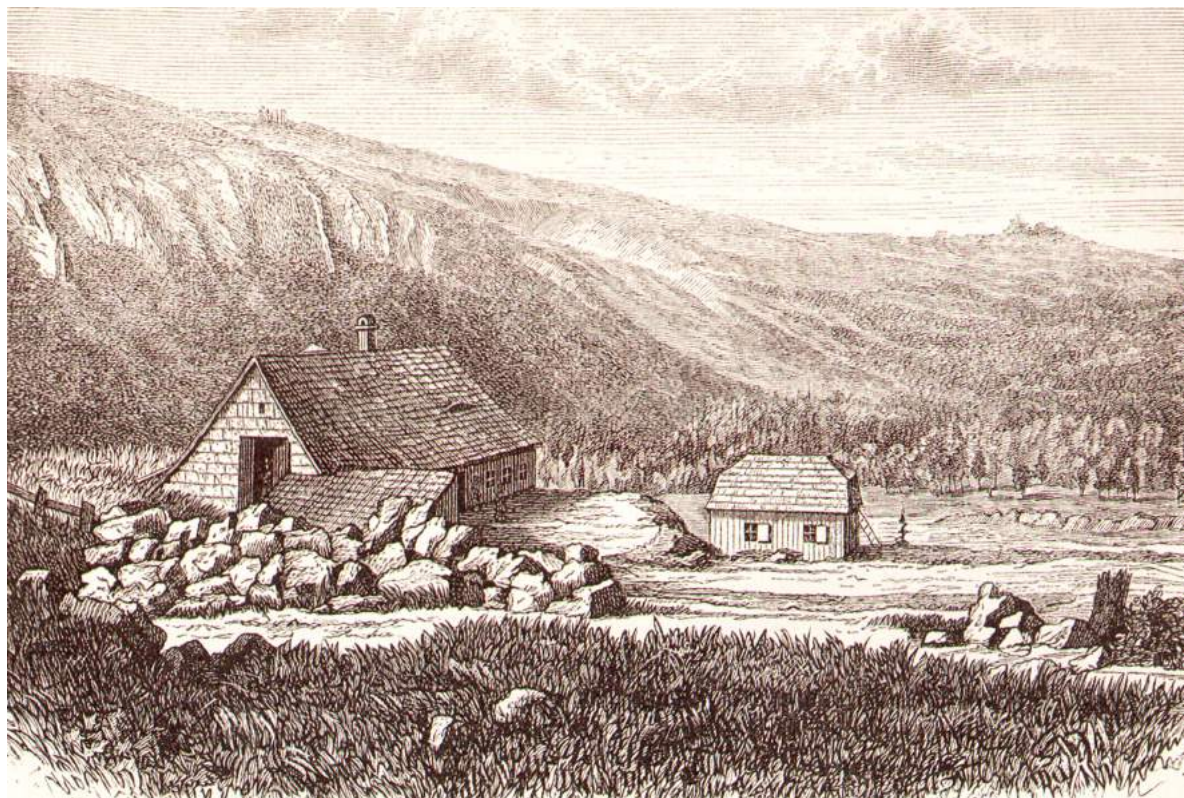
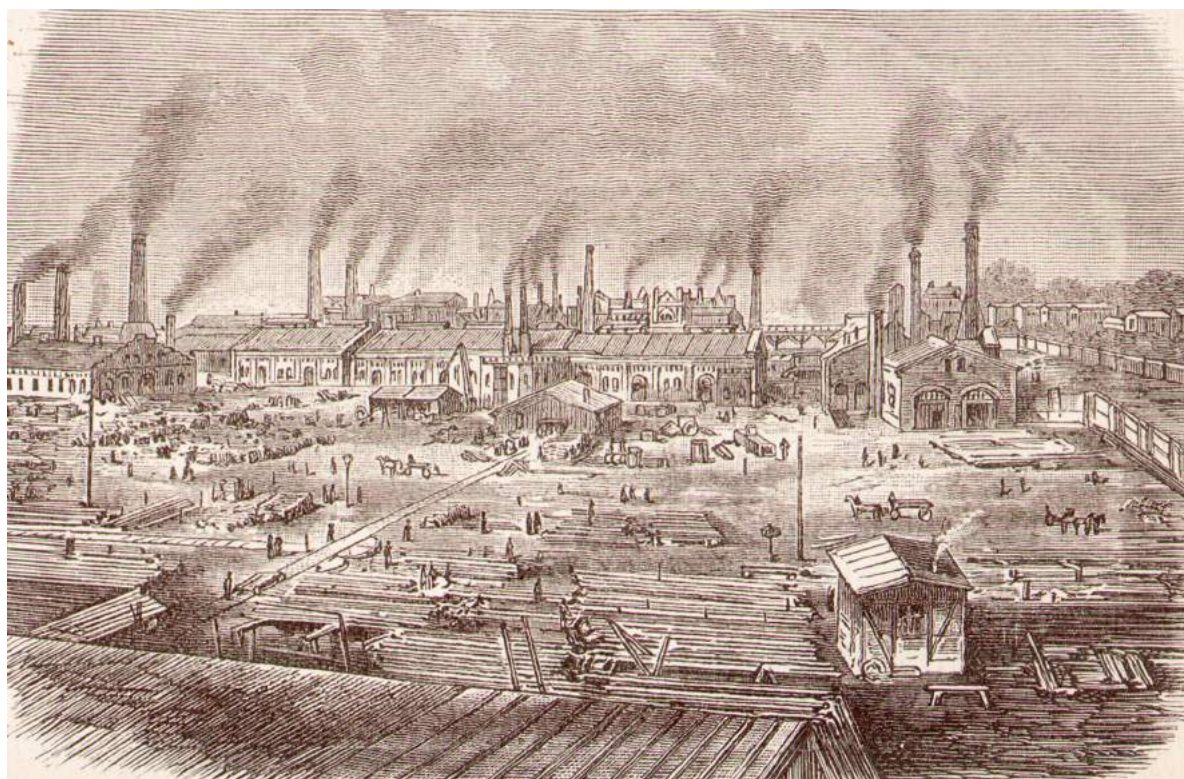
Mit 95 Text-Illustrationen, einem Tonbild und einer Karte.

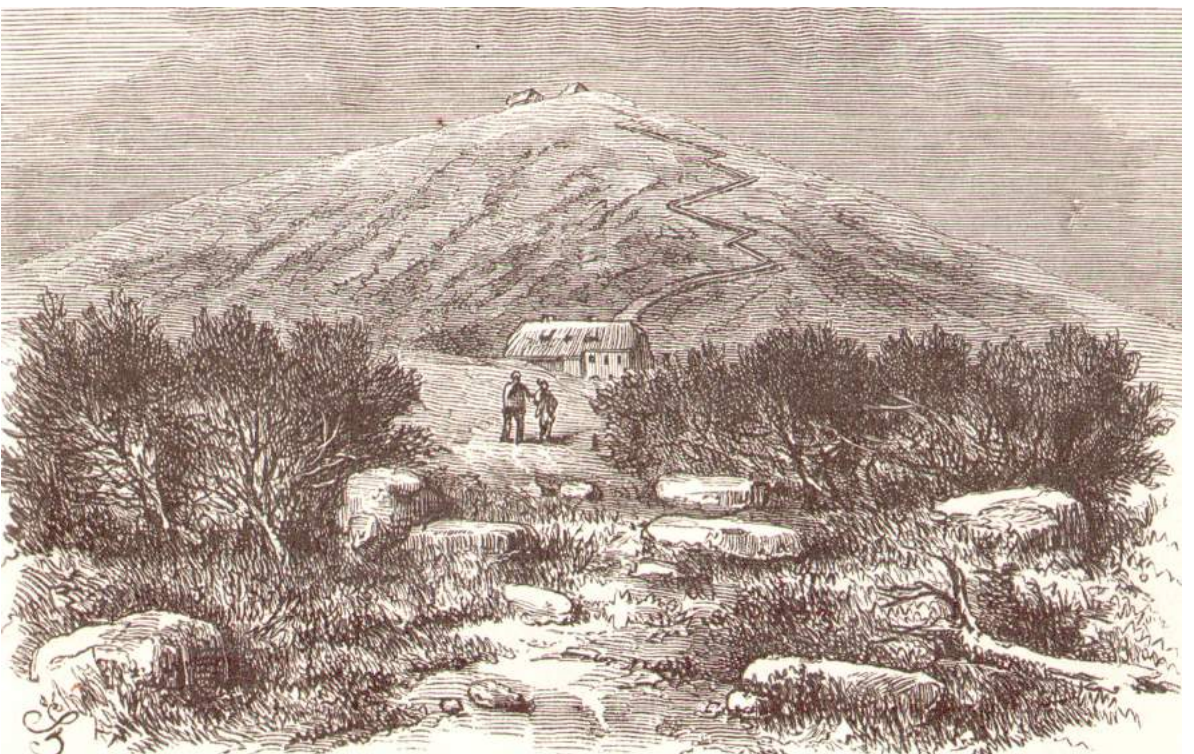
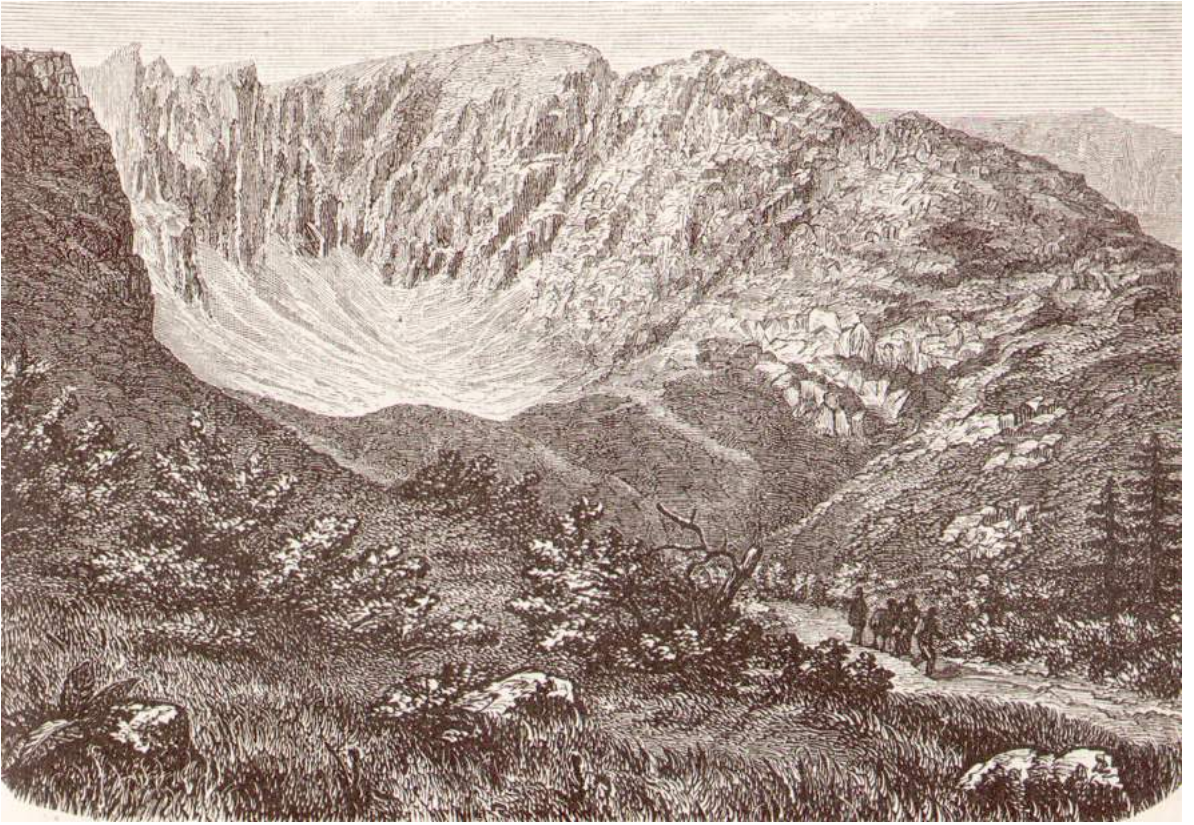


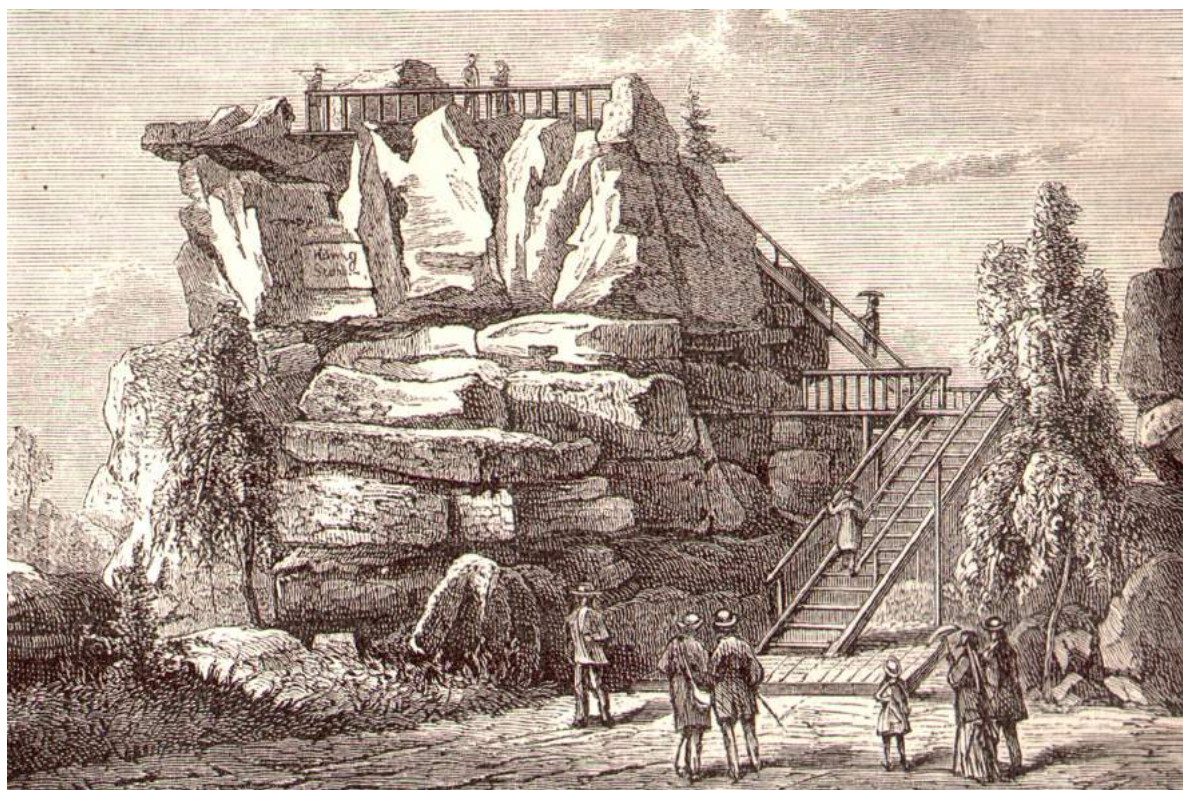
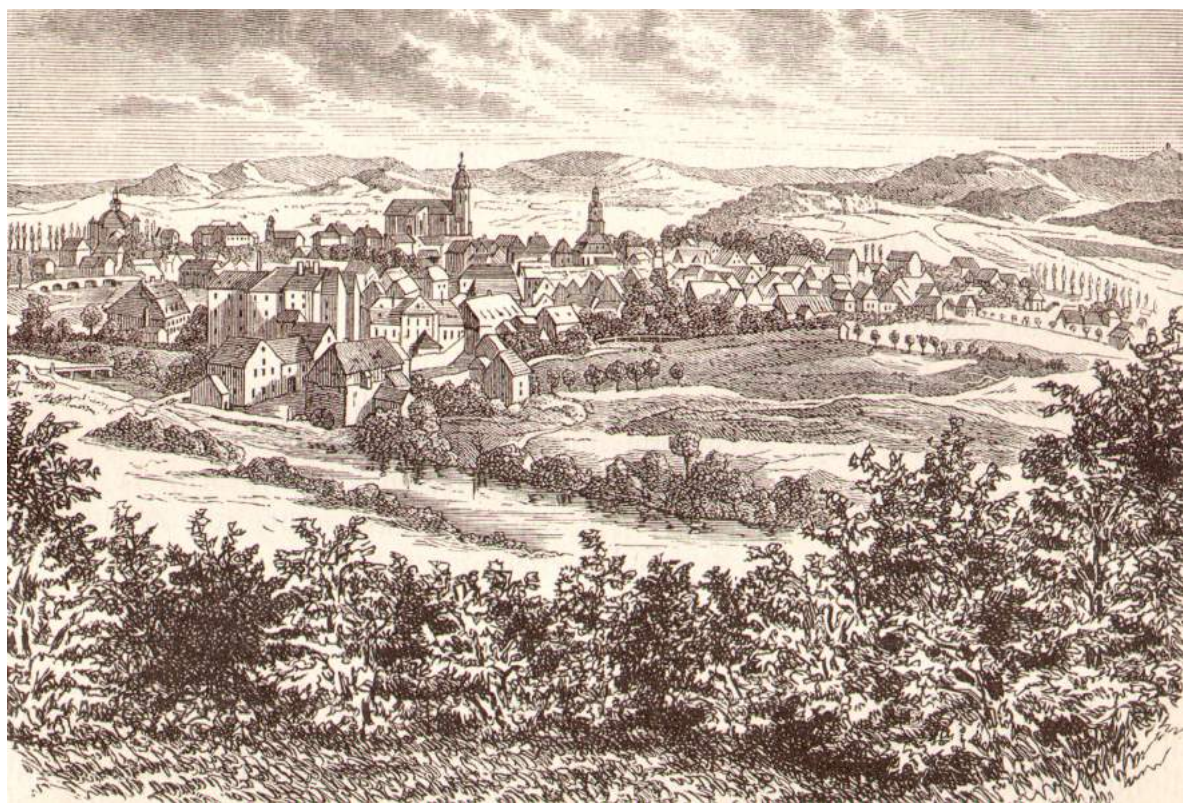
Leipzig.

Verlag und Druck von Otto Spamer.





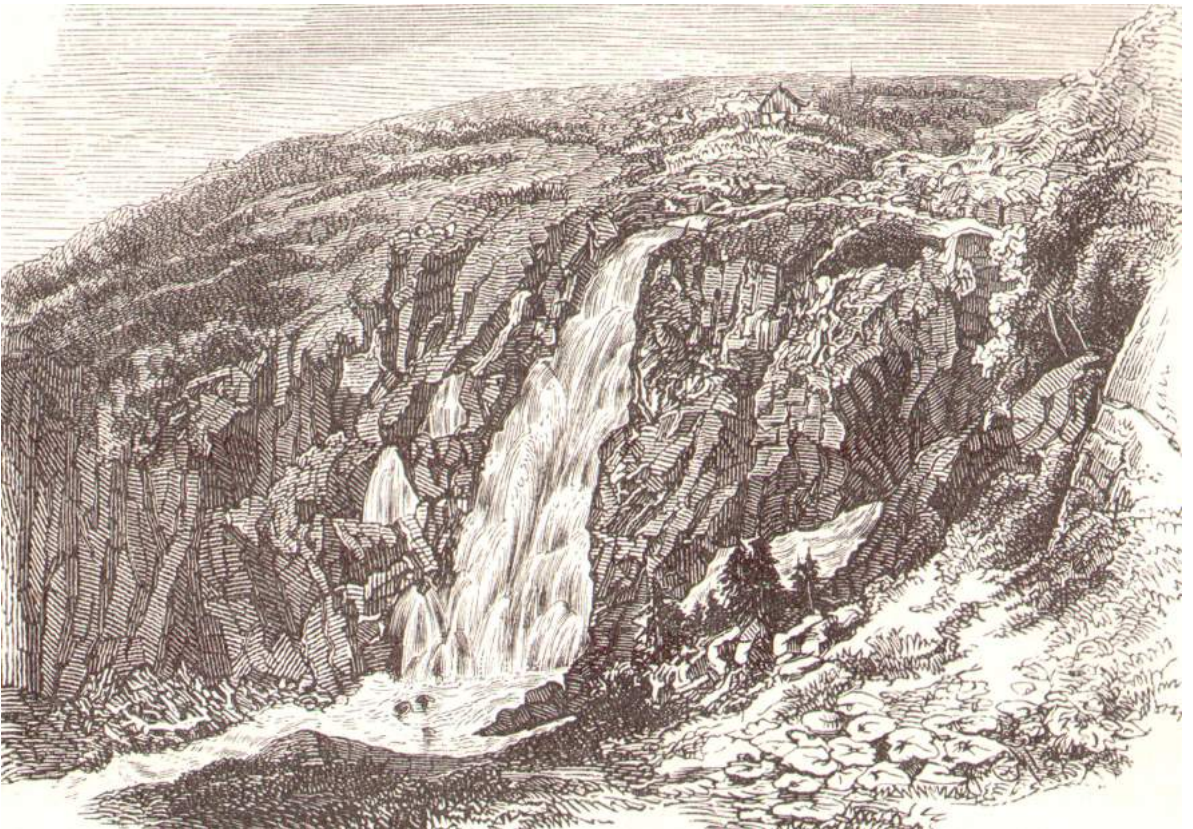


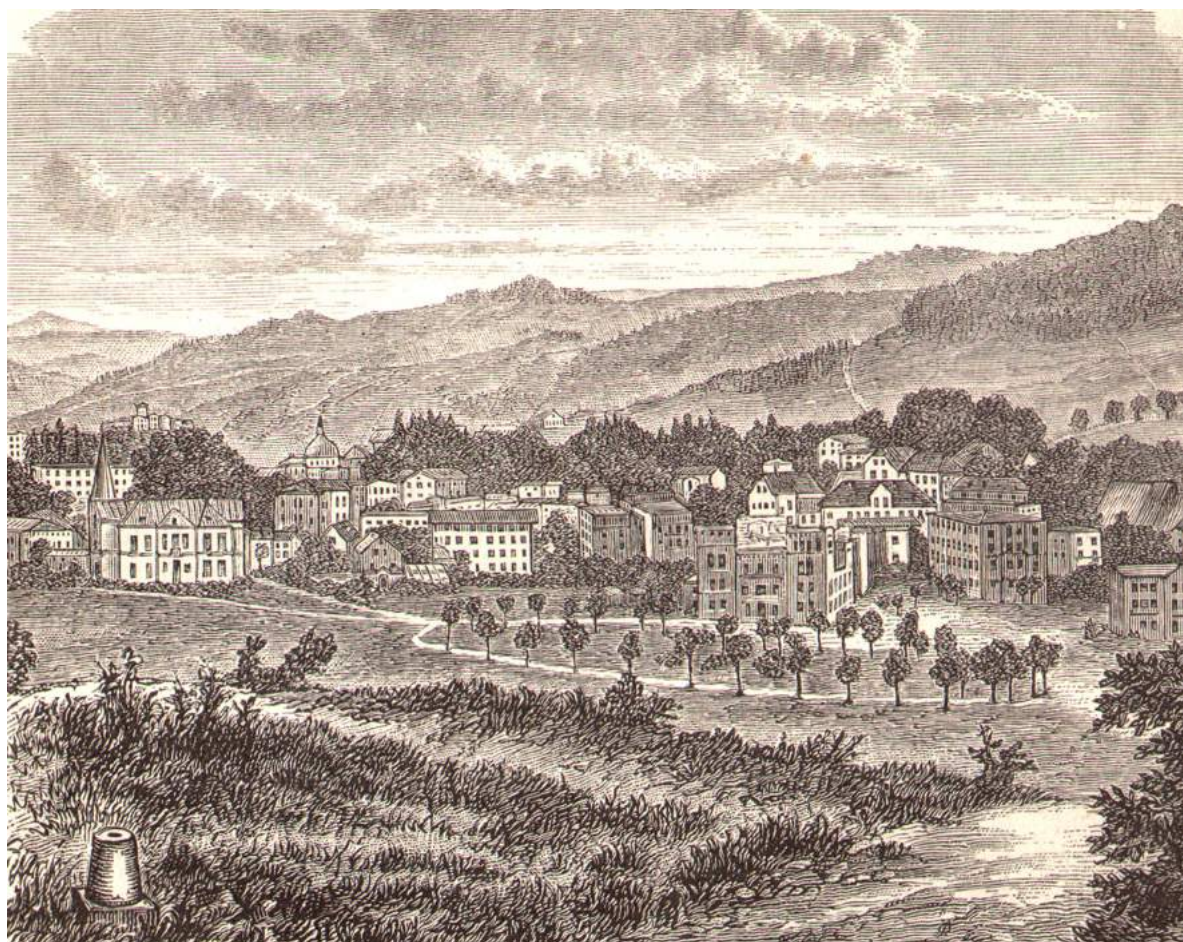






Der Kynast.





Na kolejnych stronach przedstawiono następujące motywy:

623 Winieta książki

624 Chorzów (Królewska Huta - Königshütte i Huta Laury – Laurahütte)  
Schronisko Strzecha Akademicka (Hampelbaude)

625 Śnieżne Kotły (Schnee gruben)  
Śnieżka (Schneekoppe lub Riesenkoppe)

626 Jelenia Góra (Hirschberg)  
Tron Pradziadka (Großvaterstuhl) na Strzelińcu Wielkim (Heuscheuer).

627 Zamek Chojnik (Kynast); zjazd na sankach  
Wodospad Łaby

628 Łądek Zdrój (Bad Landeck)

628 Adrspachskie Skały (Adersbacher Felsen)

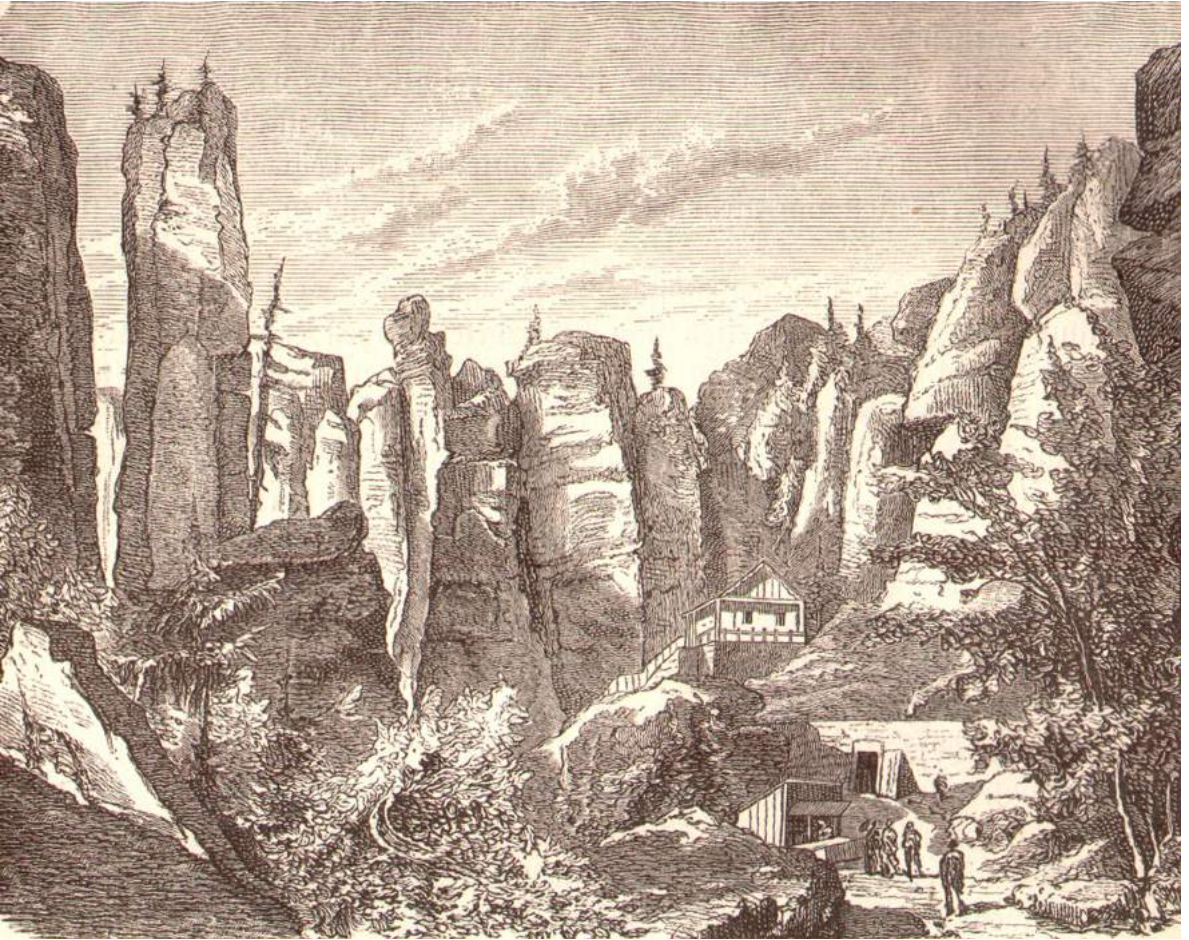
### LINKI

<http://asian-alpine-e-news.com/>

<http://goryksiasek.pl;>

<http://lojanci.org/main.php>

<http://www.angeloelli.it/index.htm>



<http://www.kw.warszawa.pl/echa-gor>  
MCADD-PAHAR | Mountains of Central Asia Digital Data Set by ...  
[www.albumwypraw.waw.pl](http://www.albumwypraw.waw.pl)  
[www.goryonline.com](http://www.goryonline.com);  
[www.krzysztofbaraniak.com](http://www.krzysztofbaraniak.com)  
[www.mountainportal.com](http://www.mountainportal.com);  
[www.mountain.ru](http://www.mountain.ru)  
[www.nyka.home.pl](http://www.nyka.home.pl);  
[www.taterniczek.com](http://www.taterniczek.com)  
[www.taternik.org](http://www.taternik.org)  
[www.ukclimbing.com](http://www.ukclimbing.com);  
<http://pza.org.pl>;  
[www.stapis.com.pl](http://www.stapis.com.pl)  
[www.wspinanie.pl](http://www.wspinanie.pl);  
[www.portalgorski.pl](http://www.portalgorski.pl)

Na str. 630 grafika wg akwareli E.T. Comptona – wspinaczka na Lyskammie

